

**GABRIELLA ANDERSON**

*Talizman*

*Szczęścia*

# Prolog

Massachusetts Sierpień 1819

Corinna Grant rozczesywała włosy, siedząc przed toaletką. O jej zdenerwowaniu świadczyły szybkie, gwałtowne ruchy oraz śmiertelna cisza panująca w małżeńskiej sypialni. Pośród tych wyłożonych drewnem ścian odbyło się już wiele kłótni i pojednań. Popiersie cezara Hadriana patrzyło nieobecnyimi oczami tak, jakby sprzeczki małżonków śmiertelnie je nudziły. Zabawny wyraz twarzy cezara utwierdzał Corinnę w przekonaniu, że i to nieporozumienie zostanie w końcu zażegnane. Biedny Hadrian. Od czasu gdy naprawili popiersie, na jego twarzy błąkało się coś na kształt uśmiechu, a na dodatek nie udało się odnaleźć czubka nosa. Corinna znów spojrzała w lustro.

Pierwszy skapitulował Stuart Grant. Popatrzył na od-bicie swej żony, mrużąc oczy.

- Nie możesz jej dać monety.

Surowy wyraz twarzy męża nie zrobił na Corinnie wielkiego wrażenia.

- Sądziłam, że nie wierzysz w magię - westchnęła. - Nadeszła właściwa pora, mój kochany. Niechaj moneta zacznie działać. Ona już do tego dorosła.

Stuart podniósł srebrny krążek z toaletki.

- To tylko zwykła moneta. A ona jest jeszcze dzieckiem. - Grant podszedł do szkatułki i umieścił monetę na welwetowej poduszeczce.

- Byłam młodsza, gdy za ciebie wyszłam.

- Ona jest jeszcze dzieckiem.

Corinna odłożyła szczotkę i sięgnęła po monetę, leżącą pomiędzy rzymską kolia i maleńką figurką bezramiennej bogini.

- Może masz rację, mój drogi, ale to dziecko jest już gotowe do odlotu. Potrafi już o siebie zadbać. - Wrzuciła pieniążek do kieszeni.

Mąż zakasłał znacząco i wziął ją w ramiona.

- Pamiętam, że już kiedyś to mówiłaś.

- I miałam rację, nieprawdaż? - Corinna wtuliła policzek w jego tors.

- W moich wspomnieniach to wygląda inaczej. Corinna przyciągnęła głowę męża i pocałowała go. Jej

serce zabiło w dobrze znanym, przyspieszonym rytmie. Po tylu latach małżeństwa Stuart wciąż działał na nią tak samo. Jego skroń oprószyła już siwizna, ale żaden inny mężczyzna nie robił na niej takiego wrażenia.

- Nie zmusisz mnie, bym zmienił zdanie.

Jego ciepły oddech sprawiał, że czuła ciarki przechodzące po plecach.

- Wcale tego nie oczekuję.

Rozmowę przerwało pukanie do drzwi. Corinna odsunęła się od męża.

- Proszę.

Do sypialni rodziców wpadła Eden. Corinna, jak zwykle, rozpromieniła się na widok jasnych włosów córki. Po-śród złotych loków Eden tu i ówdzie połyskiwał brązowy kosmyk. Nikt poza nią nie miał jasnych włosów. Jej bliźniaczy brat, Nicholas, odziedziczył czarną czuprynę po ojcu, twarz Corinny natomiast okalały kasztanowate loki, w które jakiś czas temu zaplątały się srebrne nitki. Eden, jako jedyna z potomstwa państwa Grant, spoglądała na świat błękitnymi oczami swego ojca.

- Goście dopytują się o was.

- Mogą chwilę poczekać. - Corinna obróciła się do lustra, by upiąć włosy.

W zwierciadle napotkała spojrzenie dwóch par identycznych oczu. Z uśmiechem odrzuciła kasztanowate sploty na plecy i upięła je w zgrabny kok.

Stuart pokręcił głową i zwrócił się do córki:

- Rozmawialiśmy właśnie o twojej podróży.

- Tak się cieszę, że zobaczę Europę. Będę słuchać takiej wspaniałej muzyki. Szkoda tylko, że jedzie ze mną pani Roberts. - Eden wymownie zmarszczyła nos.

- Pani Roberts była świetną guwernantką i nie wyobrażam sobie, bym mógł komu innemu powierzyć pieczę nad tobą podczas podróży do Europy - oświadczył ojciec.

- Ale ona jest taka zasadnicza.

- Tym bardziej więc powinna z tobą pojechać - odparował Grant.

- Gdybym była mężczyzną, nie potrzebowałabym żadnej przyzwoitki.

- I owszem, potrzebowałabyś - podkreśliła Corinna.

- Mamo...

Tylko córka potrafiła wypowiedzieć to słowo tak, by zabrzmiało jak oskarżenie.

- Zaśpiewasz dla mnie dziś wieczorem? - Stuart z uśmiechem pogłaskał Eden po policzku.

- Dla ciebie, tato, wszystko. Poza tym wyjeżdżam za dwa dni, więc nie powinno to wywołać kolejnych problemów - odparła z uśmiechem dziewczyna.

Corinna zamrugła, by powstrzymać napływające do oczu łzy.

- To mi przypomniało, że mam coś dla ciebie. - Sięgnęła do kieszeni, wydobyła srebrną monetę i wcisnęła ją córce do ręki. - Talizman szczęścia. Dostałam go od matki, a teraz przekazuję tobie.

Eden obróciła pieniążek w palcach. Na awersie widniała podobizna Wenus. Bogini trzymała zwierciadło w wyciągniętej ręce. Na rewersie wytłoczono łabędzia sunącego po zmatowiałym jeziorze. Wokół ptaka wił się napis.

- *Numquam tuas spes dedisce*. Nigdy nie zapominaj o marzeniach. Czy papa nie wolałby tego zatrzymać? Wiesz przecież, że on uwielbia starocie.

- Nie. Moneta należy do ciebie. Przypomnij mi, bym ci opowiedziała, jak ją zgubiłam i jak twój ojciec ją odnalazł. - Corinna zerknęła na męża. - Noś ją zawsze przy sobie. Przyniesie ci szczęście.

- Nie sądziłam, że jesteś przesadna, mamo. Bo zazwyczaj nie jestem.

- To nie zaszkodzi. - Corinna pocałowała córkę w policzek. - A teraz już idź. Goście czekają.

Eden wybiegła z pokoju, chowając talizman do kieszeni. Łzy, które Corinna trzymała w szachu, spłynęły teraz po jej policzkach.

Stuart osuszył żoniną twarz chusteczką.

- Możemy zabronić jej tego wyjazdu.

- Nie możemy. Nadeszła właściwa pora. - Pani Grant wzięła głęboki oddech i zapanowała nad łzami. - Tak bardzo będzie mi jej brakowało.

- Mówisz tak, jakby miała już do nas nie wrócić. Corinna pomyślała o monecie. Bo nie wróci. Spojrzała na męża i uśmiechnęła się.

- Jestem gotowa. Najwyższy czas zejść do gości.

## 1

Londyn Kwiecień 1820

- Nie bądź małą, Lily. To jedyna szansa, żeby zobaczyć Edmunda Keana w Drury Lane. - Eden Grant rzuciła przyjaciółce wymowne spojrzenie - Czego się obawiasz?

Lily Baylor popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

- Chyba wiesz.

- Oj, wiem, wiem, ale tym razem będzie inaczej. - Eden chwyciła Lily za rękę i dodała błagalnym tonem: - Proszę cię...

Przyjaciółka wyrwała rękę.

- Czy nie przysporzyłyśmy pani Roberts wystarczającej ilości zmartwień podczas tej podróży?

- Zostawimy jej wiadomość. Będzie wiedziała, że nic się nam nie stało.

- Dlaczego nie poprosimy, żeby poszła z nami?

- Pani Roberts? Ona uważa teatr za zgubną rozrywkę. Wątpię, by kiedykolwiek zapomniała o swoich purytańskich korzeniach. Właśnie dlatego ojciec wybrał ją na przyzwoitkę. Zadbał o to, bym się wcale nie bawiła.

- Nie dostałybyśmy zaproszeń na dzisiejsze przyjęcie, gdyby nie dbał o naszą rozrywkę.

Eden machnęła rękami.

- Tak, tak. Wysła nas na przyjęcie do jednego ze swych partnerów w interesach. Nie mam zamiaru spędzić wieczoru w nudnym towarzystwie starszych ludzi.

Panna Baylor zagryzła wargi. Eden dojrzała wyraz niezdecydowania na twarzy przyjaciółki. Wsunęła dłoń do kieszeni i zacisnęła palce na srebrnej monecie.

- Przestań się wahać, Lily.

- Ja także chciałabym oklaskiwać pana Keana, nim zobaczą go nasi przyjaciele w Ameryce - powiedziała Lily z ociąganiem.

- Będzie cudownie. I nic się nie zdarzy, zobaczysz. -Eden uśmiechnęła się promiennie. Moneta znów zadziałała. Nawet jeśli matka powątpiewała w magiczną moc tego talizmanu, to ona mocno w nią wierzyła. - Pójdziemy się przebrać i spotkamy się za pół godziny. Nie zapomnij o szalu. Będziemy musiały wyjść na dwór.

- Eden... sama nie wiem...

- Zaufaj mi. - Panna Grant wybiegła z pokoju, nie czekając, aż przyjaciółka zmieni zdanie.

W ogromnym domu panowała cisza. Eden przebiegła przez hol i jednym susem znalazła się na schodach.

- Panno Grant. - A więc nie uniknie reprimendy. -Młode damy nie biegają po schodach.

Eden obróciła się i spojrzała w oczy pani Roberts. Twarz guwernantki nie odróżniała się szczególnie od jej szarej sukni. Zaczesane w ciasny kok włosy sprawiały, że rysy starszej pani wydawały się jeszcze bardziej ściągnięte.

- Oczywiście, madam.

- Skąd ten pośpiech?

- Muszę się przebrać na wieczór. - Eden uśmiechnęła się niewinnie do opiekunki.

- Cieszę się, że nasze wieczorne plany budzą tyle emocji, ale doprawdy nie ma powodu, by zachowywać się tak skandalicznie.

- Oczywiście, madam.

- Wyjdziemy najwcześniej za godzinę, więc jest mnóstwo czasu na toaletę. - Starsza pani skinęła głową, dając podopiecznej znak, że może już odejść.

- Dziękuję, pani Roberts. - Eden odwróciła się i ruszyła na górę, pamiętając o zaleceniach guwernantki. Uniosła nieco spódnicę i liczyła po cichu stopnie... trzynaście, czternaście, piętnaście. Stojąc na samej górze, objęła spojrzeniem hol, który zdobiło zaledwie parę mebli. No cóż, dom był przecież wynajęty. Właściciele zabrali z pewnością najcenniejsze sprzęty.

Eden otworzyła drzwi do swej sypialni. Jej kroki stłumił gruby, niebieski dywan. Cały pokój tonął w niebieskościach. Na łóżku leżała niebieska kapa. Oprócz ścian na niebiesko pomalowano także sufit, tyle że artysta umieścił na nim także kilka białych obłoczków. W pokoju można było znaleźć wszystkie odcienie tej barwy: błękit, granat, turkus, lazur, szafir, indygo. Pani Roberts uznała, że jej podopieczna dobrze się poczuje w tym pomieszczeniu, skoro ma błękitne oczy. Tymczasem Eden nie znosiła koloru niebieskiego. Zwłaszcza w nadmiarze.

Wydobyła zieloną, jedwabną suknię. Jej oczy odpoczywały, gdy patrzyła na barwę, którą naprawdę lubiła. Przypomniała sobie kolory lasów w swych rodzinnych stronach. Zerknęła na miniatury przedstawiające ojca i matkę. Podróż po Europie potrwa jeszcze cztery miesiące. Potem wróci do domu, do Massachusetts. I co dalej? Rzuciła się na łóżko. Co będzie robić po powrocie do domu?

Zapatrzyła się w sufit. Nie lubiła rozmyślać na temat przyszłości. Wszyscy się spodziewają, że wyjdzie za mąż i założy własną rodzinę. Nic nie

miała przeciwko dzieciom, skuliła się jednak na samą myśl o zamążpójściu. Znajomi młodzieńcy nudzili ją śmiertelnie. Wydawało jej się zresztą, że nigdy nie spotka mężczyzny, który nie będzie próbował panować nad jej życiem.

Usiadła na łóżku i zadzwoniła po pokojówkę, którą wynajęły na czas pobytu w Londynie. Skoro przyszłość jawi się tak niewesoło, to powinna przynajmniej wykorzystać te cztery miesiące wolności, które jeszcze pozostały.

Szybko przebrała się i przygotowała na wieczorną przygodę, uzupełniając swój strój o jeszcze jeden element. Z kieszeni sukni, którą właśnie zdjęła, wydobyła srebrną monetę. Pieniążek połyskiwał srebrem tam, gdzie nie pokrywał go matowy nalot. Po raz kolejny przeczytała napis: *numquam tuas spes dedisce*.

Nigdy nie zapominaj o marzeniach. Ha! Gdybym wiedziała o czym marzę, to z pewnością bym nie zapomniała. Wrzuciła talizman do torebki. Teraz była już gotowa do wyjścia.

Zeszła na paluszkach po schodach. Uchyliła drzwi do salonu i wślizgnęła się do środka. Lily już tam na nią czekała.

- Prześlicznie wyglądasz, Lily. W tej lawendowej sukni jest ci bardzo do twarzy, dokładnie tak jak przypuszczałam.

- Jest bardzo piękna, prawda? - Dziewczyna obróciła się dookoła własnej osi. - Szkoda tylko, że nie możemy pójść potańczyć.

- No cóż, zaproszenie na kolację nie wystarczy. Obawiam się, niestety, że Anglicy nie dojrżeli jeszcze do tego, by zapraszać dwie panny z „kolonii” na bale. - Eden zmarszczyła nos, starając się nadać swemu akcentowi nieco bardziej brytyjski szlif.

- Jaka szkoda. Strasznie bym chciała pójść na bal.

- I ja także, ale nie sądzę, byśmy w najbliższym czasie dostały jakieś zaproszenie. Wybierzmy się więc przynajmniej do teatru.

- Jestem gotowa. - Lily ruszyła w stronę drzwi.

- Nie tędy. - Eden otworzyła okno.

- Chyba żartujesz. - Przyjaciółka wychyliła się przez okno. - Dlaczego nie wyjdziemy frontowymi drzwiami?

- Żeby nas ktoś zobaczył? Chodź. To nic trudnego.

- Może dla ciebie. Masz wystarczająco długie nogi, żeby sięgnąć ziemi. Zapomniałaś chyba, że ja jestem niższa.

- Nie martw się. Wyjdę pierwsza i ci pomogę. - Eden otworzyła torebkę i wyjęła monetę. - Proszę. Dotknij tego na szczęście.

- Twojej monety? O, nie, serdecznie dziękuję. Zaczynam myśleć, że ona przynosi pecha, a nie szczęście. Pamiętasz, co się zdarzyło we Florencji?

- Tak, ale...

- A w Wenecji?

- Tak, ale...

- A w Wiedniu, w Paryżu? - Lily oparła dłonie na biodrach i postukiwała nerwowo butem o podłogę.

Eden wdrapała się na parapet, spuściła nogi na zewnątrz i skoczyła. Skok był dłuższy, niż zakładała, zadzwoniła nawet lekko zębami podczas lądowania. Ważne jednak, że się udało. Odwróciła się, by pomóc przyjaciółce. Lily zajęła tę samą pozycję na parapecie i zamarła.

- Strasznie wysoko - szepnęła w ciemnościach.

- Nie martw się. Złapię cię przecież. - Eden stanęła tuż pod oknem.

Lily skoczyła i... spadła na Eden z taką siłą, że obie przewróciły się na trawę. Panna Baylor podniosła się pierwsza i wygładziła spódnicę.

- Zdaje się, że miałaś mnie złapać.

- Nic sobie nie zrobiłaś? - Eden zerwała się i poprawiła suknię. Strzepnęła gałązki z tkaniny i obróciła się, by spojrzeć na tył spódnicy. Wszystko w porządku. Nic się nie stało.

- Chodźmy. Za rogiem złapiemy dorożkę.

Dziewczęta wybiegły przed dom. W kilku oknach paliło się światło. Ostrożnie, by nie znaleźć się w snopie światła padającego z okien na ziemię,

przedostały się na ulicę. Tu Eden chwyciła przyjaciółkę za rękę i ciągnąc ją za sobą, popędziła naprzód.

- Dokąd się dzisiaj wybierasz, Ryeburn? Do Monkrestów czy do Lockwoodów?

Trevor St. John, hrabia Ryeburn, podciągnął rękawiczki. Londyńska noc za sprawą licznych świateł zmieniła kolor - była szara, a nie czarna. Ryeburn wyjrzał przez okno powozu.

- Jeszcze nie podjąłem decyzji. Nie pociąga mnie żadna z tych ofert, ale powinienem, niestety, pokazać się i tu, i tam.

- Ja się wybieram do Lockwoodów - oświadczył Christopher Seymour, hrabia Toddington, patrząc na przyjaciela. - Idź to Monkrestów, a potem przyłącz się do mnie.

- A co ty masz zamiar robić po teatrze, Sterling? - Trevor zwrócił się do trzeciego mężczyzny siedzącego w powozie.

Martin Sterling poprawił fular.

- Sam sobie poszukam rozrywki. Niedaleko stąd do Regent Street. Może znajdę tam jakieś towarzystwo na dzisiejszy wieczór.

Trevor pokręcił głową.

- Na twoim miejscu poskromiłbym trochę apetyt, Sterling. To cię może sporo kosztować.

- Dbam o to, żeby się niczym nie zarazić. A o reputację nic muszę się martwić. Nie mam tytułu, dzięki któremu byłbym poszukiwanym towarem na małżeńskim rynku. - Gardłowy śmiech Sterlinga, w którym wcale nie było wesołości, działał Ryeburnowi na nerwy. Jakim cudem ten człowiek znalazł się w ich towarzystwie? Trevor nigdy za nim nie przepadał, ale najwyraźniej bawił on Toddingtona. Powóz zatrzymał się przed Drury Lane i aż zakołysał się, gdy stangret zeskoczył z kozła, by otworzyć drzwi pasażerom. Trevor spojrzał na tłum zgromadzony przed teatrem.

- Cieszę się, że pozwoliłeś mi skorzystać ze swojej łoży, Toddington - powiedział Sterling.

- Wieczór mam spędzić u Lockwoodów. I tak długo bym w niej dzisiaj nie siedział.

- Mimo wszystko.... - kontynuował Sterling.

- Lily! - Dziewczęcy krzyk, który rozległ się gdzieś niedaleko, zwrócił uwagę Trevora. Zaczął szukać w tłumie właścicielki głosu.

- Lily!

Jakaś blondynka rozglądała się nerwowo, wspiąwszy się na palce. Włosy wymknęły się jej z koka i wiły swobodnie wokół twarzy, na której malowała się troska i niepokój. Hrabia wysiadł z powozu, ignorując zdziwione spojrzenia swych towarzyszy.

- Przepraszam, ale czy nie potrzebuje pani pomocy?

Gdy dziewczyna obróciła się do niego, widok jej przejrzystych niebieskich oczu zaparł mu dech w piersiach. Czuł chłód jej spojrzenia. Ku jego zdziwieniu nieznajoma była równie wysoka, jak Sterling, choć miała znacznie przyjemniejszą aparycję.

- Nie, dziękuję panu. - Znów odwróciła się do niego plecami. - Lily!

- Jeśli pani towarzyszka zgubiła się w tym tłumie, to nigdy jej pani nie znajdzie w ten sposób. - Trevor nie bardzo rozumiał, dlaczego zdecydował się wtrącić w tę sprawę. Zachowanie dziewczyny nie pozostawiało żadnych wątpliwości, że nie życzy sobie pomocy.

- Ona się nie zgubiła, tylko tłum nas rozdzielił. - Nawet na niego nie spojrzała, odpowiadając.

- To nie brzmi najlepiej - rzekł Toddington, który właśnie do nich podszedł.

Na dźwięk nowego głosu nieznajoma się jednak odwróciła.

- A więc panowie są we dwójkę?

- W zasadzie, we trójkę. - Trevor machnął dłonią w stronę Sterlinga, który przyglądał się młodej kobiecie z wielkim zainteresowaniem. Trevor spiorunował go wzrokiem.

- Bardzo panom dziękuję, ale nie potrzebuję żadnej pomocy.

- Pani może nie, ale wygląda na to, że potrzebuje jej pani przyjaciółka. W tym tłumie jest niestety wiele typów spod ciemnej gwiazdy. - Trevor starał się unikać jej spojrzenia. - Jak wygląda pani przyjaciółka?

Po chwili milczenia dziewczyna wzruszyła ramionami.

- Jest niższa ode mnie i ma ciemne włosy.

- I ma na imię Lily - dodał hrabia. Nieznajoma spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Wołała ją pani po imieniu - wyjaśnił. Nie mógł oderwać wzroku od tej zajmującej twarzy. Jej profil wyglądał tak, jakby był wykuty w marmurze, a cera przypominała kolorem świeżą śmietaną, która pojawiała się na jego stole podczas wizyt na wsi. Potrząsnął głową, by odpędzić od siebie te myśli.

Dziewczyna się spłoniła.

- No tak, zapomniałam.

- Toddingotn, Sterling, idźcie w tę stronę. My pójdziemy w przeciwną. - Trevor ujął nieznajomą za ramię i skierował w lewo.

Młoda dama wyzwoliła łokieć z jego uścisku.

- Proszę mnie puścić. - Jej głos owiał go niczym fala ciepłego powietrza, ale spojrzenie znów go zmroziło.

Nagle dziewczyna wskazała najbliższy róg ulicy.

- Tam. Zdaje się, że właśnie znikła za węglem - zawołała i pomknęła przez tłum, nie zważając na oburzone spojrzenia i protesty teatromanów.

Ryeburn nie mógł za nią podążyć, ponieważ tłum natychmiast oddzielił go od niej. Był wszakże na tyle wysoki, że bez trudu śledził ją wzrokiem, gdy torował sobie drogę.

Znikła za rogiem.

- Lily!

Trevor pobiegł w tym samym kierunku. Jakiś mężczyzna w ciemnym ubraniu pośpiesznie się właśnie oddalał. Tymczasem blondynka tuliła w objęciach niższą od siebie, rozszlochaną przyjaciółkę.

- Szszsz, Lily. Już go tu nie ma. Nic ci nie grozi.

- Nie wiem, czego on chciał - łkała ciemnowłosa dziewczyna. Odpruty rękaw jej sukni zwisał żałośnie. Końcówki nitek znaczyły miejsce, w którym tkanina została rozerwana.

- Najprawdopodobniej chciał panią porwać, by żądać okupu od pani rodziców. - Trevor wyjął chusteczkę i podał ją szlochającej dziewczynie.

Brunetka podniosła oczy i otworzyła usta. Patrzyła to na niego, to na swoją przyjaciółkę i jakby w oczach malą. Zasłoniła usta dłonią.

- Czy coś się pani stało? - zaniepokoił się, oferując jej ponownie chusteczkę.

Po chwili wahania dziewczyna wzięła chustkę.

- Nie.

Hrabia rozejrzał się dokoła, spodziewając się, że za chwilę zjawią się tu rodzice albo mężowie obu pań. Nikogo jednak nie było widać. Jakość toalet obu dziewcząt, a także ich sposób mówienia wskazywał jednak na to, że nie pochodzą z plebsu.

- Kto paniom towarzyszy?

- Nikt - oznajmiła blondynka i zwróciła się do przyjaciółki: - Na pewno nic ci się nie stało?

- Nic mi się nie stało, Eden, ale chcę już wracać do domu. Eden. A zatem tak ma na imię interesująca nieznajoma.

- O ile się nie mylę, to panie nie pochodzą z Londynu.

Na twarzy Eden pojawiły się oznaki wyraźnego zniecierpliwienia. Trevor nigdy jeszcze nie widział tak ekspresyjnego oblicza. Jej rysy odzwierciedlały natychmiast wszystkie emocje.

- Z Massachusetts. Amerykanki. To wiele tłumaczy.

Zza rogu wyłonił się Toddington, a w ślad za nim -Sterling.

- Widzę, że zguba się odnalazła.

Sterling przyglądał się dziewczętom z zaciekawieniem.

- Dokąd się panie wybierają?

- Do domu. Dziękujemy za pomoc. Panowie wybaczą... -Dziewczyna imieniem Eden pociągnęła swą towarzyszkę.

- Panno... - Trevor zagroził jej drogę, czekając, aż się przedstawi.

Zmierzyła go spojrzeniem

- Grant. Eden Grant.

- Panno Grant, tutaj w Anglii nie pozwalamy, by damy chodziły same do teatru.

- W Massachusetts jest tak samo - wtrąciła się Lily i natychmiast spuściła wzrok, jakby wstydziła się swego zachowania.

Panna Grant skrzywiła się, słysząc uwagę przyjaciółki.

Ryeburn zerknął na Toddingtona, który wpatrywał się w ciemnowłosą dziewczynę chmurnym spojrzeniem. Widać on także odnosi się do tego wszystkiego z dezaprobatą. Hrabia zwrócił się do niższej z dziewcząt, która najwyraźniej miała więcej rozsądku.

- A pani nazywa się?...

- Baylor. Lily Baylor. - Dziewczyna zajęła się swym oderwanym rękawem, próbując ukryć łzy.

- Panno Baylor - rzekł Toddington - nie powinny panie wychodzić samotnie nocą. Ulice Londynu nie są bezpiecznym miejscem dla dam.

- Co za bzdury! Potrafię się zatroszczyć o własne bezpieczeństwo - odparowała panna Grant.

Trevor musiał przyznać w duchu, że dziewczyna daje popis niezwyklej odwagi. Lecz to go tylko rozzłościło.

- Być może, ale z pewnością nie potrafi się pani zatroszczyć o bezpieczeństwo panny Baylor.

Ta uwaga przygasiła nieco jej brawurę.

- To nie była wina Eden - zaczęła panna Baylor. Mówiła nieco spokojniejszym głosem, choć wciąż miała łzy w oczach. - Puściłam na moment jej rękę, a potem nagle znalazłam się w takim tłumie...

- Jako że panowie mają swoje plany na dzisiejszy wieczór - wtrącił się Sterling - z przyjemnością odwiozę tak czarujące panie do domu. - Ukłonił się młodemu damom. - Pozwolą panie, że się przedstawię. Szlachetnie urodzony Martin Sterling.

- Szlachetnie urodzony? - Oczy panny Baylor zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

Toddington zmarszczył brwi, widząc, z jaką atencją brunetka spojrzała na Sterlinga. Trevor zauważył oznaki napięcia na twarzy przyjaciela. Nawet na pannie Grant prezentacja Sterlinga zrobiła spore wrażenie.

- Nie, Martin. Zawiozę panie do domu swoim powozem.

- Dziękuję, ale zaraz złapiemy jakąś dorożkę. Ryeburn mówił dalej, nie zważając na protesty panny Grant.

- Mój powóz zapewni paniom dyskrecję. Jeśli rozniesie się pogłoska na temat tego, co się dziś wydarzyło, reputacja obu pań bardzo ucierpi.

- Nie obchodzi mnie to. - Eden spiorunowała go wzrokiem. - A zresztą, czy nasza reputacja nie ucierpi, jeśli wsiądziemy do powozu nieznanego człowieka?

Trevor poczuł, że wzbiera w nim gniew. zaproponował jej przysługę, a ona ośmiela się z niego drwić.

- Trevor St. John, hrabia Ryeburn.

- Skoro już wiemy, jak się pan nazywa, lordzie St. John...

- Ryeburn.

- Słucham? - Panna Grant zmarszczyła brwi.

- Lordzie Ryeburn, a nie lordzie St. John.

- Nigdy się nie nauczę tych angielskich konwencji. Czy kraj o takiej tradycji i kulturze nie mógłby wypracować jakichś prostszych metod tytułowania ludzi? Aż się boję zapytać o pańskie nazwisko - zwróciła się do Toddingtona.

Toddington uklonił się sztywno.

- Christopher Seymour, hrabia Toddington. - Jego spojrzenie złagodniało nieco, gdy spojrział na pannę Bay-lor. Pochylił się ku niej i szepnął: - Proszę mnie nazywać lordem Toddington.

Panna Grant westchnęła i szepnęła melodyjnie:

- Zdaje się, że już nigdy nie zobaczę Edmunda Keana. Roberts z pewnością podwoi swoją czujność po tym, co się dziś wydarzyło.

- Roberts? - Trevor uniósł brew, patrząc jej w oczy.

- Nasza opiekunka.

- A zatem mają panie jednak opiekunkę. - W jego głosie pojawiła się triumfalna nuta.

- Oczywiście. Czyżby pan sądził, że jest inaczej?

- Podtrzymuję propozycję odwiezienia pań do domu -wtrącił się Sterling.

- I tak nie zdążę już na początek przedstawienia.

- Nie. Mój powóz to znacznie lepsze rozwiązanie. Toddington, Sperling, zaczekajcie tu na mnie. To nie potrwa długo. Wrócę, gdy tylko panie znajdą się w domu. Pojedziemy razem do Lockwoodów.

- A co z Monkrestami? - zapytał Toddington.

- Poślę bilecik z wyrazami żalu. - Trevor uklonił się paniom i wskazał otwarte drzwi powozu. Podał dłoń pannie Baylor. Młoda dama wsiadła, oglądając się na Toddingtona. Zagryzła wargę, zajmując miejsce. Hrabia wyciągnął dłoń do panny Grant, ta jednak prychnęła i wspięła się po stopniach

bez pomocy. Ryeburn pokręcił głową. Spotkanie z upartą dziewczyną nie należało do atrakcji, które planował na ten wieczór.

Wsiadł do powozu i zatrzymał się na środku. Panie zajęły miejsca naprzeciwko siebie. Chrząknął.

- W Anglii dżentelmeni siadają tyłem do kierunku jazdy, a damy nie siadają nigdy obok kogoś, kogo poznały dopiero przed chwilą.

Panna Grant znów prychnęła i przeniosła się na siedzenie obok przyjaciółki. Trevor zajął swoje miejsce i postukał w sufit. Stangret uchylił okienko.

- Adres, panno Grant?

- Chipping House, Grosvenor Square.

Powóz ruszył. Panna Baylor obróciła się w stronę okna, Eden Grant natomiast rzuciła hrabiemu lodowate spojrzenie, które obniżyło temperaturę panującą we wnętrzu powozu o kilka stopni.

## 2

Eden patrzyła na lorda Ryeburna. Wiedziała doskonale, że powinna się złościć przede wszystkim na siebie, wolałaby jednak zrzucić na niego winę za wszelkie niepowodzenia, jakie się im przytrafiły tego wieczoru. Sumienie jej jednak na to nie pozwalało. Poczucie winy doskwierało jej tak bardzo, że nie mogła dłużej milczeć.

- Przepraszam.

Brwi hrabiego podskoczyły do góry.

- Doprawdy? Tego się nie spodziewałem.

Eden oblała się rumieńcem, słysząc zasłużoną reprimendę.

- Odłożył pan swoje plany, żeby odwieźć nas do domu.

- Czy w ten sposób chce mi pani podziękować? - W oczach Trevora pojawił się błysk rozbawienia.

- Niezupełnie. Bardzo chciałam zobaczyć pana Keana, ale doskonale rozumiem, co mogło się nam przytrafić. Ten człowiek mógł skrzywdzić Lily. Miałyśmy szczęście, że trafiłyśmy na pana, a nie na kogoś innego.

- To pierwsza rozsądna wypowiedź, jaka padła dziś z pani ust. - Ryeburn skrzyżował ręce na piersiach.

- Nie musi pan przybierać tak triumfalnej miny. Przyznałam się przecież do błędu. Prawdziwy dżentelmen nie mówiłby już nic na ten temat.

- Mam pewne wątpliwości, czy wyciągnęła pani wnioski na przyszłość z tego, co się wydarzyło. - Trevor pochylił się do przodu. - Zrobiła to pani?

Eden wstrzymała oddech. Dlaczego do tej pory nie zwróciła uwagi na jego ciemnobrązowe oczy? Teraz nie mogła się oprzeć wrażeniu, że mogłaby w nich zatonać. Przełknęła ślinę, by zwilżyć zaschnięte gardło.

- O co pan pyta?

- Czy wyciągnęła pani wnioski?

- Wątpię - wtrąciła się Lily. Lord Ryeburn wyprostował się.

- Niestety, ja także odniosłem takie wrażenie. Eden spochmurniała.

- Pan mnie przecież nie zna. Mogę zrozumieć Lily, ale panu nie wolno...

Hrabia uniósł dłoń w rękawiczce.

- Ma pani rację, panno Grant. Nie mam prawa wyciągać takich wniosków. Teraz ja winien jestem pani przeprosiny.

- Jakoś nie mogę uwierzyć w ich szczerłość - mruknęła pod nosem. Spuściła wzrok, ale po chwili znów zerknęła na Ryeburna. Tym razem patrzył w stronę okna. To dobrze. Skorzystała więc z okazji, by mu się przyjrzeć.

A więc tak wygląda prawdziwy hrabia. Nie różni się wcale od innych mężczyzn. Chociaż nie. Ma w sobie coś innego. Nie mogła nasycić się jego widokiem. Włosy miał równie ciemne, jak oczy, mocno zarysowany podbródek. Jego twarz... och, jakże przyjemnie było patrzeć na jego twarz.

Pod surdudem rysowały się barczyste ramiona, zdradzając niewątpliwą siłę hrabiego. Choć wyciągnął nogi, i tak musiał je ugiąć w kolanach, gdyż

brakowało dla nich miejsca w powozie. Eden zastanawiała się, dlaczego ma tak niewielki powóz, skoro się w nim nie mieści.

Dopiero po chwili spostrzegła, że nowy znajomy znów na nią patrzy. Zorientował się oczywiście, że mu się przyglądała. Przymknęła oczy, z trudem znosząc to upokorzenie. Cóż jednak mogła poradzić na to, że nigdy nie widziała człowieka jego pokroju. Cóż mogła poradzić na to, że chciała mu się przyjrzeć.

- Panno Grant, czy źle się pani czuje?

- Nie, ale bardzo tego żałuję. - Gdy otworzyła oczy, okazało się, że lord się z niej śmieje. Na szczęście byli już prawie na miejscu.

Powóz zatrzymał się przed domem. Światła płonęły we wszystkich oknach. Przez otwarte drzwi widać było panią Roberts, która załamywała ręce i ocierała oczy chusteczką, rozmawiając z lokajem. Mężczyzna najwyraźniej gotował się do wyjścia.

- Dlaczego pani Roberts jest taka zmartwiona? - zapytała Lily.

- Nie wiem - odparła Eden. I w tym momencie wstrząsnął nią zimny dreszcz. - Lily, czy zostawiłaś jej wiadomość?

- Nie. Sądziłam, że ty to zrobiłaś.

- Do diaska! - Eden zerwała się z siedzenia i otworzyła drzwiczki powozu. Zeskoczyła na ziemię, nie czekając aż ktoś jej pomoże. Chwyliła spódnicę w garść i puściła się biegiem w stronę drzwi. - Pani Roberts! Pani Roberts!

Starsza pani obróciła się, słysząc jej wołanie. Na widok swej podopiecznej załapała się łzami.

- Panna Grant. Bogu dzięki, że nic się pani nie stało. Czy panna Baylor jest z panią?

- Tak. - Eden obejrzała się w stronę powozu. Lord Rye-burn pomagał właśnie Lily wysiąść.

- Wygląda na to, że jednak nie trzeba nikogo zawiadamiać. - Lokaj spojrział na Eden z nieskrywaną dezaprobatą.

- Dziękuję za pomoc, Henry. - Pani Roberts wciąż osuszała kąciki oczu.

Lokaj uklonił się i poszedł do kuchni. Eden spojrzała na swoją opiekunkę. Pani Roberts otarła łzy i wyprostowała się jak struna.

- I gdzie to się pani podziewała, młoda damo?

- Nie chciałyśmy pani przestraszyć. Zamierzałyśmy zostawić wiadomość, ale zapomnialiśmy.

Starsza pani obróciła się w stronę lorda Ryeburna i Li-ly, którzy właśnie wchodzili do domu.

- A kim jest ten człowiek?

- Trevor St. John, hrabia Ryeburn, madam - uklonił się lord. - Pozwoliłem sobie przywieźć panie swoim powozem.

Pani Roberts otworzyła usta ze zdziwienia.

- Hrabia? Panno Grant, co tu się dzieje? Eden spuściła głowę.

- Chciałyśmy pójść do teatru.

- Do teatru? Mówiłam przecież, że to niemoralna rozrywka. Proszę tylko popatrzeć, co ten teatr z wami zrobił. - Opiekunka pogroziła palcem dziewczynie. - Państwo Grant polecieli mi czuwać nad pani bezpieczeństwem. Jak mogę wypełniać swoje obowiązki, skoro nikt nie słucha moich ostrzeżeń? Jeszcze dziś do nich napiszę.

- Wolałabym, żeby pani tego nie robiła. Tata się z pewnością rozżłości, a przecież ja nie jestem dzieckiem.

- To proszę się przestać zachowywać jak dziecko. Twarz Eden pokraśniała. Dziewczyna poczuła, że policzki ją palą.

Pani Roberts odwróciła się do Lily.

- A jeśli chodzi o panią, panno Baylor, to nie mogę wyjść ze zdumienia, że pozwala pani zwodzić się na manowce. Liczyłam na pani rozsądek. Proszę tylko spojrzeć, jak wygląda nowa suknia. Nie wydaje się chyba pani, że pan Grant będzie bez końca łożył pieniądze na pani utrzymanie.

Lily pobladła.

- Przepraszam, pani Roberts.

- Nie każda dziewczyna dostaje od losu taką szansę.

Ciekawe, czy pan Grant będzie w dalszym ciągu taki hojny, gdy opiszę mu, co się wydarzyło.

- Tak, proszę pani. - Lily spuściła wzrok i zmięła trzymaną w ręku chusteczkę. Eden wiedziała, że przyjaciółka z trudem hamuje łzy. Stała więc obok niej i dotknęła jej dłoni. Lily jednak jej nie uścisnęła.

- Proszę podziękować dżentelmenowi i doprowadzić swój wygląd do porządku. - Pani Roberts skrzyżowała ramiona na piersiach i spojrzała surowo na Lily.

Panna Baylor dygnęła posłusznie.

- Dziękuję za pomoc, lordzie Ryeburn - powiedziała tak cicho, że prawie nie było jej słychać. Obróciła się, by odejść, ale po chwili się zatrzymała i znów na niego spojrzała. Wyciągnęła dłoń, patrząc z przerażeniem na pomiętą chusteczkę.

- Proszę to zatrzymać - rzekł Trevor. - Może dzięki temu następnym razem nie da się pani namówić na głupstwa. - Kątem oka dostrzegł, że panna Grant zrobiła kwaśną minę.

Lily skinęła głową i pobiegła na górę. Pani Roberts się rozpromieniła.

- Cóż za mądre słowa. - Obróciła się do Eden. - Zdażymy jeszcze skorzystać z zaproszenia na dzisiejszy wieczór. Nie pozwolę, by interesy pani ojca ucierpiały z powodu głupstw, które pani popełnia, panno Grant. Mogła pani zaszkodzić jego reputacji. Nie mam pojęcia, co panią kierowało. Proszę iść na górę i doprowadzić się do porządku.

Ryeburn zauważył, jak panna Grant się prostuje, spoglądając na opiekunkę bez cienia strachu.

- Tak, pani Roberts - powiedziała i obróciła się do niego. Uniosła nieco swój śliczny podbródek, nim zaczęła mówić. - Jeszcze raz dziękuję za pomoc, lordzie Ryeburn. Przepraszam za kłopoty, których przysporzyłam panu dziś wieczorem. - W jej spojrzeniu była duma i odrobina przekory.

Trevor uklonił się dwornie.

- Miłego wieczoru, panno Grant.

Eden Grant obróciła się i weszła na schody z wysoko uniesioną głową. W jej zachowaniu nie było ani cienia skruchy.

Hrabia spojrział na starszą panią. Nie dziwił się, że panna Grant nie miała ochoty oglądać jej srogich min. Zaczerwienione od łez oczy kobiety świadczyły jednak, że troszczy się szczerze o swoje podopieczne.

- Muszę przeprosić za zachowanie młodych dam, lordzie Ryeburn. Panna Grant jest trochę uparta.

Trochę?

- Nie ma o czym mówić, madam. Cieszę się, że mogłem się na coś przydać.

- Opieka nad tymi dziewczętami to bardzo trudne zadanie. Rodzice panny Grant pozwalali jej na wszystko i strasznie ją rozpuścili. W tym domu nie było żadnej dyscypliny. Państwo Grant wysłali córkę na tę wyprawę w moim towarzystwie, licząc, że uda mi się ją nieco poskromić. Obawiam się jednak, że nawet ja tego nie dokonam. Eden ma dobre serce, ale jej pomysły... - Pani Roberts cmoknęła na znak dezaprobaty.

Ryeburn z trudem powstrzymywał się, by nie okazać zdegustowania. Guwernantka zdradzała mu znacznie więcej, niż chciał wiedzieć na temat tej dziewczyny. Przecież odwiózł ją tylko do domu i nigdy już jej nie zobaczy. Dlaczego więc odezwało się w nim nagle pragnienie, by wziąć nieznajomą w obronę?

- Panna Grant potrzebuje męża, który nie będzie jej pobłażał - ciągnęła pani Roberts. - Potrzebuje twardej ręki, kogoś, kto się nie przestraszy...

- Muszę już iść, madam. Mam pewne plany na dzisiejszy wieczór i obawiam się, że mogę się spóźnić, jeśli zabawię tu jeszcze chwilę. - Ryeburn skinął głową na pożegnanie.

- Och, jakaż to bezmyślność z mojej strony. Proszę o wybaczenie, milordzie. Nie powinnam pana obciążać swoimi kłopotami. Dziękuję raz jeszcze za odprowadzenie dziewcząt. - Pani Roberts złożyła głęboki dyg.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madam. Miłego wieczoru. - Ukłonił się i wycofał. Miał ochotę pobiec jak najprędzej w stronę swego powozu.

Znalazłszy się w jego wnętrzu, oparł się o poduchy. Od lat nie czuł takiej paniki - ostatni raz wówczas, gdy odziedziczył wszystkie problemy po ojcu. Trevor wziął głęboki oddech przez zaciśnięte zęby. Krótkie spotkanie z przypadkową dziewczyną nie ma przecież żadnego znaczenia. Nic się nie zmieniło. Nikt się nie dowie o wydarzeniach tego wieczoru, chociaż jego reputacja i tak w żaden sposób by na tym nie ucierpiała.

Jego oddech powoli się uspokajał. Nie jest przecież podobny do swego ojca; już tego dowiódł. Odrestaurował rodzinny majątek, spłacił długi ojca, a w ciągu ostatnich trzech lat stał się na tyle zamożny, że mógł wreszcie odpocząć. Pamiętał jednak doskonale, ile trudu kosztowało go odbudowywanie reputacji. Teraz w londyńskich salonach wymawiano jego nazwisko z szacunkiem, choć ci, którzy nie zdążyli go poznać i pamiętali tylko jego ojca, wciąż zachowywali rezerwę.

Panika ustąpiła miejsca gniewowi. Że też ta lekkomyślna dziewczyna zdołała wywołać w jego duszy taki zamęt. Chociaż zamęt, który zrobiła w swoim życiu, był najprawdopodobniej znacznie większy.

Śmiał się po cichu tyleż z samego siebie, co i z jej dumy i arogancji. To imię doskonale do niej pasowało. Eden. Raj pełen problemów. Trevor St. John cieszył się, że już nigdy jej nie zobaczy.

Powóz zatrzymał się przed teatrem. Tłum widzów znikł i przed wejściem zostali tylko Toddington i Sterling. Trevor wysiadł, chcąc rozprostować nogi.

- Poczekaj tutaj - krzyknął do stangreta. - To potrwa tylko chwilę. Zaraz pojedziemy do Lockwoodów.

- Oczywiście, milordzie.

Uszedł ledwie parę kroków, gdy jego wzrok natknął się na coś błyszczącego. Spojrzał na ziemię. Moneta. Dziwne, że nikt jej do tej pory nie zauważył. Postanowił zostawić pieniążek dla jakiegoś nieszczęśnika w potrzebie.

Chciał już odejść, ale coś go powstrzymało. Zwyciężyło w nim trudne do wyjaśnienia pragnienie, by jednak obejrzeć tę monetę. Zmarszczył brwi i pochylił się, by ją podnieść.

To nie była angielska moneta. Obrócił srebrny krążek na dłoni. Na rewersie wytłoczono podobiznę jakiejś kobiety, na awersie - wizerunek jakiegoś ptaka. Spostrzegł też jakiś napis, ale nie miał czasu, by mu się bliżej przyjrzeć. Wrzucił pieniążek do kieszeni. Obejrzy go później.

- Już spełniłeś uczynek miłosierdzia? - Toddington uśmiechnął się na widok przyjaciela.

- Dzięki Bogu.

- Mogłeś mnie to zostawić - przypomniał Sterling.

- Żeby jeszcze bardziej narazić na szwank ich reputację? - odparował hrabia.

Sterling zaśmiał się rubasznie.

- Za dobrze mnie znasz, Ryeburn.

- Ładnie z twojej strony, że się nimi zająłeś. - Toddington naciągnął rękawiczki.

- Czy Ryeburn myślał kiedykolwiek o czymś innym niż jego reputacja?

- To prawda - przytaknął Toddington. - Honor i dobre imię ponad wszystko.

- Śmiejcie się do woli, ja cieszę się ze swej reputacji. Co więcej, zamierzam jeszcze umocnić swoją pozycję.

- Jak chcesz to zrobić? - zaciekawił się Christopher.

- Panowie, zamierzam znaleźć sobie żonę.

- Naprawdę myślisz o małżeństwie? - Przyjaciel otworzył szeroko oczy.

- A dlaczegoż by nie?

Sterling także przyglądał mu się z niedowierzaniem.

- Chcesz dobrowolnie założyć kajdanki, chociaż jeszcze długo mógłbyś się cieszyć wolnością?

- Nadeszła właściwa pora, panowie. Mam trzydzieści lat i chciałbym się ustatkować. W tym sezonie znajdę sobie narzeczoną. - Trevor poprowadził przyjaciół w stronę swego powozu.

- Co do tego nie ma wątpliwości. Możesz mieć wprawdzie kłopoty, by znaleźć tylko jedną, zważywszy na to, ile matek szuka mężów dla swoich córek.

- Śmiech Toddingtona odbił się echem od murów teatru.

- O ile dobrze znam Ryeburna, to zaplanował już dokładnie całe przedsięwzięcie - dorzucił Sterling. - Krok pierwszy, dać do zrozumienia, że szuka żony. Krok drugi, dać do zrozumienia, że szuka godnej żony.

- Przypuszczam, że ma już listę ewentualnych kandydatek, z wyszczególnieniem tych, które spełniają najwięcej warunków - zaśmiał się Toddington.

- Gdy już skończycie... - Trevor czekał, aż jego towarzysze się uspokoją.

- Obawiam się, że będzie miał pewien problem. Zważywszy na jego aparycję oraz fakt, że kobiety omdlewają na jego widok, trudno mu będzie dokonać wyboru. - Sterling znów parsknął śmiechem, ignorując całkowicie uwagę Ryeburna.

Hrabia obrzucił obu dżentelmenów obojętnym spojrzeniem.

- Jeśli obaj zamierzacie robić z siebie głupców... Toddington i Sterling poskromili śmiech, choć wcale nie stracili dobrego humoru.

- Nie przypuszczałem, że uważacie mnie za zimnego spekulanta.

- Z pewnością żadna z dam nie powie, że jesteś zimny - stwierdził Christopher.

- Zdaje się, że twoim zdaniem małżeństwo to coś więcej niż transakcja - powiedział Trevor.

- Wolałbym, żeby serce mi żywiej biło na widok dziewczyny, którą mam poślubić, żeby coś mnie z nią łączyło - przyznał Toddington.

- Powinna być ładna. A jeśli chodzi o pozostałe sprawy, to nie wydaje mi się, żeby istniały jakieś duże różnice między kobietami. Wystarczy, że zabiorę się do tego we właściwy sposób, a z pewnością znajdę odpowiednią żonę. Założę się, że wystarczy mi na to miesiąc.

- Założysz się? Nigdy bym cię o to nie podejrzewał, Ryeburn - rzekł prowokacyjnie Sterling.

- W takim razie za słabo mnie znasz. W ciągu miesiąca znajdę sobie żonę, panowie. - Pierwszy dotarł do powozu. Stangret otworzył już drzwi.

- O co się zakładamy? - zapytał Sterling z uśmiechem.

- O symboliczną sumę. O jednego funta? - Ryeburn przepuścił Toddingtona.

- Zdaje się, że nie bardzo wierzysz w powodzenie - zadrwił Sterling.

Trevor wsiadł do powozu, z trudem powstrzymując się od wyładowania swego gniewu.

- Martin ma rację - pokiwał głową Toddington, gdy powóz zakołysał się pod ciężarem wsiadającego Sterlinga. - Taki zakład zdradza brak przekonania.

- Brałem pod uwagę twoje możliwości, Sterling. Nie chciałem, żebyś żałował, gdy przyjdzie ci płacić za przegraną - wyjaśnił hrabia.

- Powiedzmy sto funtów - zasugerował Toddington.

- Sto funtów - powtórzył Sterling.

- Zgoda. Każdy z was płaci sto funtów. Ja tracę dwieście, jeśli przegram. - Trevor zapukał w dach i powóz ruszył.

- Znaleźć odpowiednią żonę w ciągu miesiąca to niełatwe zadanie. - Christopher pokręcił głową.

- Wątpisz w moje możliwości? - Trevor uniósł brew, patrząc na przyjaciela.

- Gdybyś interesował się jakąś panną, bez wahania powiedziałbym, że nie wątpię. Ale znaleźć kandydatkę, skoro jeszcze nie zacząłeś szukać... - Seymour wzruszył ramionami. - Szkoda, że panna Grant odpada.

- Myślałem, że wpadła ci w oko raczej jej towarzyszka, panna Baylor - zirytował się Ryeburn.

- Nie wypowiadam się na temat własnego gustu. Myślałem o tobie. To pierwsza kobieta, z którą spędziłeś więcej niż trzy minuty, jeśli nie liczyć twoich przypadkowych kochanek. Musisz przyznać, że to skończona piękność.

Trevor przypomniał sobie chłodny błysk jej błękitnych oczu, zapach lawendy, jaki roztaczała, a także jej żywiołowe, pełne ognia usposobienie.

- Może i jest piękna, ale zupełnie nie nadaje się na hrabinę. Nie, moi panowie. W ciągu miesiąca znajdę narzeczoną i nie będzie to kobieta tak lekkomyślna i uparta jak panna Grant.

### 3

Trevor usadowił się wygodniej. O Boże, co go opętało? Parę minut w towarzystwie tej kobiety wystarczyło, by stracił panowanie nad sobą. Nie miał wprawdzie najmniejszych wątpliwości, że znajdzie odpowiednią narzeczoną w ciągu miesiąca, ale nie powinien chyba dać się sprowokować do zawarcia zakładu. Nie martwił się jednak o rezultat. Wiedział doskonale, czego oczekuje od swej przyszłej żony. Czy trudno będzie znaleźć kogoś, kto spełnia jego wymagania?

Powóz zatrzymał się przed rezydencją Lockwoodów. Na ulicy stało już mnóstwo innych powozów, ze stangretami w różnobarwnych liberiach. Światło padające z jasnych okien domu tworzyło dziwne wzory na bruku. Do powozu podbiegł lokaj, by otworzyć gościom drzwiczki. Hrabia otrząsnął się ze swych myśli. Nie pozwoli, by ekstrawagancje panny Grant zepsuły mu wieczór. Lockwood był użytecznym sprzymierzeńcem w Parlamencie, a ponadto człowiekiem, któremu Trevor bardzo wiele zawdzięczał.

Starając się zapomnieć o wydarzeniach tego wieczoru, Rye-burn wysiadł z powozu. Za nim wyszli Toddington i Sterling.

Lokaj uklonił się nisko.

- Dobry wieczór, panowie.

Trevor skinął mu głową i w towarzystwie przyjaciół ruszył do domu. Gdy już znaleźli się w salonie, wypatrzył krążącą wśród gości gospodynię.

Lady Lockwood pospieszyła mu na powitanie.

- Hrabio, jak miło znów pana widzieć. Bardzo nam pana brakowało. -

Uśmiechnięta gospodyni obróciła się do jego towarzyszy. - Lordzie Toddington, widzę, że przyprowadził pan pana Sterlinga. Świetny pomysł. Jeden z dżentelmenów zachorował i nie będzie mógł przyjść. Już się obawiałam, że któraś z dam będzie musiała iść do jadalni bez eskorty.

Trevor uklonił się dwornie.

- Lady Lockwood, za każdym razem, gdy panią widzę, jest pani jeszcze piękniejsza.

- Teraz już pan rozumie, dlaczego ciągle pana zapraszam, mój drogi. Przy panu czuję się tak młodo. Chodźmy. Spodziewamy się jeszcze paru osób. A na razie proszę się rozgościć.

Trzej dżentelmeni ruszyli w głąb salonu. Trevor rozejrzał się dokoła. Było już ze dwadzieścia osób. Lady Lockwood lubiła wydawać duże przyjęcia, z jej słów wynikało, że będzie jeszcze więcej gości.

Spojrzenie Ryeburna zatrzymało się na młodej damie stojącej w rogu salonu. Poszukał w pamięci jej nazwiska. Ach, tak. Lady Regina Hope. Rozmawiała właśnie ze swą matką, pewnie zastanawiały się, który z obecnych dżentelmenów stanowi najlepszą partię. Obie spojrzały w jego stronę i twarz lady Reginy spłonęła rumieńcem. Hrabia uśmiechnął się i skinął im głową. Panna Hope spełnia jego kryteria, ale...

Jej uroda jest dziwnie mdła. Jej spojrzeniu brak ognia, a cerę ma raczej niebieską niż białą. Nie ma różanych policzków, a jej głos z pewnością nie stanowi pieszczoty dla uszu. Przy tym wszystkim jest dość niska.

Trevor wyprostował się i potarł czoło. Nigdy przedtem nie oceniał w ten sposób kobiet. Nie mógł pojąć, jakim cudem popadł w tak dziwny nastrój.

Toddington nachylił się ku przyjacielowi.

- Nie zgadniesz, kto właśnie wchodzi do salonu. Trevor powiódł spojrzeniem w kierunku drzwi. Wielkie

nieba! To panna Grant. Niemożliwe. Popatrzył raz jeszcze. To bez wątpienia ona. Na jej twarzy malował się wprawdzie niepokój, ale na pierwszy rzut oka widać było, że nie lęka się wyzwania, jakie mogą ją czekać w nieznanym salonie. Była wyprostowana jak struna. Chyba poprawiła fryzurę, ponieważ teraz jej twarz okalały włosy misternie upięte w sploty. Szkoda, że nie usunęła kilku szpilek i nie pozwoliła, by loki opadły jej na ramiona. Miała na sobie tę samą zieloną suknię, w której widział ją przed teatrem. Suknia nie była pastelowa, jak stroje innych dziewcząt. Nic dziwnego, że osoba jej pokroju lekceważy nakazy mody. Eden Grant rozglądała się po salonie.

- Wygląda prześlicznie. - Toddington także przypatrywał się nowym gościom.

Ryeburn zaczął się już irytować, ale po chwili spostrzegł, że przyjaciel patrzy na pannę Baylor. Ciemnowłosa dziewczyna także doprowadziła swój wygląd do porządku. Na tle towarzyszki wyglądała jednak dość blado.

Lady Lockwood podeszła do nowych gości. Wzięła pannę Grant za rękę.

- Pani jest z pewnością Eden Grant. Nie mogłam się doczekać tego spotkania. Pani ojciec tyle nam o pani opowiadał. Cóż to za uroczy człowiek! Mój mąż darzy go wielką estymą.

Eden dygnęła nisko.

- Miło mi panią poznać, lady Lockwood. Pozwoli pani, że przedstawię jej swoją przyjaciółkę, Lily Baylor.

Lily uśmiechnęła się nieśmiało i pospiesznie dygnęła.

- Jeszcze jedna urocza młoda dama. Nie zdziwię, się, jeśli obie panie przyciągną wszystkie spojrzenia tego wieczoru. Chodźmy. Przedstawię was przemiłym młodym dżentelmenom. - Lady Lockwood wzięła pod ramię obie panny i ruszyła w stronę Ryeburna.

Na jego widok Eden stanęła jak wryta, pociągając lady Lockwood do tyłu.

- Och, przepraszam, poślizgnęłam się.

Lady Lockwood zachichotała jak młoda dziewczyna.

- Nic nie szkodzi. Hrabio, chciałabym przedstawić panu pannę Eden Grant. To córka naszego partnera w interesach z Massachusetts.

Wyraz twarzy panny Grant powinien mu wynagrodzić cały nudny wieczór. Wahala się najwyraźniej, czy przyznać, że go zna, czy też udawać, że go nie poznaje. Oczekał chwilę. Nie miał ochoty podejmować za nią decyzji.

Jej twarz się nagle rozjaśniła. Trevor uniósł brew, ciekaw, co powie.

- Lord Ryeburn. Cieszę się, że znów pana widzę. Lady Lockwood była wyraźnie zaskoczona.

- Państwo się znają?

- Tylko przelotnie. Spotkaliśmy się przypadkiem na ulicy i lord Ryeburn był tak uprzejmy, że wybawił nas z kłopotu.

- Cieszę się, że pani mnie pamięta. - Trevor zrozumiał jej ukryte intencje. Jej ogólnikowa wypowiedź sugerowała, że spotkali się przypadkiem na Bond Street, czy w jakimś innym miejscu, i że on pomógł jej, wskazując drogę. Udało się więc jej uniknąć kłamstwa. Pochylając się nad jej dłonią, uśmiechnął się sam do siebie zadziwiony inteligencją nowej znajomej.

- To wspaniale. Zechce pan zaprowadzić pannę Grant do stołu, hrabio? Jestem przekonana, że ucieszy pana towarzystwo tak pięknej dziewczyny. - Lady Lockwood uśmiechnęła się promiennie i pociągnęła Lily w stronę Sterlinga.

Kamerdyner zapowiedział, że zaraz zacznie się kolacja.

Trevor wyciągnął ramię, a Eden położyła dłoń na jego ręce. Zadziwił go aksamitny dotyk jej ciepłej skóry. Jego dłoń zapłonęła ogniem pod jej palcami. Ryeburn odsunął od siebie tę idiotyczną myśl i ruszył naprzód. Zatrzymał się jednak, widząc, że Eden Grant wciąż stoi w miejscu.

- Panno Grant?

- Nie mogę zostawić Lily.

- Proszę się o nią nie martwić. Lady Lockwood zatroszczy się, by ktoś się nią zajął.

Weszli do jadalni. Obrus z białego adamaszku pokrywał stół rozciągający się od ściany do ściany. Za wysokimi oparciami krzesel stali już lokaje, gotowi pomóc gościom w zajmowaniu miejsc. Wszystkie talerze oraz paterę ustawioną na samym środku zdobił złoty ornament. W przybranym kiść-mi owoców i kwiatami kandelabrze płonęło dwanaście świec.

- Wielkie nieba! - szepnęła Eden. Wodziła wzrokiem dokoła, począwszy od stołu, a skończywszy na złotej tapecie, którą wyłożono ściany.

- Robi wrażenie, prawda? - szepnął Trevor. Dziewczyna zeszywniała.

- Jeśli ktoś lubi przepych.

Jego śmiech podziałał na nią jak lampka szampana.

- Pani lubi mieć zawsze inne zdanie, prawda?

- Wcale nie. - Eden zarumieniła się, czując, że kłamie. Gryzło ją sumienie.  
- No, może trochę.

Zakłopotana się bardziej, gdy roześmiał się jeszcze raz. Zerknęła na niego spod rzes i zachwyła się blaskiem jego rozbawionych oczu. Toń jego ciemnych tęczówek wciągała ją coraz głębiej. Eden pochyliła się ku tej głębinie...

Hrabia ruszył naprzód, wrywając ją z marzeń. Wielkie nieba, co się z nią dzieje? Ten arogancki mężczyzna nie ma przecież nad nią żadnej władzy. Lord odsunął krzesło, by mogła usiąść. Posadzono ją między Ryeburnem i jakimś starszym dżentelmenem. Eden odetchnęła z ulgą. Postanowiła, że będzie

rozmawiać tylko z drugim ze swych sąsiadów, bez względu na to, kim on jest. Nie będzie musiała odzywać się do Ryeburna.

Rozejrzała się dokoła. Lily siedziała obok Martina Sterlinga. Przyjaciółka uśmiechnęła się do niej. Najwyraźniej dobrze się czuła w towarzystwie tego dżentelmena, bo od czasu do czasu obracała się ku niemu i coś mówiła. Z drugiej strony Lily siedział lord Toddington. Z kolei jego sąsiadką była bardzo atrakcyjna młoda dama, ale Toddington patrzył tylko na Lily. A gdy tylko Sterling się ku niej nachylał, hrabia marszczył brwi. Eden uśmiechnęła się nieznacznie. Lily najwyraźniej wpadła w oko hrabiemu.

- Co jest takie zabawne? - zapytał Ryeburn. Dźwięk jego głosu wprowadził ją w zdumienie.

- Interesujące, a nie zabawne.

Przed Eden pojawił się talerz z zupą. Z poczuciem ulgi skoncentrowała się na jedzeniu, zadowolona, że nie musi tłumaczyć swojej ostatniej kwestii.

Na stół wjeżdżały kolejne dania. Najpierw pstrąg i pieczony na ruszcie łosoś. W charakterze przystawki pojawiły się ozorki w galarecie i kotlety jagnięce, a później przepiórka i kaczka. Eden sączyła wino i rozkoszowała się różnorodnymi potrawami. Starszy pan, który siedział u jej lewego boku, opowiadał o polowaniach i swej kolekcji tabakerek, co ją wprawdzie niewiele interesowało, ale stanowiło bezpieczny temat konwersacji. Gdy zniknęło ostatnie główne danie, służba sprzątnęła ze stołu. Po szampanie i deserach damy przeszły do salonu.

Eden odetchnęła z ulgą. Na sofach i krzesłach w salonie siedziało mniej więcej dziesięć dam. Zdołała jakoś przetrwać kolację, nie wdając się w kłopotliwe rozmowy z lordem Ryeburnem. Teraz trzeba tylko doczekać godziny, o której można będzie pójść do domu...

Lady Lockwood uśmiechnęła się do swych gości.

- Octavio, czy zechciałabyś powiedzieć nam ten piękny wiersz?

Z sofya podniosła się jakaś starsza, wyraźnie zadowolona z okazji do występu, dama. Miała głęboki, naznaczony wiekiem głos.

- To będzie wiersz lorda Byrona. - Chrząknęła. - „*Idzie w Piękności jak noc, która kroczy/ W cichym gwiazd gronie przez bezchmurne kraje...*”

Eden przestała słuchać. Wiersz był rzeczywiście piękny, ale głos recytującej damy działał na nią usypiająco. Rozejrzała się po salonie w poszukiwaniu Lily, która siedziała w innym kącie, w towarzystwie jakiejś matrony. Eden spojrzała na swoją sąsiadkę - młodą i piękną.

Uświadomiwszy sobie, że wszystkie panie biją brawo, czym prędzej się do nich przyłączyła. Wówczas siedząca koło niej dziewczyna poniosła się z miejsca.

- Jeśli panie sobie życzą, mogę coś zaśpiewać.

- Znakomity pomysł, Regino. - Lady Lockwood uśmiechnęła się promiennie.

Eden uśmiechnęła się sztucznie, z nadzieją, że nikt nie zauważy jej zdenerwowania. Sprawy przybierały coraz bardziej niepokojący obrót. Lily spojrzała w jej kierunku, ale odwróciła wzrok. Nie będzie patrzeć na Lily. Nikt z obecnych o niczym nie wie. Na razie nic jej nie grozi.

Regina zasiadła do pianina, by sobie akompaniować. Eden miała nadzieję, że uśmiech nie zniknie z jej ust do końca występu. Wymagało to jednak sporego wysiłku, tak że rozboleły ją mięśnie twarzy. Zerknęła na zegar. Minęło dopiero piętnaście minut. Z pewnością wkrótce dołączą do nich panowie i występy się skończą, zanim...

Wtedy ze swego miejsca podniosła się pani Roberts siedząca w kącie salonu.

- Moje podopieczne także z przyjemnością coś dla pań zagrają i zaśpiewają.

Eden spojrzała błagalnie na Lily. Przyjaciółka wzruszyła ramionami. Nie widziała żadnego sposobu, by się grzecznie wycofać.

Wówczas przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Wstała i podeszła do pianina. Lily zasiadła nad klawiaturą.

- Eden, bez względu na to, co wymyśliłaś, błagam, nie rób tego - szepnęła.

- Zaufaj mi.

- Nie mogę już tego słuchać. - Lily z niepokojem czekała na to, co powie przyjaciółka.

- Moja przyjaciółka, Lily, często mi akompaniuje. Dzięki temu się poznałyśmy. Obie bierzemy lekcje muzyki i to nasi nauczyciele skontaktowali nas ze sobą. Od samego początku pokochałyśmy się jak siostry. Lily jest wyjątkowo utalentowana.

- Eden, przestań - szepnęła Lily.

- Na początek wykonamy dla pań pieśń Jana Sebastiana Bacha, „Sheep May Safely Graze”. - Panna Grant uśmiechnęła się do publiczności.

Lily położyła dłonie na klawiaturze i spod jej palców popłynęła melodia. Eden otworzyła usta, by wziąć pierwszą nutę. O wiele za wysoko.

Eden spostrzegła, że damy się krzywią delikatnie i że patrzą na nią z niedowierzaniem. Kolejna nuta zabrzmiała równie fałszywie. Zdażyła w ten sposób zaśpiewać cały wers, nim na twarzach dam zastygły bolesne uśmiechy.

- Eden - syknęła Lily.

Panna Grant zignorowała przyjaciółkę. Trzy kolejne dźwięki zaśpiewała równie fałszywie. Lily przestała grać. Podniosła się z miejsca.

- Proszę nam wybaczyć. Zagram inną pieśń. - Lily popatrzyła na przyjaciółkę nim usiadła. Uśmiechnęła się przy tym tak filuternie, że Eden powzięła pewne podejrzenia.

W salonie zapanowała cisza. Panna Baylor wzięła głęboki oddech i zaczęła grać. Z instrumentu popłynęły tak słodkie dźwięki, że słuchaczki znów zastygły w oczekiwaniu. Muzyka poruszyła najczulszą strunę w duszy Eden. To była jedna z jej ulubionych pieśni, „Ave Verum Corpus” Mozarta. Najlepiej

brzmiała rozłożona na cztery głosy - Eden wiedziała, że obdarzone wielkim talentem dłonie Lily zrekompensują brak niższych tonów. Postanowiła, że później wyrówna rachunki z przyjaciółką, teraz jednak nie mogła zrobić nic innego, tylko zacząć śpiewać.

Pierwszy dźwięk, jaki wydobył się z jej ust, zrobił równie wielkie wrażenie, jak poprzednia próba. Wszystkie damy zamarły ze zdziwienia, tym razem jednak dlatego, że dźwięk był nieprawdopodobnie czysty i lekki. Eden śpiewała dalej, zatracając się całkowicie w muzyce. Jej głos wypełnił salon pięknem i radością. Podczas pierwszej pauzy Eden spojrzała na swą publiczność. Na twarzach siedzących w salonie dam malował się nieklamany zachwyt.

Śpiewała coraz cudowniej. Kruchego piękna kulminacyjnej frazy nie sposób nawet opisać. Na ramionach dziewczyny pojawiła się gęsia skórka, jak zawsze, gdy śpiewała ten fragment. Wreszcie zamilkła. Lily zagrała trzy ostatnie takty. Przez chwilę panowała całkowita cisza. W oczach wielu dam lśniły łzy. A potem salon wypełnił się gwarem pełnych podniecenia rozmów i burzliwymi brawami.

Panowie pili tymczasem porto w jadalni. Słyszając dobiegające z salonu pojedyncze nuty, żartowali na temat damskich rozrywek. Trevor przysłuchiwał się pogawędkom bez większego zainteresowania. Zatonął w rozmyślaniach, choć wcale nie był z tego zadowolony. Podczas kolacji panna Grant unikała z nim rozmowy, co nie powinno go martwić. A jednak w pewien sposób go to dotknęło. Za bardzo martwił się swym brakiem dyscypliny, by włączyć się w męskie rozmowy.

Lokaj przyniósł kolejną butelkę porto. Gdy otworzył drzwi, panowie znów usłyszeli muzykę dobiegającą z salonu, tym razem jednak nikt nie ośmielił się żartować. Kunszt osoby, która grała na pianinie, był niewątpliwie godzien podziwu, a na tle akompaniamentu rozlegał się iście anielski głos. Panowie zamilkli. Gdy pieśń dobiegła końca, do ich uszu dotarł entuzjastyczny aplauz.

Potem chwila ciszy i znów muzyka. Większość dżentelmenów odstawiła kieliszki, by podążyć za czarodziejskimi dźwiękami. Tre-vora ogarnęło zdumienie. Nigdy się nie zdarzyło, by panowie tak szybko przyłączyli się do dam. Poszedł za nimi.

W holu głos śpiewającej kobiety brzmiał jeszcze bardziej zachwycająco. Jego barwa i utajona w nim namiętność przykuwały uwagę wszystkich dżentelmenów. Muzyka zaczęła wnikać w serce Trevora. Panowie wślizgiwali się pojedynczo do salonu.

Hrabia stanął w drzwiach i zamarł. Eden. Ten czarodziejski głos należał do panny Grant. Na widok uniesienia malującego się na twarzy dziewczyny Ryeburn wstrzymał oddech. Panna Grant nie tylko śpiewała pieśń Mozarta, ona była wręcz ucieleśnieniem tej muzyki. Jej oczy błyszczały jak diamenty, jej usta pieściły każde słowo, jej dłonie podkreślały każdą nutę delikatnymi ruchami motyla. Trevor St. John nigdy w życiu nie widział nikogo i nic równie pięknego.

Gdy pieśń dobiegła końca, panowie przyłączyli się do aplauzu dam. Niektórym z nich także łza się zakręciła w oku.

- Kto by pomyślał, że ta psotnica ma taki talent? Jakiś głos wyrwał hrabiego z kręgu oczarowania. Ujrzał uśmiechniętą twarz Sterlinga. Tknęło go jakieś dziwne, niedobre przeczucie, ale natychmiast je zlekceważył.

- Utalentowana i bogata. Czy wiesz, że jej ojciec jest jednym z najzamożniejszych ludzi w Ameryce? - Za uśmiechem Sterlinga kryło się coś więcej niż zwykle rozbawienie. Niepokój Ryeburna wzrósł.

Na prośbę gospodyni Lily zagrała jeszcze jeden utwór i Eden znów zaczęła śpiewać. Muzyka usunęła w cień to, co hrabia chciał powiedzieć Sterlingowi. Poczul, że zatraca się nie tylko w muzyce, ale także w jej głosie.

Gdy Eden zamilkła, Trevor postanowił otrząsnąć się z odrętwienia. Rozejrzał się po salonie. Wszyscy, z wyjątkiem Sterlinga, ulegli jej czarom. Ta dziewczyna potrafiła czynić cuda swym głosem.

Pomimo usilnych starań Ryeburn nie potrafił oderwać od niej spojrzenia. Nie potrafił przestać o niej myśleć. Nie zamierzał się nią interesować. Była przecież lekkomyślna, buńczuczna, niezdyscyplinowana. A przy tym piękna, utalentowana i pełna życia.

Trevor St. John przeklął własną słabość.

## 4

- Powiedz proszę, że to był tylko sen. - Eden przetarła oczy.

- To nie był sen. - Lily przysiadła na brzegu łóżka przyjaciółki, pijąc czekoladę z jej filiżanki.

- Chyba będę musiała wyjechać z Anglii. - Panna Grant znów opadła na poduszki. Naczynia stojące na tacy zabrzęczały.

- Ostrożnie, wszystko wylejesz.

- Ostrożnie? Już za późno na ostrożność - jęknęła Eden, chowając głowę pod poduszkę. - To twoja wina. To ty zagrałaś Mozarta.

- A co miałam zrobić, skoro zaczęłaś się tak wygłupiać. - Lily pogłaskała ją po ramieniu. - Nie będzie tak źle. Na wczorajszym przyjęciu było zaledwie dwadzieścia osób. No i w końcu jesteśmy w Anglii. Tu się liczą przede wszystkim dobre maniery.

Eden zaśmiała się niewesoło.

- Obyś miała rację.

Energiczne pukanie do drzwi sprawiło, że wysunęła głowę spod poduszki. Usiadła na łóżku.

- Proszę.

W drzwiach pojawiła się pani Roberts.

- Dzień dobry, moje drogie.

Pani Roberts jeszcze nigdy nie witała się z nimi tak radośnie. Eden spojrzała na Lily.

- Dzień dobry. Mam nadzieję, że będzie dobry.

- Cóż to za pomysł, żeby udawać, że się nie umie śpiewać! - zaśmiała się guwernantka.

Eden oniemiała z wrażenia. Nigdy nie słyszała śmiechu pani Roberts.

- Nigdy panie nie zgadną, co się wydarzyło - ciągnęła opiekunka.

- O, nie - skrzywiła się Eden. - A co takiego się wydarzyło?

- To niewiarygodne. Nigdy bym nie przypuszczała, że panie odniosą taki sukces.

- Proszę raczej nam zdradzić, o czym pani mówi, pani Roberts - zachęciła ją Lily.

- Bale, przyjęcia. Dziś rano przyszło pięć zaproszeń.

- Zaproszeń? - Eden z trudem przełknęła ślinę.

- Tak, moje drogie. Wygląda na to, że wasz występ tak zuroczył lady Lockwood, że opowiedziała o wszystkim swoim przyjaciołom. - Opiekunka pokazała cztery różne koperty. Uniosła jedną, ze złamaną czerwoną pieczęcią. - To zaproszenie na dzisiejszy wieczór. Na bal. Proszę sobie tylko wyobrazić! Zaproszenie od markiza i markizy Heathsbury.

- Na bal? - Eden zamknęła oczy.

- Tak. Panno Grant, czy musi pani powtarzać wszystko, co mówię? - Pani Roberts obrzuciła podopieczną badawczym spojrzeniem. - Chyba nie jest pani chora?

- Nie. - A szkoda.

- To dobrze. Chyba nie chciałaby pani stracić dzisiejszego balu. - Pani Roberts podeszła do drzwi, ale po chwili znów wróciła. - Czeka nas męczący dzień, moje panie. Proszę nie tracić czasu w łóżku - przykazała i wyszła.

- Wiedziałam. Już się zaczęło. - Eden odrzuciła koc, nie zwracając uwagi na protesty Lily, gdy koc spadł na tacę z jedzeniem.

- Niemądra jesteś. - Lily wydobyła tacę spod koca i przeniosła ją na mały stoliczek. - Przynajmniej sobie potańczymy.

- Ciekawe, ile sobie potańczymy. Kazała nam śpiewać przez cały wieczór. -  
Eden otworzyła drzwi do garderoby, by wyjąć jakąś suknię.

- Przecież tam będzie jakaś muzyka. Poproszą cię, byś zaśpiewała jedną albo dwie pieśni, ale nie sądzę, bym ja się miała na coś przydać.

- No tak. Ty się będziesz świetnie bawić, a ja zostanę atrakcją wieczoru. -  
Eden rzuciła koszulę nocną na łóżko i włożyła prostą suknię.

- Żartowałam. Nie będzie tak źle. A poza tym ty przecież lubisz śpiewać. -  
Panna Baylor stanęła za przyjaciółką, by zapiąć jej suknię.

Eden westchnęła ciężko.

- Lubię. Tylko, że ludzie przestają wówczas panować nad swymi uczuciami. Popatrz tylko, co się zdarzyło wczoraj wieczorem.

- Ciesz się, że nikt ci się nie oświadczył. Na razie. Eden spojrzała na przyjaciółkę i wybuchnęła śmiechem.

- Masz rację. Nie będzie tak źle, jak w domu. Wróciła do garderoby, by wziąć torebkę, której używała poprzedniego wieczoru.

- A zresztą mam coś, co zapewni mi bezpieczeństwo. Sięgnęła do torebki i zmarszczyła brwi. Zajrzała głębiej i jeszcze raz włożyła rękę do środka.

- Zniknęła.

- Co zniknęło?

- Moja moneta. Mój talizman szczęścia. - Eden wywróciła torebkę na lewą stronę. Dolny szew był rozpruty. - Och, nie. Na pewno wypadła tędy.

- Może wypadła gdzieś tutaj. - Lily zaczęła rozglądać się dokoła.

Eden rzuciła się na kolana.

- Musi gdzieś tu być. - Szukała na podłodze, wpełzła nawet pod łóżko. Od kurzu aż zakręciło się jej w nosie i kichnęła. Gdy wyszła spod łóżka kichnęła jeszcze dwa razy. - Zadzwoń na pokojówkę.

Lily pociągnęła za linkę.

Eden zrzuciła pościel i uniosła materace. Widząc pokojówkę, pobiegła w jej stronę.

- Czy nie znalazłaś wczoraj wieczorem starej monety?

- Nie, proszę pani.

- Jesteś pewna?

- Tak, proszę pani.

- Gdzie ona może być? - Eden znów wbiegła do garderoby i zaczęła szperać między ubraniami. Wszystkie suknie wylądowały na podłodze.

Lily odprawiła pokojówkę i poszła za przyjaciółką do garderoby.

- Eden, tu tego nie znajdziesz.

Panna Grant spojrzała na przyjaciółkę. Po chwili jej oczy wypełniły się łzami, a twarz Lily rozmazała się i zniknęła.

- Wiem. Mogłam ją zgubić gdziekolwiek. Trzeba by było przeszukać pół Londynu. - Opadła na podłogę. - Pewnie leży gdzieś w rynsztoku.

Lily przyklękła i przytuliła zrozpaczoną Eden.

- Ta moneta wiele dla ciebie znaczyła.

- Dostałam ją od matki. Przynosiła mi szczęście. - Dziewczyna pociągnęła nosem i otarła łzy dłonią.

Lily podała jej chusteczkę.

- Wcale ci nie przynosiła szczęścia. Przypomnij sobie Florencję. I Wiedeń. I Paryż.

Panna Grant uśmiechnęła się mimo woli.

- Może nie zawsze wywierała pozytywny wpływ, ale na pewno jakiś wpływ wywierała.

- Bardzo mi przykro, że ją straciłaś. - Lily wstała. - Powinnyśmy chyba doprowadzić do ładu twój pokój. - Wróciła do sypialni i zaczęła zbierać pościel.

Eden także wstała, choć wciąż rwał się jej oddech. Podniosła suknię i powiesiła ją na miejsce.

*Numquam tuas spes dedisce.*

Łacińska sentencja przyfrunęła tu z wiatrem. Eden odsunęła tę myśl. W garderobie nie było żadnego wiatru i nikt tych słów nie wyszeptał.

Najprawdopodobniej sama je sobie przypomniwała. Tylko dlaczego? Dlaczego nagle przypomniwała sobie sentencję wyrytą na monecie? Nie miała przecież żadnych marzeń ani żadnych nadziei. Podczas podróży po Europie nie opuściło jej przecież niejasne poczucie, że nie wie, czego szuka. Żadna moneta nie pomoże jej znaleźć tego, czego nie potrafi nawet nazwać.

To był talizman szczęścia, nic więcej. Boję się po prostu, że teraz zdarzy się coś złego.

Pół godziny później zaczęły ją nękać jeszcze gorsze przeczucia. Dziewczęta zeszyły na dół, w chwili gdy pani Roberts zamykała drzwi wejściowe.

- Proszę tylko spojrzeć, panno Grant. - Starsza pani trzymała kosz kwiatów. - To już drugi w dniu dzisiejszym. A od czasu kiedy rozmawialiśmy, odebrałam jeszcze jedno zaproszenie.

Eden zerknęła na Lily.

- Kto przysłał te kwiaty?

Pani Roberts postawiła koszyk na stole w holu i wyjęła bilecik. Sięgnęła po binokle wiszące na łańcuszku przypiętym do sukni. Umieściła je na nosie i zaczęła czytać: „Dla panny Grant. Proszę przyjąć ten skromny bukiet na znak mego szacunku. Martin Sterling”. To ten miły dżentelmen, który siedział obok panny Baylor wczoraj wieczorem.

- Pamiętam. - Eden nawet nie spojrzała na kwiaty. Weszła do salonu. Jej spojrzenie spoczęło na kolejnym bukietcie. - A to od kogo?

- Od lorda i lady Lockwood, w podzięce za to, że uświetniła pani ich przyjęcie. Wyrażają nadzieję, że odwiedzi ich pani raz jeszcze przed powrotem do Massachusetts.

Eden opadła ciężko na kozetkę.

- Jestem skończona.

Pani Roberts spojrzała na nią ze zdziwieniem.

- Młode damy nie siadają w ten sposób, panno Grant. Dlaczego jest pani skończona?

- Nieważne - westchnęła Eden.

- Nieważne? Jeśli została pani skompromitowana, pani ojciec oskarży mnie o to, że źle się panią opiekowałam. Co się tym razem stało? - Opiekunka podniosła głos.

- Proszę się nie martwić, pani Roberts. Nie jestem skompromitowana. Nie o to chodzi.

- Na Boga, panno Grant, proszę mnie nie straszyć. Przecież ja w ten sposób zarabiam na życie. Moja reputacja może poważnie ucierpieć, jeśli nie będzie pani uważać na to, co mówi...

- Przepraszam, pani Roberts. Kiedy wrócimy do domu, z przyjemnością napiszę zaświadczenie, w którym potwierdzę pani nienaganne prowadzenie się oraz profesjonalizm opieki, jaką nas pani otoczyła.

- Nie chodziło mi... a zresztą nic nie szkodzi. - Pani Roberts strzepnęła niewidoczny pyłek ze swej sukni. - Dziś po południu musimy wyjść, żeby kupić kilka nowych toalet. Nie wystarczy paniom strojów na te wszystkie bale i przyjęcia. - Starsza pani obróciła się na pięcie i zostawiła dziewczęta w salonie.

- Nie martw się, Eden. Pomyśl tylko, ilu arystokratów zabiega o twoje względy. - Lily usiadła obok przyjaciółki.

- Ty przecież grasz wspaniale. Dlaczego tobie nie zwracają głowy?

- Dlatego, że twój śpiew przyćmiewa moją grę. W głosie Lily nie było nawet cienia zawiści.

- Kiedyś będę zarabiać na życie, grając na pianinie albo przynajmniej udzielając lekcji jakimś zasmarkanym dzieciakom. Uwielbiam ci akompaniować, ale nie mam złudzeń co do rangi swojego talentu. - Lily uniosła dłoń, by powstrzymać protest, do którego Eden już się szykowała. - Och, gram nieźle, ale mój talent nie jest wcale nadzwyczajny. Ty natomiast masz niezwykle dar, a na dodatek nie będziesz musiała się troszczyć o pieniądze.

Możesz śpiewać dlatego, że to lubisz. A ja bardzo się cieszę, mogąc ci akompaniować.

Wzruszona Eden uścisnęła Lily.

- Teraz już wiem, dlaczego jesteś moją najdroższą przyjaciółką. No cóż. Zaplanujmy, co włożymy na dzisiejszy bal. Musimy olśnić tych Brytyjczyków naszym szykiem i talentem.

Trevor siedział przy okrągłym stoliku w bibliotece. To był jego ulubiony pokój. Często przychodził tu o poranku, by posiedzieć wśród książek w przyćmionym świetle i zebrać myśli, nim rzuci się w wir dnia. Przeglądał właśnie kalendarium Parlamentu. Przed nim stała filiżanka parującej kawy. Zerknął na dokument, a potem odłożył go na bok. W Parlamencie nie działo się na razie nic interesującego. Uniósł filiżankę z talerzykiem, wypił trochę kawy, a potem odstawił talerzyk na stół, w dokładnie to samo miejsce.

Sięgnął do kieszeni i wyjął monetę znaną z poprzedniego wieczoru. Miał zamiar obejrzeć ją uważnie w świetle dziennym. Podniósł ją do lampy stojącej na biurku i obrócił w palcach.

Na awersie widniała podobizna Wenus. A na rewersie - łąbądź. Wokół wizerunku ptaka wytłoczono napis. *Numquam tuas spes dedisce*. Reyburn przypomniał sobie lekcje łaciny. Nigdy nie zapominaj o marzeniach.

Dziwne motto. Na monecie nie było żadnych liczb, Trevor nie miał jednak wątpliwości, że jest bardzo stara. Jeszcze raz obrócił ją w dłoni. Doszedł do wniosku, że to rzymski zabytek, uznał jednak, że to nie może być pieniądz. Najbardziej zastanawiała go jednak zagadka, w jaki sposób ten srebrny krążek znalazł się na londyńskiej ulicy.

Powrócił myślami do przeczytanej przed chwilą sentencji. Ciężko pracował, by zrealizować swoje marzenia. Ojciec doszczętnie skompromitował nazwisko. Rodzinna posiadłość, Concordia, niemal całkowicie podupadła. Udało mu się jednak naprawić wszystkie szkody wyrządzone przez ojca.

Z zamyślenia wyrwało go pukanie do drzwi.

- Proszę.

Do biblioteki wszedł kamerdyner Finch.

- Ma pan gościa, sir - powiedział, podając wizytówkę na tacy.

Trevor zerknął na kartę. Toddington.

- Proszę go wprowadzić, Finch. Nie mam nic przeciwko towarzystwu.

- Tak, proszę pana.

Trevor schował monetę do szuflady. Do biblioteki wszedł Christopher.

- Witaj, Ryeburn. Mam nadzieję, że to nie za wczesna pora.

- W żadnym razie. Hrabia ruszył w stronę sofy.

- Wciąż pijesz to paskudztwo? Ja nie znoszę kawy.

- Nie będę ci więc jej proponował. Masz ochotę na herbatę?

- Nie, dziękuję. - Toddington spojrział na sufit. Odchrząknął. - To był niezwykle wieczór, prawda?

- Hmm. - Trevor zastanawiał się, do czego przyjaciel zmierza.

- Ta dziewczyna ma zadziwiający głos.

- Istotnie, takiego głosu się po niej nie spodziewałem.

- A co sądzisz na temat jej towarzyszki? - Toddington się zaczerwienił.

- Masz na myśli tę surową matronę? - Trevor uniósł brwi.

- Nie, dziewczynę, która grała na pianinie, pannę Bay-lor. - Skóra Toddingtona zrobiła się niemal szkarłatna.

Trevor przyglądał się przyjacielowi ze zdziwieniem. Czy to możliwe, by Christopherowi żywiej zabiło serce dla tamtej dziewczyny? Ogarnął go filuterny nastrój.

- Ach, mówisz o czarującej Lily.

- Czarującej?

- A nie wydała ci się czarująca? Panna Baylor jest bez wątpienia lepiej wychowana niż jej niesforna przyjaciółka. Jestem przekonany, że to panna Grant wciągnęła ją w tę niefortunną przygodę wczoraj wieczorem.

- I ja jestem tego zdania. - Toddington rozsiadł się wygodniej. Z jego twarzy zniknął niepokój.

- Wydaje mi się - ciągnął Ryeburn - że panna Baylor ma mnóstwo kobiecych zalet. Mówi cicho, zachowuje się powściągliwie, a przy tym ma miłą aparycję. Gra na pianinie, ale nie afiszuje się ze swym talentem, jak panna Grant.

- Zgadzam się co do joty.

- Cieszę się, że zwróciłeś mi na nią uwagę, przyjacielu. Z pewnością dopiszę ją do swej listy. - Trevor czekał na reakcję Toddingtona.

Christopher Seymour wstał.

- Słucham?

- Dopiszę ją do mojej listy interesujących panien na wydaniu. Mam zakład do wygrania, a panna Baylor spełnia moje kryteria. Przeciwno niej przemawia jednak fakt, że jest Amerykanką. Trudno będzie sprawdzić, z jakiej rodziny pochodzi. Jak sądzisz, gdzie się powinienem zwrócić, by zasięgnąć informacji?

- Ja? Nie chcesz chyba... Słuchaj, Ryeburn...

- To był tylko żart, przyjacielu - roześmiał się Trevor. - Nie jestem zainteresowany panną Baylor.

- Ach tak... no cóż, to nie był zabawny żart. - Hrabia cofnął się i poprawił kamizelkę. Zmarszczył brwi, ale na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga. - Dla mnie to nie ma znaczenia, ale nie chciałbym, by ktoś zranił pannę Baylor.

- W takim razie powinna unikać panny Grant. - Trevor rozzłościł się na samego siebie. Zbyt często myślał bezwiednie o tej dziewczynie. Zaczęło to budzić jego złe przeczucia. - Panna Baylor nie wygląda na kogoś, kto powinien przyjaźnić się z taką osobką.

- Może obaj źle oceniamy pannę Grant. - Toddington pogłaskał się po policzku. - Może panna Baylor widzi coś, czego my nie dostrzegamy.

Temat rozmowy zaczął budzić irytację Ryeburna.

- To bez znaczenia. Zarówno panna Grant, jak i panna Baylor, wyjadą za parę miesięcy. W następnym sezonie nikt nie będzie o nich pamiętał.

Trevor St. John poczuł się jeszcze bardziej nieswojo, co bez wątpienia odmalowało się na jego twarzy.

- Co się stało, Ryeburn?

- Nic. Co powiesz na przejażdżkę po parku? Kupiłem nowego konia. Moglibyśmy wypróbować jego chody.

## 5

Po Hyde Parku kręciło się mnóstwo jeźdźców. Dżentelmeni pozdrawiali z końskich grzbietów damy, które siedziały w swoich lekkich powozikach lub na grzbietach kucyków. Piór i falbanek było znacznie więcej niż wierzchowców. Trevor czuł się jak na pokazie mody. Wiedział, że przejażdżki po Hyde Parku stanowią okazję do pielęgnowania kontaktów towarzyskich i politycznych, ale dziś nie miał ochoty z nikim rozmawiać.

Delikatnymi ruchami kierował koniem w tłumie. Wierzchowiec reagował wspaniale na wszystkie polecenia. Deresz żwawo unosił kopyta, ale nie próbował wyrwać się spod kontroli jeźdźcy. Trevor czuł jednak, że to bardzo żywy koń, i nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie dojadą do Rotten Row, gdzie będzie mógł puścić się galopem.

- Ten walach nieźle się zapowiada. - Toddington jechał koło przyjaciela. - Szkoda, że to nie ja go wypatrzyłem.

- Myślę, że byłeś zbyt zajęty obserwowaniem ślicznej muzykantki.

- Bardzo zabawne.... - Toddington znów się zarumienił.

Trevor poczuł miłe odprężenie. Łyk świeżego powietrza wystarczył, by nabrał energii, odzyskał zdolność koncentracji i jasność umysłu. Spojrzał w niebo i uśmiechnął się. Znowu to samo. Kiedyś nie porównywał koloru nieba z barwą oczu panny Grant.

Skrzywił się nieznacznie.

- Coś cię boli, Ryeburn? - zapytał hrabia.

- Złapał mnie skurcz. - Trevor ponaglił konia. Może szybka jazda uwolni go wreszcie od tych myśli.

Panowie dotarli do piaszczystej ścieżki, zwanej Rotten Row.

- Gotów do galopu, Toddington?

Kątem oka spostrzegł coś, co go zaniepokoiło. Podniósł wzrok i spojrzał uważniej. Na galopującym koniu zbliżała się do niego panna Grant. Wydała okrzyk radości, gdy go mijala, ale nie zaszczyciła go żadnym spojrzeniem. Dwie długości za nią galopował Sterling. Dystans między jeźdźcami stale się powiększał.

- Co się dzieje, u diabła? - Toddington cmoknął na konia i ruszył galopem.

Trevor nie czekał już na nic. Spiał konia i także ruszył w pogoń.

Nie mylił się co do swego wierzchowca - deresz miał bez wątpienia temperament, ale możliwości zwierzęcia przestały go chwilowo zajmować. Wyprzedził hrabiego i zbliżył się do Sterlinga. Deresz zrozumiał chyba, że jeźdźcowi zależy na czasie, bo przyspieszył kroku, zostawiając za sobą kłęby kurzu. Trevor minął Sterlinga i zaczął doganiać pannę Grant.

Zbliżali się właśnie do rosnącej przy ścieżce kępy drzew. Koń hrabiego przez chwilę szedł łeb w łeb z wierzchowcem panny Grant, a potem go wyprzedził. Gdy Ryeburn obejrzał się przez ramię, okazało się, że amazonka zwolniła. Przytrzymał więc wodze, czekając, aż młoda dama go dogoni. Tymczasem przyłączyli się do nich dwaj pozostali jeźdźcy.

- Wygrałam. - Eden Grant z trudem chwytła oddech. Z uśmiechem obróciła się do Ryeburna. - Pan także by mnie nie dogonił, gdybym nie musiała siedzieć w damskim siodle.

- To były wyścigi? - zapytał Trevor z niedowierzaniem.

- Oczywiście. A co pan sobie myślał? - Eden zwróciła się do Sterlinga. - Jest mi pan winien funta, sir.

- Rzeczywiście - uśmiechnął się Sterling. Ryeburn miał ochotę sprać tego człowieka.

- Namówiłeś panią do tego?

- Nie - wyjaśniła amazonka. - To ja rzuciłam mu wyzwanie. Pan Sterling przechwalał się swoim koniem i musiałam mu pokazać, że się myli. To jest Hermes. Kupiłam go w Wiedniu. Nigdy nie widziałam tak wspaniałego wierzchowca. - Poklepała konia po szyi. Jej spojrzenie powędrowało w stronę Trevora. - Pański koń też ma chyba spore możliwości, lordzie Ryeburn. Bardzo lubię konie z temperamentem.

Trevor poczuł mrowienie w okolicy łądźwi, nim uświadomił sobie, że panna Grant mówi o koniach. O koniach.

- To pani zaproponowała ten wyścig? - upewnił się raz jeszcze.

- Tak. Nie galopowałam od czasu wyjazdu z domu. Bardzo często ścigam się z bratem i zazwyczaj wygrywam. No, może w połowie przypadków. Już sobie wyobrażam, jaką będzie miał minę, gdy zobaczy Hermesa.

Tej dziewczynie zdecydowanie brak rozsądku.

- W Anglii damy nie ścigają się na koniach. A po Rot-ten Row jeżdżą tylko panowie.

- Czy znów zamierza pan prawić mi kazania? - Eden zmarszczyła brwi.

- Daj spokój, Ryeburn. To była tylko zabawa - wtrącił się Sterling. - Nie możesz oczekiwać, że panna Grant będzie znała wszystkie nasze angielskie obyczaje.

- Gdzie jest pani opiekunka? - Hrabia nie zwrócił nawet uwagi na Sterlinga.

- Pani Roberts wie, że tu jestem, jeśli o to panu chodzi. - Eden uniosła brodę.

- I pozwoliła pani się ścigać?

- Spotkałyśmy przypadkiem pana Sterlinga. Pani Roberts i Lily wsiadły na spokojne kucyki. Żadna z nich nie jest dobrym jeźdźcem.

- Panna Baylor także tu jest? - zainteresował się Tod-dington.

- Owszem.

- Chyba nie będzie miała nic przeciwko temu, że się z nią przywitam?

Trevor rozgniewał się jeszcze bardziej. Tego tylko brakowało, żeby amory przyjaciela popsowały mu szyki.

- Śmiało, Toddington. Spotkamy się później. - Ryeburn znów spojrzał na młodą Amerykankę. - A zatem pani Roberts zezwoliła na wyścigi?

- Pan Sterling zaproponował, że pokaże mi najlepsze ścieżki, na których Hermes mógłby trochę potrenować.

- A co z wyścigami? - Trevor miał ochotę wykrzyknąć te słowa.

- No cóż, pan Sterling wychwalał swojego konia, a ja wiedziałam, że Hermes bez trudu go pokona. Czy mogłam tego dowieść inaczej?

- Czy pani czasami myśli, zanim zacznie działać, panno Grant?

Eden otworzyła usta ze zdumienia. Spojrzała hrabiemu prosto w twarz. W jej oczach nie było już śladu radości i podniecenia. Jej błękitne tęczęwki zaszyły łzami.

Trevor nienawidził samego siebie. Wiedział, że ma rację, ale i tak nie mógł pozbyć się niechęci do samego siebie. Teraz marzył tylko o tym, by te oczy znów rozbłysły radością. Tymczasem zacisnął wargi i obrzucił dziewczynę lodowatym spojrzeniem.

Jej twarz zdradzała, że usiłuje odzyskać kontrolę nad własnymi emocjami. Panna Grant musiała kilkakrotnie zaczerpnąć tchu, by móc się odezwać.

- Lordzie Ryeburn, pańska dezaprobata jest dla mnie aż nadto jasna. Może to zdziwi pana, lecz z kolei ja nie pochwalam pańskiego postępowania. Ktoś, kto tak bardzo przejmuje się narzuconymi zasadami, nie potrafi cieszyć się życiem. Ja, drogi panie, szukam w życiu radości. Miłego dnia. - Szarpnęła wodze i odjechała.

Patrzył za nią, póki mu nie zniknęła z oczu. Czy ta dziewczyna nie udzieliła mu przed chwilą reprimendy? Trevor St. John nie pamiętał, kiedy ostatnio ktoś go strofował. Nigdy nie naruszał żadnych reguł, a jednak ta kobieta miała mu coś do zarzucenia.

- Czasami, Ryeburn, zachowujesz się jak osioł - mruknął Sterling, ruszając śladem panny Grant.

- Właśnie się tego dowiedziałem - rzucił Trevor w przestrzeń. Ta dziewczyna pyszni się swoją brawurą, a potem oczekuje, że to ja poczuję się winny. Nie do wiary. Jednak gdy tylko przypomniał sobie wyraz jej twarzy, poczuł wyrzuty sumienia.

Nie wiedział, czy śmiać się, czy płakać. Ścisnął konia łydkami, by ruszyć za Amerykanką, ale się rozmyślił. Dlaczego miałby się jeszcze bardziej denerwować? Ona nic dla niego nie znaczy. Po co ją przekonywać, że źle postępuje? Tak czy inaczej za jakiś czas już jej tu nie będzie. Nie powinno go obchodzić, ile razy wystawi się na pośmiewisko.

Zawrócił konia. Im dalej się będzie od niej trzymał, tym lepiej dla jego reputacji.

Zawrócił raz jeszcze. Pojedzie za nią tylko po to, żeby się upewnić, czy wróciła do swej opiekunki. Dlaczego ta pani Roberts pozwala jej jeździć bez nadzoru? Nie powinna nigdzie puszczać Eden w towarzystwie Sterlinga, a Sterling nie powinien nic takiego proponować. Chyba że...

Chyba że Sterling zainteresował się tą Amerykanką. Co on powiedział wczoraj wieczorem? Coś na temat jej ojca. Myśl o tym, że Sterling mógłby mieć jakieś skryte zamiary względem Eden, zaniepokoiła Ryeburna. Może powinien porozmawiać z panią Roberts i dowiedzieć się, jakie to są zamiary.

Deresz galopował spokojnie. Trevor upewnił się, że Eden wróciła do swej opiekunki. Toddington jechał obok pań, uśmiechając się jak idiota do panny Baylor. Towarzyszył im także Sterling. Hrabia spostrzegł, że Sterling mówi coś do Eden Grant. Nawet z daleka widać było, jak jej twarz się rozjaśnia. Trevor

domyślił się, że nie będzie mile widziany w tym gronie. Nie pasował do nich. Od śmierci ojca nie okazano mu takiej pogardy. Tym razem jednak sam na nią zapracował.

Patrzył, jak grupka opuszcza park, ale nie pojechał za nimi

Eden cierpiała na migrenę. Leżała w sypialni z zasłoniętymi oknami. Oczy miała zamknięte, ale nie spała. Myśli wirowały w jej głowie niczym huragan. Złościła się na siebie za to, że pozwoliła, by ten napuszony, arogancki, apodyktyczny i obłudny lord Ryeburn tak ją zirytował.

Przewróciła się na brzuch i wypuściła powietrze. Może rzeczywiście nie powinna się ścigać - wiedziała, że to nie jest odpowiednia rozrywka dla młodych dam - ale tak bardzo lubiła czuć wiatr na policzkach. Wszystko wydawało jej się takie niesprawiedliwe. Jej brat studiował w Harvardzie, a ona nie mogła, tylko dlatego, że była kobietą. Z tego samego powodu społeczeństwo zabrania jej ścigać się konno. Dobrze, że społeczeństwo pozwala jej śpiewać, choć talent przysparza tylu problemów. Eden nie mogła sobie wyobrazić życia bez śpiewu. Wyrzec się muzyki, znaczyłoby przestać oddychać.

Dziś wieczorem z pewnością zaśpiewa na balu. Markiz i markiza Heathsbury zaprosili ją w tym właśnie celu. Jeśli będzie tam Ryeburn i ją usłyszy, to...

Wielkie nieba, co to za pomysły? Nigdy przedtem nie przyszło jej do głowy, by imponować komuś swoim śpiewem. Śpiewała dla siebie. Dlaczego więc chciała zaimponować hrabiemu? Ten człowiek uważał ją za osobę pozbawioną ogłady i zachowującą się niegodnie. Może chciała mu udowodnić, że się myli.

Na jej twarzy pojawił się uśmiech. Świetny pomysł. Dziś wieczorem przedzierzgnie się w idealną damę. Ubierze się zgodnie z wymogami dobrego tonu i tak też będzie się zachowywać. Udowodni Ryeburnowi, jak bardzo się mylił.

Zerwała się z łóżka, by czym prędzej rozpocząć przygotowania do balu. Po konnej przejażdżce powinna się wykapać. W drodze do garderoby pociągnęła za sznurek, by wezwać pokojówkę.

Obrzuciła krytycznym spojrzeniem swoje suknie. Którą z nich włożyć? Pukanie do drzwi wyrwało ją z zamyślenia.

- Proszę.

- Eden? - W pokoju rozległ się głos Lily.

- Tutaj - odparła, nie odrywając wzroku od sukni. Lily weszła do garderoby.

- Lepiej się już czujesz?

- Zdecydowanie. Którą suknię mam włożyć dziś wieczorem? - Eden postukała palcem w wargę.

- Jesteś pewna, że dobrze zniesiesz całonocne tańce? Martwiłyśmy się o ciebie...

- Ból głowy minął, a ja nie mogę się doczekać wieczoru.

- Pani Roberts odetchnie z ulgą. Obawiała się, że nie pójdziemy na bal z powodu twojej choroby.

- Możesz ją zapewnić, że jestem w dobrej formie. Pomóż mi zdecydować, jak się ubrać?

- Masz jakiś dziwny błysk w oku. - Panna Baylor przekrzywiła głowę. - Co planujesz?

-Nic.

- Nie wierzę ci.

- Tym razem możesz się niczego nie obawiać. Zamierzam zachowywać się nienagannie. - Eden dotknęła sukni w kolorze topazu. - Co myślisz o tej?

- Eden, spójrz na mnie. - Lily skrzyżowała ramiona na piersiach.

Przymrużyła oczy. - Jeszcze przed godziną wcale nie miałaś ochoty iść na ten bal. Co się stało?

- Zaufaj mi. - Eden poklepała przyjaciółkę po ramieniu. Lily spochmurniała.

- Ja naprawdę nie lubię, gdy to mówisz.

- Tak, proszę pani? - zawołała pokojówka.

Eden zostawiła przyjaciółkę w garderobie i wróciła do sypialni.

- Czy mogłabyś przygotować mi kąpiel?

- Tak, proszę pani. - Pokojówka dygnęła i wyszła.

- Czy zechcesz mi zdradzić, jaki podstęp tym razem wymyśliłaś?

- Podstęp? Ja nie wymyślam żadnych podstępów. -Eden uśmiechnęła się do Lily.

- Eden! - Lily tupnęła nogą. - Zaraz się rozzłoszczę.

- Przyrzekam, Lily. Dziś wieczorem zamierzam się zachowywać jak dama doskonała.

- Chciałabym ci wierzyć, ale...

- W takim razie uwierz. - Eden chwyciła przyjaciółkę za rękę. - Wiem, jak bardzo cieszysz się, że idziemy na ten bal. Nie chciałabym ci zepsuć wieczoru.

Twarz Lily oblał rumieniec.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Sądzisz, że nie zauważyłam, jak patrzysz na lorda Toddingtona?

Dziewczyna zarumieniła się jeszcze bardziej i przygryzła dolną wargę.

- Myślisz, że on też coś zauważył? Umarłabym ze wstydu, gdyby sobie pomyślał, że na niego poluję.

- Nie. Moim zdaniem jest zbyt zajęty patrzeniem na ciebie, by dostrzec, że ty także patrzysz na niego.

- Przestań mi dokuczać. Obie wiemy doskonale, że mnie wcale nie widać w twoim cieniu. - Lily uwolniła dłonie.

- Sama w to nie wierzysz. Jesteś uosobieniem kobiecości - drobna, piękna, czarująca.

- Za to ty panujesz nad wszystkimi jak prawdziwa królowa. Jestem pewna, że on mnie nawet nie zauważa, gdy ty jesteś w pobliżu. Nawet szlachetnie urodzony pan Sterling jest tobą zauroczony. Rozmawiał dziś z panią Roberts. Pragnie cię odwiedzić.

Eden skrzywiła się, słysząc tę nowinę.

- A pani Roberts, zachwycona jego koneksjami, zapewne się zgodziła.

- Nie lubisz go?

- Nie czuję do niego niechęci, ale jestem pewna, że pani Roberts bardzo by chciała mnie wydać za jakiegoś arystokratę. To zagwarantowałoby jej dobrą sławę. Już widzę jej ogłoszenie: „Opiekunka i swatka. Potrafi zainteresować arystokratę Pańską córką”.

Lily pokręciła głową.

- On chce tylko złożyć wizytę.

- I pewnie myślisz, że jestem głupia. - Eden nie mogła się jednak wyzbyć przeczucia, że wizyta Sterlinga ściągnie na jej głowę jakieś problemy.

Westchnęła ciężko. - Chodź i pomóż mi wybrać suknię.

Gdy strój został wybrany, na Eden czekała już wanna pełna wody. Lily opuściła przyjaciółkę. Eden obmyła się z kurzu, a potem wyciągnęła się wygodnie w wodzie. Gryzły ją wyrzuty sumienia, ponieważ nie zdradziła Lily swego planu. Ale Lily z pewnością próbowałaby ją od tego odwieść. Albo zinterpretowałaby to niewłaściwie.

Eden zamknęła oczy. Pod jej powiekami pojawił się obraz ciemnych oczu Ryeburna, rozświetlonych uśmiechem i aprobatą. Wyobraziła sobie, że hrabia prosi ją do tańca, ujrzała siebie w jego ramionach. Serce zabiło jej w przyspieszonym rytmie, rumieniec oblał policzki. Otworzyła oczy. To się nie może zdarzyć. Nie. Gdy poprosi ją do tańca, ona mu odmówi.

Ochlapała sobie twarz wodą i wyszła z wanny. Otulona szlafrokiem, osuszyła swe długie włosy ręcznikiem, a potem zabrała się do ich czesania.

Szarpała włosy grzebieniem tak, jakby chciała się ukarać za te przypadkowe myśli.

Odrzuciła głowę do tyłu i popatrzyła w lustro. Uniosła brodę, nadając swej twarzy arogancki wyraz. Postanowiła pokazać lordowi, że jest idealną damą.

## 6

Widok rzęście oświetlonego budynku zaparł jej dech w piersiach.

Dom dźwięczał wesołością. Pochodnie oświetlały kamienną ścieżkę prowadzącą do wejścia tak skutecznie, jak dzieńne światło. Okna iskrzyły się tak, jakby szyby były pokryte gwiazdami. Z powozów wysiadali coraz to nowi goście. Eden przyglądała się damom w eleganckich strojach, które wchodziły po schodach wsparte na ramionach wymuskanych dżentelmenów.

Przypomniawszy sobie własne postanowienie, czekała, aż lokaj pomoże jej wysiąść z wynajętego powozu, choć trudno jej było zapanować nad swym podnieceniem. Bardzo się cieszyła, że przyjechała na ten bal.

W środku było jeszcze wspanialej. Wysoko ponad głowami gości kołysały się żyrandole, w balowej sali panował wesoły gwar. Ściany wyłożone zielononiebieską tapetą przyczyniały się do powstawania wrażenia, że sala znajduje się w głębi morza. Rzeczywiście motywy marynistyczne dominowały w dekoracji. Gzyms tworzyły stykające się ze sobą gipsowe muszle, podtrzymywane w narożnikach przez syreny. W końcu sali orkiestra stroiła swe instrumenty. Tańce się jeszcze nie rozpoczęły, ponieważ stojąca w drzwiach gospodyni wciąż witała gości.

Na dekoltach dam połyskiwały szlachetne kamienie.

Dżentelmeni nie odstępowali swych towarzyszek. Wszyscy krążyli po sali, witając się ze znajomymi. Eden ścisnęła przyjaciółkę za rękę.

- Czy to nie cudowne?

- Nie mogę uwierzyć, że to nie sen - szepnęła Lily. - Jak wyglądam?

Lily miała na sobie jasnobłękitną suknię, z podwyższonym stanem, zaznaczonym szarfą w kolorze lawendy, i ze spódnicą obszytą szeroką wstążką tej samej barwy. Skromny dekolt przesłaniała misterna koronka. Włosy miała upięte na czubku głowy, na grecką modłę.

- Wyglądasz prześlicznie i bardzo dziewczęco. - Eden zerknęła na własną suknię o dość niezwykłym, wiedeńskim kroju. W świetle kandelabrow suknia wydawała się bardziej miedziana niż brązowa. Toaletę tę ozdobił ciemnozielony motyw pnąca, które pięło się po spódnicy w górę, w okolice prawego ramienia, gdzie rozkwitało różami w kolorze burgunda. Eden miała nadzieję, że w tym stroju wygląda elegancko.

Orkiestra zaczęła grać i gospodarze ruszyli do tańca.

- Sądysz, że ktoś zechce z nami zatańczyć? - Lily śledziła spojrzeniem parę na parkiecie.

- Bez wątpienia. - Zwłaszcza jeśli jest tu lord Todding-ton. Eden nie wypowiedziała na głos tej myśli, by nie narażać przyjaciółki na rozczarowanie, gdyby lord jednak nie zjawił się na balu.

Rozbrzmiały dźwięki menueta. Eden tańczyła z jakimś młodzieńcem o przyjemnej, ale dość nieokreślonej urodzie. Czowała się trochę tak, jakby tańczyła z bratem, bo jej partner był niewiele od niej starszy.

Pan Sterling poprosił ją o następny taniec. Miał to być dość długi taniec ludowy. Gdy stanęli już na swoich miejscach w szeregach, Sterling zagadnął:

- Dobrze się pani bawi?

- Owszem, dziękuję. Nigdy nie widziałam nic podobnego.

Orkiestra zagrała pierwsze takty, a tancerze wykonali pierwsze figury.

- Nie wiedziałem, że wybiera się pani na dzisiejszy bal -stwierdził Sterling, gdy obracali się wokół własnej osi.

- Mam nadzieję, że to miła niespodzianka.

- Oczywiście. Nie śmiałem mieć nadziei na dwa spotkania tego samego dnia. - Sterling uklonił się i wykonał kolejne pas. - Proszę mi powiedzieć, czy Ameryka jest rzeczywiście taka piękna, jak wszyscy twierdzą?

- Nie wiem, co wszyscy twierdzą, ale mnie się tam podoba. - Eden zbliżyła się do swego partnera, obeszła go dookoła i cofnęła się.

- Nie przypuszczam, by w Ameryce było coś, co przewyższa pani urodę. Eden uśmiechnęła się nienaturalnie. Nie podobały jej się zaloty Sterlinga. Szukała spojrzeniem Ryeburna, ale nigdzie go nie spostrzegła.

- Czy zamierza pani dla nas dzisiaj zaśpiewać? - Sterling tańczył dalej.

- Jeśli gospodyni o to poprosi.

- Mam nadzieję, że to uczyni.

Czy ten taniec się nigdy nie skończy? Z każdym krokiem było jej trudniej zachować uprzejmy wyraz twarzy. Nie miała pojęcia, dlaczego słowa Sterlinga tak działają jej na nerwy.

- O ile dobrze zrozumiałem, pani ojciec jest właścicielem ziemskim w Massachusetts.

- Owszem. Fairlawne to mój dom.

- Skoro wciąż uważa pani posiadłość ojca za swój dom, to chyba nikt jeszcze nie nakłonił pani do rychłego porzucenia rodzinnych kątów?

- Nie, jeszcze nie.

Taniec dobiegł końca. Sterling ujął dłoń swej partnerki i pochylił się nad nią.

- Pozwolę sobie poprosić panią raz jeszcze do tańca, jeśli nie ma pani nic przeciwko temu.

Sterling nie miał ochoty wypuszczać palców Eden ze swej dłoni. Ona zaś ucieszyła się, że wszyscy noszą rękawiczki. Dygnęła grzecznie i oddaliła się w drugi kąt sali, starając się nie puścić biegiem.

Przez dwa następne tańce odpoczywała. Lily natomiast tańczyła przez cały czas. Eden nie miała ochoty wracać do pani Roberts, zajęła więc pierwsze wolne miejsce i obserwowała przyjaciółkę.

- Panno Grant?

Aż podskoczyła ze zdziwienia. Obróciła się jednak z uśmiechem.

- Lord Toddington. Miło mi znów pana widzieć. - Podała mu rękę.

Toddington uklonił się nisko.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Odchrząknął i spojrzał w głąb sali.

Gdy spostrzegł Lily tańczącą z jakimś dżentelmenem, zmarszczył brwi.

Eden uśmiechnęła się na ten widok.

- Czy zechce pani ze mną zatańczyć, panno Grant? - zapytał, nie odrywając wzroku od parkietu.

Gdyby nie to, że postanowiła zachowywać się jak idealna dama, z pewnością nie omieszkałaby z niego bezlitośnie zadrwić. W tej sytuacji ukryła jednak uśmiech za wachlarzem.

- Z przyjemnością - odparła.

Orkiestra zagrała walca. Toddington poprowadził ją na parkiet, przez cały czas wypatrując Lily. Gdyby patrzył na kogoś innego, Eden odczułaby to jako zniewagę. Tymczasem skorzystała z okazji, by poszukać Ryeburna. Do tej pory bowiem go nie spotkała.

Przemierzyli całą salę wzdłuż i wszerz, ale hrabiego nigdzie nie było. Gdy walc się skończył, Toddington uklonił się i popędził, by poprosić Lily do następnego tańca. Eden zastanawiała się, gdzie może być Ryeburn. Postanowiła zajrzeć do sali, w której przygotowano stół z napojami.

Ktoś wcisnął jej kieliszek do ręki. Podziękowała w roztargnieniu i zaczęła sączyć lemoniadę. Po chwili odstawiła nieopróżniony kieliszek na stół i wyszła. Po powrocie do sali balowej znów nie miała z kim tańczyć.

Lorda Ryeburna nigdzie nie było. Nie przyszedł na bal.

Eden rozgniewała się na siebie. Nie przyszło jej do głowy, że może go tu zabraknąć. Cóż za idiotyczne przeoczenie.

Podeszła do niej markiza Heathsbury, potężna, siwiejąca kobieta. Eden uśmiechnęła się do gospodyni, choć czuła, że radość gdzieś prysła.

- Moja droga, jak to dobrze, że panią znalazłam. Lady Lockwood twierdzi, że ma pani cudowny głos. Czy zechciałaby pani coś dla nas zaśpiewać?

Miała ochotę odmówić, ale właściwie po co? I tak niewiele tańczyła.

- Z przyjemnością.

- Wspaniale. W sąsiednim pokoju jest pianino. Chodźmy zatem.

Markiza chciała już ruszyć, ale Eden ją zatrzymała.

- Przepraszam, lady Heathsbury, zazwyczaj akompaniuje mi moja przyjaciółka, Lily, która właśnie teraz tańczy.

- Oczywiście. Zaczekamy. Gdzie jest pani przyjaciółka?

- Tańczy z lordem Toddingtonem.

Gdy taniec dobiegł końca, markiza podeszła do Lily i jej partnera.

- Toddington, panna Grant zgodziła się łaskawie zaśpiewać dla nas, ale życzy sobie, by pańska partnerka jej akompaniowała.

- Oczywiście, lady Heathsbury. - Hrabia obrócił się w stronę Lily i podał jej ramię. - Pozwoli pani, że ją odprowadzę do instrumentu.

Twarz Lily promieniała szczęściem. Jej policzki zabarwił rumieniec. Eden nie potrafiła ocenić, czy to efekt tańca, czy zainteresowania Toddingtona.

- Wspaniale. Tak się cieszę, że zechciała pani zaszczyścić swoją obecnością mój bal, choć zaproszenie przyszło w ostatniej chwili. - Lady Heathsbury objęła gościa ramieniem i poprowadziła do salonu muzycznego.

Gdy Eden stanęła obok instrumentu, ogarnęła spojrzeniem zatłoczony pokój i westchnęła. Publiczność była co najmniej dwa razy liczniejsza niż poprzednim razem. Pamiętała kilka twarzy z przyjęcia u lady Lockwood. Mimo woli szukała twarzy Ryeburna.

Nie ma go tutaj, ty gapo. Przestań go szukać.

Eden spojrzała na Lily i skinęła głową. Panna Baylor pochyliła się nad klawiaturą i zaczęła grać. Usłyszawszy pierwsze dźwięki, Eden się uśmiechnęła. Przyjaciółka wybrała pieśń o miłości. Często urządzały sobie taką zabawę podczas występów - Lily wybierała utwór, a Eden musiała natychmiast zgadnąć, co to jest, by w porę zacząć śpiewać.

Pieśń zawdzięczała swą urodę wyjątkowej prostocie. Eden śpiewała o nadziei i radości, którą przynosi miłość, o jej głębi i bogactwie, o lęku i o sile. Wszystkie damy wyciągnęły chusteczki i ocierały łzy. Wielu panów poszło w ich ślady.

Gdy pieśń dobiegła końca, Eden wzięła głęboki oddech, bo i na niej muzyka odcisnęła swój ślad. Śpiewała tę pieśń wiele razy, ale nigdy przedtem te słowa nie podziały na nią z taką mocą. Tłumaczyła sobie, że udzieliło jej się podniecenie Lily, ale w głębi ducha wiedziała, że jest inaczej.

Pieśń dotknęła jakiegoś czulego miejsca w jej sercu, jakby niosła jakieś ukryte przesłanie.

Rozległy się entuzjastyczne brawa. Eden otrząsnęła się z czaru, jaki rzuciła na nią muzyka. Ukłoniła się publiczności.

- Proszę zaśpiewać coś jeszcze, panno Grant - poprosiła gospodyni.

Lily wróciła do pianina i znów zaczęła grać. Dobrze, pomyślała Eden. Psalm 26 Haydna. Zaśpiewała głośno i dźwięcznie, z mocą, na jaką zasługiwały słowa psalmu.

Potem dziewczęta wykonały jeszcze dwa inne utwory Haydna. Na koniec Eden szepnęła do przyjaciółki:

- Zagraj „Jacka i Joan” Thomasa Campiona.

- Jesteś pewna? - zdziwiła się Lily.

- Zobaczymy, czy ci Brytyjczycy mają poczucie humoru.

Lily uderzyła w klawisze. Eden zaczęła znów czarować salę swoim głosem. Pod koniec piosenki mrugnęła porozumiewawczo do przyjaciółki i czekała na reakcję publiczności.

W sali rozległy się śmiechy i chichoty, a potem głośnie owacja. Dżentelmeni poderwali się z miejsc.

- Zachwycająca - ryknął jakiś korpulentny jegomość. -Po prostu zachwycająca.

Eden uśmiechnęła się do publiczności. Cieszyła się, że nie wszyscy Anglicy mają tak stoickie podejście do życia jak hrabia Ryeburn. Raz jeszcze spojrzała na twarze gości i wstrzymała oddech. Przyszedł. Stał z tyłu. Skinął głową i skierował się w jej stronę.

Markiza podeszła jednak pierwsza.

- Moja droga, to było nadzwyczajne. Dziękujemy pani za wspaniały występ. Obawiam się, że w przyszłości nie będę w stanie słuchać śpiewu córek moich przyjaciół bez grymasu na twarzy.

Eden pochyliła głowę.

- Dziękuję pani, lady Heathsbury.

- Chodźmy, moja droga. Księżę Welkes pragnie panią poznać.

Trevor patrzył, jak Eden oddala się od niego i idzie w kierunku księcia. Spóźnił się na bal, ale się tym nie przejmował. Tego rodzaju przyjęcia trwały zazwyczaj bardzo długo.

Panna Grant uśmiechnęła się do księcia, gdy ten ucałował jej dłoń. Trevor stał za daleko, by cokolwiek usłyszeć. Księżę powiedział chyba coś zabawnego, bo dziewczyna się roześmiała, a brzmienie jej śmiechu sprawiło Trevorowi ogromną przyjemność.

Natychmiast przywołał się do porządku. Zamierzał przecież zweryfikować swoją listę kandydatek na żonę podczas tego balu. Uznał bowiem, że sposób, który mu podsunął Sterling, będzie najbardziej efektywny, i przez całe popołudnie przygotowywał listy według różnych kryteriów. Nazwisko

panny Grant nie znalazło się na żadnej z nich. Hrabia obrócił się na pięcie i wyszedł z salonu.

Wrócił do sali balowej i rozejrzał się dokoła. Trzy panny, które umieścił na liście, siedziały właśnie pod ścianą w towarzystwie matek lub opiekunek. Nadarzała się znakomita okazja, by rozpocząć poszukiwania narzeczonej. Tylko dlaczego odczuwał przemożną potrzebę, by znaleźć panią Roberts? Powinien zatańczyć z każdą z tych trzech panien, by stwierdzić, czy któraś z nich jest odpowiednią kandydatką.

Zmierzając w stronę ławki, spostrzegł panią Roberts.

Pomrukując gniewnie na samego siebie, ruszył w jej stronę.

Opiekunka panny Grant siedziała pod drzewkiem rosnącym w dużej donicy i z wielkim ożywieniem rozmawiała ze swą sąsiadką, która miała podobnie surowy wyraz twarzy. Trevor nie uświadamiał sobie do tej pory, że po świecie chodzi tyle kobiet o srogim obliczu. Żelazne reguły dobrego tonu nie pozwalały mu zacząć rozmowy, póki dama go sama nie zauważy.

Dopiero po chwili pani Roberts podniosła wzrok. Otworzyła szeroko oczy ze zdziwienia, co sprawiło, że wyglądała jak zaskoczona gęś.

- Lord Ryeburn. Dobry wieczór.

Trevor stuknął obcasami i ukłonił się elegancko.

- Pani Roberts.

- Pozwoli pan, że przedstawię panu panią Dawson. To opiekunka panny Lavinii Bottomsley.

Lavinia Bottomsley. Nazwisko z jego listy. Co on tu właściwie robi?

- Miło mi panią poznać.

Surową twarz rozjaśnił uśmiech. Tak się przynajmniej Trevorowi wydawało. Ten uśmiech przeraził go tak bardzo, że wołał o nim jak najszybciej zapomnieć.

- Czy mogę w czymś pomóc, lordzie Ryeburn? - Pani Roberts spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

- Chciałbym porozmawiać z panią na dość delikatny temat.

Pani Dawson podniosła się z miejsca.

- Muszę sprawdzić, jak się miewa moja Lavinia. Pani Roberts, bardzo się cieszę ze spotkania z damą, z którą tak wiele mnie łączy. - Pani Dawson skierowała się w stronę sali z napojami.

- Proszę usiąść, lordzie Ryeburn. - Pani Roberts przesunęła się na skraj kozetki, robiąc mu miejsce. - Chciał pan ze mną porozmawiać?

- To dotyczy pani podopiecznej, panny Grant. Guwernantka westchnęła głęboko.

- A cóż ona tym razem wymyśliła? -Nic.

- Cieszę się, że to słyszę.

- O ile dobrze rozumiem, pan Martin Sterling wyraził swoje zainteresowanie panną Grant.

- Ten uroczy młodzieniec przysłał jej dziś rano kwiaty i był dla niej bardzo uprzejmy w parku. Na początku sądziłam, że interesuje się panną Baylor, ale widzę, że się myliłam. Pan Sterling zapowiedział, że odwiedzi pannę Grant. I to ją pierwszą poprosił do tańca.

Trevor poczuł ucisk w dołku.

- Czy może pan sobie wyobrazić, jak się ucieszą... Ach, nie mam śmiałości, by o tym myśleć. To przecież syn hrabiego, a my będziemy tu tak krótko.

- Czy to znaczy, że już wkrótce panie wyjeżdżają? -Ucisk w dołku się nasilił.

- Dopiero w sierpniu, ale to i tak za mało czasu na porządne konkury. Chociaż zdarzają się i dziwniejsze rzeczy. - Pani Roberts obdarzyła go uśmiechem. - Proszę tylko pomyśleć, jak szczęśliwi byliby jej rodzice, mając hrabiego za zięcia.

- On nie odziedziczy tytułu hrabiowskiego. Jest trzecim synem hrabiego i nie ma praw do tytułu.

- Tak czy inaczej, na pewno będą szczęśliwi. Trevor podniósł się z miejsca.

- No cóż, nie chciałbym pani zajmować więcej czasu. Miłego wieczoru, pani Roberts.

Ruszył w stronę drzwi prowadzących do ogrodu. Potrzebował odetchnąć świeżym powietrzem. Na myśl o małżeństwie Eden ze Sterlingiem poczuł złość. Nie przepada za tą dziewczyną, ale z pewnością zasługuje ona na coś lepszego. A pani Roberts nie miała wątpliwości co do charakteru zainteresowania Sterlinga. Trzeba ostrzec pannę Grant. Tak, powinien to zrobić. Przyzwoitość to nakazuje. Dziewczyna musi wiedzieć, że Sterling nie ma tytułu ani pieniędzy.

- Ryeburn, szukałem cię wszędzie. Trevor obrócił się i ujrzał Toddingtona.

- Potrzebujemy twojej pomocy.

- Co to znaczy: my?

- Panna Baylor i ja.

- Ty i panna Baylor? - powtórzył znacząco hrabia.

- Daj spokój. Chodzi o pannę Grant. Hrabiego przebiegł zimny dreszcz.

- Coś jej dolega? - Ruszył w głąb sali, spodziewając się, że tam właśnie należy jej szukać.

- Nie, ale wpadła w tarapaty.

- Jakoś mnie to nie dziwi. - Trevor zwolnił kroku.

- Nic nie rozumiesz. - Toddington popchnął przyjaciela delikatnie. - Księżę Welkes zaproponował, by zagrała z nim w wista.

- I co z tego? Gra w wista z księciem.

- Rzecz w tym, że ona gra przeciwko księciu. Trevor przystanął na chwilę, a potem ruszył przed siebie.

- Idziemy. Wystarczy już konfliktów z Ameryką.

## 7

- Czy ktoś ją uprzedził? - Trevor przyspieszył kroku.

- Nikt nie zdążył. Książę posadził ją przy stoliku, nim ktokolwiek zdołał jej szepnąć słówko na stronie. - Na twarzy Toddingtona malowało się przerażenie.

- O ile dobrze rozumiem, panna Grant potrafi całkiem nieźle grać w wista.

- Aż za dobrze. Jej partnerka robi wszystko, by przegrały, ale ona i tak wygrywa.

Dotarli wreszcie do pokoju przeznaczanego na gry. Gospodarze ustawili kilka stolików karcianych dla tych, którzy nie lubią tańczyć. Większość graczy była dość zaawansowana wiekiem. Wokół jednego ze stolików stał ożywiony tłum. Słysząc było rozmaite okrzyki i jęki. Trevor skierował kroki w stronę tego właśnie stolika, przeczuwając nadciągającą katastrofę.

Książę trzymał swe karty blisko przy piersi. Twarz mu poczerwieniała, a na czoło wystąpiły krople potu. Marsowy wyraz jego oblicza przestraszyłby niejedną kobietę. Partnerka Eden siedziała jak na szpilkach, obrzucając niepewnym spojrzeniem pozostałych graczy.

Eden natomiast panowała nad sobą po mistrzowsku. W kącikach jej ust czaił się delikatny uśmiech.

- Panno Grant? - Trevor stanął koło niej.

- Ryeburn, niech pan nie przerywa gry - przykazał książę.

- Proszę o wybaczenie, wasza wysokość.

- Aha! - Welkes prasnął dziesiątką trefl o stół. Na widok triumfalnego uśmiechu księcia jego partner odetchnął z ulgą.

Hrabia także się odprężył. Może nie dojdzie do katastrofy. Wszystkim wydawało się, że książę jest pewien zwycięstwa. Partnerka Eden położyła ósemkę trefl, partner księcia - trójkę.

Tymczasem Eden uśmiechnęła się promiennie do księcia i położyła dwójkę kier.

- Atu? Pani ma jeszcze atu? Mój Boże, musiałem źle policzyć. - Książę zerwał się na równe nogi.

- Wasza wysokość?

Trevor nie wiedział, kto się odezwał, ale słowa te nie przyniosły żadnego efektu. Książę okrążył stół i pochylił się nad Eden.

- Czy pani zdaje sobie sprawę, czego pani dokonała, młoda damo?

- Nie, wasza wysokość. - Jej łagodny i zrównoważony ton zadziwił Ryeburna.

- Pokonała pani człowieka, który nie przegrał w wista już od wielu lat. Pani jest nie tylko utalentowana i piękna, ale też bardzo inteligentna, moje dziecko. Proszę mi wybaczyć poufalskość. - Książę uśmiechnął się szeroko. - Boże, gdybym miał kieliszek w ręku, wzniosłbym toast za zdrowie tej damy.

Trevor zamrużył powiekami. Czy słuch go nie omylił? Książę nie zdenerwował się przegraną? To niemożliwe. Eden dokonała kolejnego podboju.

- Dziękuję, wasza wysokość. - Panna Grant skinęła głową. Książę uniósł jej dłoń do swoich ust i ucałował.

- Nie będę już dłużej powstrzymywał pani od tańca. Zapewne wielu młodzieńców pragnie zwrócić na siebie pani uwagę.

- Ale żaden z nich nie jest tak czarujący jak wasza wysokość. - Eden obdarzyła księcia promiennym uśmiechem.

- Na Boga, podoba mi się ta dziewczyna. Gdybym był trzydzieści lat młodszy... - Książę zatrzęsł się od śmiechu.

- Jeśli wasza wysokość pozwoli, chciałbym zatańczyć z panną Grant - powiedział Trevor.

- Najwyższy czas, Ryeburn. Za młodu nie byłem taki powściągliwy. - Książę podał Eden rękę i pomógł jej wstać. - Musi mi pani obiecać, że jeszcze pani dla mnie zaśpiewa.

- O ile książę mi obieca, że zagra ze mną w wista.

Hrabia wyprowadził ją z pokoju, by już nic nie zdążyła powiedzieć, i wręcz pociągnął ją do sali balowej. Eden przytrzymała go za rękaw. Obrócił się, nie kryjąc irytacji.

- Czy musimy tak biec? Nie miałam pojęcia, że tak bardzo chce pan zatańczyć. - Zwolniła kroku.

Trevor przełknął przekleństwo i dostosował się do jej tempa.

- Nie mogę w to uwierzyć. -W co?

- Pokonała pani księcia. - Pokręcił głową. Eden zatrzymała się.

- Dlaczego? Nie wierzy pan w to, że kobieta może grać równie dobrze, jak mężczyzna? A może sądził pan, że potrafię tylko wpadać w tarapaty?

Na jej twarzy malował się niekłamany gniew. Trevor zafascynowany wpatrywał się w oblicze, na którym odbijała się każda myśl. Pospieszył ze sprostowaniem.

- Nie to miałem na myśli. Książę słynie z zamiłowania do gry w karty.

- Wcale nie jest taki dobry.

- Nie to chciałem powiedzieć. Wszyscy wiedzą, że książę uwielbia grać, ale nie znosi przegrywać. Jego reakcja na przegraną jest przerażająca.

Zazwyczaj. Od lat, gdy tylko nadarza się okazja, by usiąść z nim przy karcianym stoliku, pozwalamy mu wygrać.

- Teraz rozumiem, dlaczego moja partnerka grała tak fatalnie. - Panna Grant otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. -Czy dlatego była tak przerażona? Dlatego że wygrywałam?

- Tak. Toddington sprowadził mnie, bym pomógł jakoś rozładować atmosferę, bo wszyscy przeczuwali, że zanoszą się na burzę.

- Teraz wszystko rozumiem.

Co właściwie zrozumiała? Wbiła wzrok w podłogę, z jej twarzy zniknął bezczelny uśmiech. Dlaczego tak posmutniała? Ryeburn zapragnął, by na jej usta powrócił uśmiech.

- Podbiła pani księcia. Bardzo panią polubił.

- Wydaje mi się, że go nie doceniacie. Wcale nie wydawał mi się taki srogi.

Ciekawe, czy ktokolwiek wydałby się jej srogi, pomyślał Trevor. Spojrzał jej w oczy. Nigdy nie widział tak roziskrzonych źrenic. Ta dziewczyna niczego się nie boi.

Eden westchnęła.

- Znowu udało się panu wybawić mnie z kłopotów, które tradycyjnie sama na siebie ściągnęłam. Spełnił pan już swój obowiązek. Teraz już sobie poradzę.

Sarkazm jej odpowiedzi wydał mu się nieprzekonujący. Miał wrażenie, że usłyszał smutek w jej głosie.

- A co z naszym tańcem?

- Nie musi pan czuć się w obowiązku.

- Ależ ja chcę z panią zatańczyć. - Poprowadził ją do sali balowej.

Orkiestra grała walca. Znakomity rytm. Ryeburn złożył ukłon i wyciągnął ramiona.

Eden podeszła bliżej i zaczęli wirować. Żadne z nich się nie odezwało. Trevor zachwyił się lekkością jej kroków. Delikatny zapach lawendy zakręcił mu w nosie. Wokół głowy dziewczyny kołysały się loki, spadające kaskadą z wysoko upiętego koka, chwiejąc niebezpiecznie jego panowaniem nad sobą. Miał ochotę usunąć wszystkie szpilki i wstążki i zanurzyć palce w złocistych, miękkich włosach. Brakło mu odwagi, by spojrzeć pannie Grant w oczy. W ich błękitnej głębi czyhała na niego z pewnością jeszcze silniejsza pokusa.

Jego dłoń spoczywała na plecach Eden. Cienka tkanina sukni broniła mu dostępu do jej skóry. Wyobraźnię Ryeburna opanowało całkowicie marzenie o tym, by ujrzeć ją spowitą tylko w pościel, z rozpuszczonymi włosami. Zaryzykował spojrzenie w jej oczy.

Walc się skończył. Trevor nie wypuścił swej partnerki z ramion. Jakby przywiązała go do siebie jednym spojrzeniem. Rozchylone usta panny Grant wabiły go i kusily...

- Mogę prosić panią o kolejny taniec?

Trevor opuścił ręce i cofnął się o krok. Przed panną Grant skłonił się jeszcze jeden młodzieniec. Eden przełknęła ślinę i uśmiechnęła się. Hrabia skinął jej głową i zszedł z parkietu.

Nie poznawał samego siebie. Niewiele brakowało, a naraziłby na szwank swą reputację i pocałował tę dziewczynę. Na samym środku sali balowej. Ruszył czym prędzej w stronę pokoju z napojami, licząc na to, że znajdzie coś mocniejszego niż lemoniada, co pomoże mu wyzbyć się tego niepokoju.

Pomimo tłoku udało mu się wziąć jedną z pełnych szklanek i zamoczyć usta. Lemoniada. Zastanawiał się, czy gospodarz będzie bardzo urażony, jeśli sięgnie po jego brandy.

Wówczas dotarły do niego strzępy rozmowy toczącej się gdzieś nieopodal.

- Słyszałeś jej śpiew?

Trevor zerknął na mówiącego. Za jego plecami stał jakiś tęgi mężczyzna pogrążony w rozmowie. Nie zdołał sobie przypomnieć jego nazwiska, choć z pewnością widywał go w Parlamencie.

- Niestety nie, ale słyszałem, że ma anielski głos - odparł jego drugi rozmówca.

- Ja też nie, ale jeszcze usłyszę. Moja żona planuje zaprosić ją na przyjęcie.

- Amerykankę?

- No tak, ale podobno jest dość dystyngowana.

- I piękna - zaśmiał się drugi mężczyzna.

- Tak. To prawda.

Trevor zacisnął palce na szklance. Nie zamierzał już dłużej tego słuchać. Odsunął się od stolika.

- Podobno ściagała się na Rotten Row - mówił ktoś inny.
- Co ty powiesz? Nie do wiary!
- Niewiarygodne jest przede wszystkim to, że wygrała.
- Niemożliwe.
- Sterling sam mi o tym powiedział. Przegrał funta.
- Założyła się z nim?

Ryeburn miał już tego dość. Odstawił szklankę i usiłował wymknąć się z pokoju.

- Pokonała księcia - relacjonował jakiś, tym razem kobiecy, głos.
- Moja droga, chyba nie mówisz poważnie.
- Byłam przy tym. Welkes złożył jej swoje uszanowanie. Bardzo się cieszył z przegranej.
- Nie do wiary!

Czy ci ludzie nie mają żadnych innych tematów? Ponownie wszedł do sali balowej. Panna Grant zwróciła na siebie uwagę całego towarzystwa. Zapewne zostanie uznana za osobę oryginalną.

Wbrew swemu postanowieniu zaczął szukać wzrokiem jej sylwetki. Spostrzegł, że stoi otoczona wianuszkami dam i dżentelmenów. Zachowywała się bez zarzutu, była uśmiechnięta i rozmowna.

Czy wszyscy całkiem oszaleli?

Był coraz bardziej rozgniewany. Zaczął się rozglądać za Toddingtonem. Z pewnością przynajmniej on będzie rozumiał, że sytuacja zaczyna przypominać farsę.

Christopher tymczasem tańczył z panną Baylor.

Ryeburn dostrzegł Sterlinga, jak zbliża się do otaczającego Amerykanek wianuszkami. Sterling się uklonił, a panna Grant skinęła głową i wstała. Para ruszyła na parkiet.

Trevor nie spuszczał z nich oka. Oboje mieli jasne włosy, ale w jego oczach tworzyli zupełnie niezgraną parę. Sterling był za niski. Przewyższał ją zaledwie o pół głowy. Wyglądałaby znacznie lepiej u boku kogoś wyższego, na przykład bruneta.

Aż się wzdrygnął, gdy sobie uświadomił, że opisuje siebie. Odwrócił się gwałtownie i niewiele brakowało, a zderzyłby się z księciem Welkesem.

- Ryeburn, czy tańczył już pan z tą czarującą istotą?

- Owszem. - Hrabia wiedział, że to nazbyt lakoniczna odpowiedź, ale nie ufał sobie na tyle, by rzec coś więcej. Tym bardziej że mimo woli znów spojrzał na Eden.

- Oczarowała pana, prawda? - zachichotał książę. - Sądziłem, że woli pan damy bardziej stateczne i dystyngowane. Ale niech pan na nią uważa. Z tego rodzaju kobietami trzeba postępować ostrożnie.

- Wezmę sobie do serca pańskie ostrzeżenie, wasza wysokość.

Gdy walc się skończył, Sterling uklonił się Eden, a jego miejsce zajął jakiś inny młodzieniec. Trevor spojrzał na Toddingtona. Hrabia podawał właśnie ramię pannie Baylor, by poprowadzić ją w stronę drzwi wiodących do ogrodu.

Hm. Najwyższy czas zacząć się dobrze bawić. Mnóstwo dobrze wychowanych panien tylko czeka na jego znak. Trzeba przystąpić do poszukiwania narzeczonej. Postanowił ruszyć w stronę panny Lavinii Bottomsley.

Dziewczyna siedziała na kozetce razem ze swą opiekunką. Trevor uklonił się pani Dawson.

- Pani Dawson. Czy zechciałaby pani przedstawić mnie swojej podopiecznej?

- Z przyjemnością, lordzie Ryeburn - zagdakała kobieta. - Lavinio droga, oto lord Ryeburn.

Dziewczyna uśmiechnęła się. Trevor starał się nie wpatrywać zbyt natrętnie w jej wielkie przednie zęby.

- Lordzie Ryeburn, tak się cieszę, że pana poznałam.

- Cała przyjemność po mojej stronie. Czy mogę panią prosić o następny taniec?

- Muszę sprawdzić w karneciku. - Dziewczyna zerknęła na karteczkę. - Tak, lordzie Ryeburn. Ten taniec mam wolny.

Podala mu dłoń, a on pomógł jej wstać. Znaleźli się na parkiecie, gdy orkiestra zagrała pierwsze takty.

- Czy dobrze się pani bawi, panno Bottomsley?

- Wspaniale. Lady Heathbury urządza takie cudowne bale.

Hrabia pokiwał głową.

- Szkoda tylko, że przyszła ta Amerykanka. Ona jest doprawdy zbyt wulgarna.

- Panna Grant?

- Tak, właśnie ona. Jak można tak się popisywać śpiewem. Nigdy w życiu nie zrobiłabym nic takiego.

Całe szczęście. Trevor liczył sekundy do końca tego tańca. Gdy panna Bottomsley uśmiechnęła się do niego ponownie, omal nie odskoczył na widok jej ogromnych zębów. Postanowił skreślić ją czym prędzej ze swej listy.

Walc wreszcie się skończył. Z uśmiechem przyklejonym do twarzy hrabia odprowadził swą partnerkę do jej opiekunki. Mruknął jakieś usprawiedliwienie i wycofał się czym prędzej. Odszukał kolejną dziewczynę z listy.

Tańczył z kilkoma potencjalnymi kandydatkami i w każdej z nich dostrzegał jakieś braki. Jedna była za niska, inna za chuda. Ta mówiła za cicho, tamta zaś mówiła głosem, który wywoływał gęsią skórę. Kolejna jadła zbyt głośno, a na dodatek matka nie odstępowała jej nawet na krok.

Po godzinie Trevor był wykończony, a tymczasem żadna z kandydatek nie zaliczyła próby. Na żadną nie miał ochoty spojrzeć powtórnie. Ogarnęło go

zniechęcenie, choć powtarzał sobie, że to przecież pierwszy bal i że w domu ma jeszcze dwie takie listy. Następnym razem powiedzie mu się znacznie lepiej.

Postanowił wymknąć się do ogrodu. Potrzebował świeżego powietrza. Gdy stanął na tarasie, lekki nocny wietrzyk ukoił mu nerwy. Nie pamiętał, kiedy ostatnio był tak skonany. Odgłosy balu docierały aż tutaj, lecz wolał o nim na chwilę zapomnieć. Zszedł na dół na ścieżkę wijącą się między krzakami róż.

Księżyc oświetlał mu drogę. Zapach róż oczyścił jego umysł od balowego szumu. Wędrował po ogrodzie bez celu. Gdy obejrzał się do tyłu, wydało mu się, że rzęście oświetlone okna rezydencji obserwują go niczym oczy olbrzyma. Fasada domu przypominała mu posępną, złowrogą twarz.

Co się z nim dzieje? Od kiedy prześladują go tak fantastyczne myśli? Do tej pory nawet w snach miewał bardziej prozaiczne skojarzenia.

Za zakrętem dojrzał skrytą w cieniu drzewa ławeczkę. Usiadł, biorąc głęboki oddech. Poczł zapach lawendy.

Lawenda?

Gdy obrócił głowę, spostrzegł, że na przeciwległym końcu ławeczki siedzi skryta w cieniu kobieta.

- Dobry wieczór, lordzie Ryeburn. - Twarz kobiety wciąż skrywał cień, ale Trevor rozpoznał ten głos.

- Dobry wieczór, panno Grant.

- Co pana tu sprowadza? Chowa się pan przed wielbicielkami?

- Mógłbym zapytać panią o to samo.

- Owszem, ale ja bym panu odpowiedziała, nie uciekając się do żadnych wykrętów. - Eden roześmiała się nagle. - Choć zapewne oboje zdajemy sobie sprawę, że właśnie to zrobiłam.

Trevor poczuł, że jej śmiech go zniewala i też się roześmiał.

- A zatem chowa się pani?

- Owszem, lordzie Ryeburn.

## 8

Eden nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy. W poświacie księżyca jego skóra połyskiwała dziwnym blaskiem, przypominając greckie rzeźby, które obie z Lily tak podziwiałały. Hrabia wyglądał tak, jakby właśnie zstąpił z piedestału. Tylko że był ubrany.

Krew zabarwiła jej policzki. Ciesząc się, że ciemności skryły ten rumieniec, przymknęła oczy. Lepiej nie patrzeć na niego i nie myśleć o innych przymiotach greckich posągów.

- Przed kim się pani chowa? - Głos Ryeburna wyrwał ją z zadumy.

- Przed tłumem. Czasami mam dość bycia w centrum uwagi.

- Gdyby panowała pani nad swymi impulsami, nie byłaby pani tak często w centrum uwagi.

Eden poczuła przyływ gniewu.

- Dziś wieczorem nie zrobiłam nic złego.

- Nie, ale wygrana z księciem spowodowała mnóstwo zamieszania.

- To nie moja wina. Nikt mi nie powiedział, że nie powinnam grać w karty.

- Trzeba było zapytać.

- Kogo? Pana?

- To niezły pomysł. Następnym razem, może mnie pani zapytać o radę. - Rozsiadł się wygodniej. Eden miała wielką ochotę wymierzyć mu policzek, by wytrącić go z tego samozadowolenia.

- Proszę mnie zatem oświecić, skoro jest pan taki mądry.

- Sarkazm nie przystoi damie.

- Zdaje się, że już o tym rozmawialiśmy. - Eden podniosła się z miejsca. - Proszę mi zdradzić, co jeszcze powinnam wiedzieć.

Hrabia przyglądał się jej tak długo, że poczuła się niezręcznie. Potem wstał i podszedł do niej z drugiej strony.

- Nie powinna pani tu przebywać sam na sam z mężczyzną.

- Przecież to pan do mnie dołączył.

- To nie ma znaczenia. Pani reputacja bardzo ucierpi, jeśli ktoś nas tu zobaczy.

- W takim razie powinnam chyba odejść. - Dziewczyna obróciła się na pięcie i ruszyła przed siebie. Trevor dotknął jej ramienia. Spojrzała na niego.

- Suknia.

- Suknia? Co ma pan na myśli?

- Kolor. Jest zbyt wyrazisty. I ten wzór, który przyciąga spojrzenie do każdego... - urwał, zmarszczył brwi i odchrząknął. - Przyciąga spojrzenia.

- Lubię tę suknię.

- Nie jest stosowna dla młodej dziewczyny.

- Nie jestem młodą dziewczyną. Mam dwadzieścia lat.

- Aż tyle? Tak czy inaczej jako niezamężna kobieta, powinna pani nosić bardziej stonowane barwy.

- Ze względu na kolor oczu i włosów nie wyglądam najlepiej w pastelach.

- A zatem sama pani przyznaje, że ubiera się tak, by przyciągnąć uwagę.

- Nic takiego nie powiedziałam. - Panna Grant wyrwała mu swoje ramię.

- Jeśli nie będzie pani ostrożna, to pani postępowanie może pociągnąć za sobą niepożądane konsekwencje.

- Na przykład jakie?

- Na przykład takie.

Ryeburn przygarnął ją do siebie i pocałował.

Dziewczyna chciała się cofnąć, zaskoczona nagłym atakiem, ale przytrzymał delikatnie jej głowę i nie pozwolił, by oderwała usta od jego warg. Drugim ramieniem trzymał ją bardzo mocno, ale Eden nie czuła bólu. Przyłgnęła do niego całym ciałem.

Dotyk jego warg sprawił ją w drżenie. Poczowała smak słońca i lodu. Krew huczała w jej żyłach jak ocean. Nie mogła się oprzeć wrażeniu, że wzbija się w powietrze. Zamknęła oczy i oparła się o hrabiego jeszcze mocniej, by nie spaść.

Nim zdążyła ogarnąć myślą, co się wydarzyło, poczuła jego język na swym podniebieniu. Rozsądek podpowiadał, że powinna lorda odepchnąć, ale serce pragnęło, by został. Serce zwyciężyło. Rozsądek rozplynał się we mgle, gdy Eden pozwoliła, by owładnęły nią emocje. Drżała od stóp do głów. Nie rozumiała tej przedziwnej radości, pragnęła jedynie, by ta chwila trwała bez końca.

Nagle Trevor ją odepchnął. Przytrzymał za ramiona, prostując ręce. Eden straciła oddech. Zdumiał ją bijący od Ryeburna chłód. Chciała znów wślizgnąć się w jego objęcia, ale jego ramiona były sztywne. Spojrzała mu w oczy i dojrzała w nich wyraz obrzydzenia. Poczowała, że krew odpływa z jej twarzy.

- Wielkie nieba, kobieto, jakich jeszcze nieprzyzwoito-ści się dopuściłaś?

Dźwięk jego głosu nappełnił ją strachem i wprowadził zamęt w jej myśli.

Zaczerpnęła tchu, choć gardło miała ściśnięte, i szepnęła:

- Co ma pan na myśli?

- A ja martwiłem się o pani reputację - zaśmiał się zjadliwie. - Zapewne wzięła mnie pani za głupca.

- Nie rozumiem. - Eden poczuła, że znów uginają się pod nią nogi, ale tym razem z całkiem innego powodu.

- Ilu mężczyznom pozwoliła pani na jeszcze dalej idącą poufałość, panno Grant?

Otworzyła usta ze zdumienia. Wściekłość i rozpacz walczyły w niej o palmę pierwszeństwa. Odepchnęła lorda z całej siły. Ryeburn opadł na ławkę, ale nie oderwał oskarżycielskiego spojrzenia od jej twarzy.

- Udaje pan dżentelmena, a przecież żaden dżentelmen nie zadałby damie takiego pytania.

- Damy nie całują w ten sposób. - Trevor przymrużył oczy.

- Tego nie wiem. Nikt mnie nigdy nie całował. - Eden była bliska łez, ale nie zamierzała sprawić mu satysfakcji i rozpląkać się w jego obecności. - Dzięki opiece brata i ojca żaden mężczyzna nie zbliżył się do mnie tak blisko, by móc mnie pocałować.

Obróciła się na pięcie i pobiegła w głąb ogrodu. Nie zdołała powstrzymać szlochu, ale przestała się tym przejmować. Pragnęła tylko opanować swe wzburzenie i znaleźć jakiś ustronny zakątek.

Trevor patrzył jej śladem, ale nie pobiegł za nią. Jej szloch wstrząsnął nim do głębi i dlatego wolał trzymać się od niej z daleka. Czy to możliwe, by mówiła prawdę? Czyżby źle ją ocenił? Pocałunek obudził w nim namiętność, jakiej do tej pory nie znał. Tak żarliwego przyjęcia, z jakim się spotkał, nie spodziewał się po niewinnej dziewczynie.

Przeczesał włosy dłonią i przywołał obraz twarzy Eden. Jej oczy błyszczały w świetle księżyca od lśniących tuż pod rzęsami łez. Jej skóra straciła zwykłą barwę. Najbardziej prześladowało go jednak jej przejmująco smutne spojrzenie. Skąd mógł wiedzieć, że nikt jej nigdy nie całował?

Dopiero po chwili uświadomił sobie, że jej wierzy. Postanowił, że ją przeprosi, ale nie teraz. Nie ufał sobie na tyle, by jej teraz szukać. Ten pocałunek wzbudził jego przerażenie. Uświadomił sobie, że zawsze miał słabość do niewłaściwych kobiet. Zawsze pociągały go pełne życia piękności, z których żadna nie mogłaby zostać hrabiną.

Czuł, że nie tylko on jest winien. To jej zachowanie zawsze prowadziło do nieszczęść. Spotkali się zaledwie parę razy i ona za każdym razem była w opałach. Miała do tego wyjątkowy dar. On nie ponosi odpowiedzialności za jej zachowanie.

Ale ten pocałunek... Gdy zamykał oczy, czuł znowu miękkość jej ust, słyszał westchnienia, które wydawała z siebie najprawdopodobniej całkiem nieświadomie. W dłoniach pozostało żywe wciąż wspomnienie ciepła jej ciała.

Krew napływała mu do łędźwi, gdy odtwarzał w pamięci ten pocałunek. W tym stanie nie może wrócić do sali balowej.

Wiatr szumiał w gałęziach drzewa, zwisających nad jego głową. Liście coś do niego szeptały. *Numquam tuas spes dedisce*. Otworzył oczy i ujrzał księżyc połyskujący między gałęziami. Nikogo nie było w pobliżu, lecz Trevor gotów był przysiąc, że usłyszał te słowa. Liście znów zaszumiały, ale tym razem ich głos pozostał niezrozumiały. Trevor potrząsnął głową. To przemęczenie. Wyobraźnia splatała mu już tyle psikusów tego wieczoru.

Nie miał pojęcia, jak długo siedział na tej ławce. W końcu jednak chłód zaczął doskwierać mu tak bardzo, że postanowił zaryzykować i wrócić na bal. Ogród stracił swój urok. Wieczór nie był już tak przyjemny. Nie znajdzie tu narzeczonej. Zabawa trwała w najlepsze, ale Ryeburn wziął płaszcz, wsiadł do powozu i kazał się zawieźć do domu.

*Numquam tuas spes dedisce*. Eden uniosła głowę, ale nie spostrzegła nikogo, kto mógłby wypowiedzieć te słowa.

- Kto to?

Odpowiedziała jej cisza. Dziewczyna wpatrywała się intensywnie w ciemności, ale nikogo nie zauważyła. Tylko wiatr szemrał w krzakach i drzewach.

Otarła oczy wierzchem dłoni. Najprawdopodobniej wyobraźnia zwiódła ją na manowce. Nikogo nie ma w pobliżu. Tylko wiatr szeleści w liściach. Żelazna ławka, na której Eden złożyła głowę, była zimna. Próbując uspokoić rwący się oddech, podniosła się z ziemi. Otrzepała suknię i skarciła się za to, że pozwoliła, by ten człowiek tak bardzo ją dotknął. Zepsuł jej pierwszy pocałunek, ale to nie znaczy jeszcze, że zmarnował jej życie. A ten pocałunek nie ma żadnego znaczenia. Nawet jeśli sprawił jej większą przyjemność, niż powinien.

Nic dziwnego, że papa i Nicholas chronili ją przed tego rodzaju przygodami. Niedoświadczona dziewczyna może rzeczywiście stracić rozum w takich okolicznościach.

Oddychała już nieco spokojniej, ale jej oczy były najprawdopodobniej wciąż jeszcze spuchnięte i czerwone. Kilka minut na świeżym powietrzu powinno temu zaradzić. Eden siedziała na ławce i starała się myśleć o czymś innym.

Pisała już rodzicom o koniu, którego kupiła. Nie miała wątpliwości, że Hermes przypadnie ojcu do gustu. Powinien prześcignąć większość koni, które stoją w ich stajniach. Skrzywiła się nieznacznie. Myśl o wyścigach przypomniła jej spotkanie z Ryeburnem w parku.

Trzeba pomyśleć o czymś innym... na przykład... o prezentach, które kupiła dla matki i siostry. Wykwintne rękawiczki zdobione perłami i kwiatami. Coś, co można nosić w Bostonie, gdzie wszyscy podziwiają jej gust, zamiast krytykować wybór stroju. Eden spochmurniała. Znowu. Znowu pomyślała o Ryeburnie.

- Precz - powiedziała głośno, podnosząc się z ławki. Przestała rozczulać się nad sobą. Powoli narastał w niej

gniew na hrabiego. Co on sobie wyobraża? Jest przekonany, że arystokratyczny tytuł daje mu prawo potępiania jej i rzucania takich strasznych oskarżeń. A przy tym uważa się za dżentelmena. Ha.

Czując, że ogarnia ją prawdziwa furia, postanowiła wrócić na bal. Znajdzie go i powie mu, co o nim myśli. Albo jeszcze lepiej: da mu do zrozumienia, że ma go w nosie. Będzie się dalej bawić, jakby nigdy jej nie pocałował.

Zerknęła na suknię. Upewniwszy się, że jej wyglądowi nie można nic zarzucić, wślizgnęła się z powrotem do sali balowej. Rozglądała się za Ryeburnem, ale nigdzie go nie było widać. Może poszedł się czegoś napić.

Kątem oka spostrzegła, że zbliża się do niej pan Ster-ling. Nie chcąc go urazić, uśmiechnęła się do niego.

- Tak się cieszę, że panią znalazłem, panno Grant. Czy mogę panią prosić o trzeci taniec?

Eden raz jeszcze ogarnęła spojrzeniem salę, ale lorda nigdzie nie było.  
Może dojrzy go gdzieś na parkiecie.

- Oczywiście, panie Sterling.

Sterling poprowadził ją na parkiet. Gdy zaczęli się obracać, Eden wciąż wypatrywała Ryeburna.

- Bardzo mi się podobał pani występ, panno Grant. Eden oprzytomniała.

- Dziękuję, panie Sterling.

- Wydawało mi się, że znikła pani na chwilę. Miałem nadzieję, że będę mógł odprowadzić panią do stołu, ale nigdzie pani nie znalazłem.

- Byłam na dworze. W ogrodzie jest bardzo pięknie.

- Chyba nie była pani sama? Gdyby miała pani ochotę uciec jeszcze na chwilę, z przyjemnością będę pani towarzyszył. Sterling uśmiechał się do niej, ale Eden nie mogła się oprzeć wrażeniu, że w jego słowach kryje się coś więcej niż przyjacielska sympatia. Ogarnął ją dziwny niepokój. Spojrzała na partnera raz jeszcze i uznała, że źródłem tego niepokoju muszą być wydarzenia w ogrodzie.

- Podoba się pani w Anglii?

- Och, tak. Tyle tu nieznanymi rzeczami.

- Jeśli pani pozwoli, chętnie pokażę pani kilka interesujących miejsc w Londynie i okolicy. Pani i pani przyjaciółkom.

- Nie wątpię, że panią Roberts ucieszy taka propozycja. -Eden zmusiła się do uśmiechu. Nie miała ochoty do niczego go zachęcać, ale nie wiedziała jak odrzucić ofertę.

- Wspaniale.

Orkiestra zagrała ostatnie takty. Sterling odprowadził ją na bok.

- Reguły towarzyskie nie pozwalają mi zabawić pani przez cały wieczór, muszę więc z wielkim żalem panią opuścić - powiedział, kłaniając się.

Bogu dzięki, za niektóre przynajmniej reguły dobrego tonu, pomyślała Eden. Raz jeszcze rozejrzała się po sali i spostrzegła Lily. Przeciskając się przez tłum, dotarła do przyjaciółki.

- Gdzie byłaś? - zapytała panna Baylor, nim Eden zdążyła się odezwać.

- Ja? W ogrodzie.

Lily wsunęła rękę pod ramię przyjaciółki i pociągnęła ją na ławeczkę.

- Wszędzie cię szukałam.

- Co się stało?

- Nic. Zastanawiałam się tylko, gdzie znikłaś.

Eden nie wiedziała, co odpowiedzieć. Lily była jej najlepszą przyjaciółką, ale nie mogła jej przecież opowiedzieć o pocałunku Ryeburna. Zawsze miała jednak kłopoty z utrzymaniem czegokolwiek w tajemnicy. Przyjaciółka zbyt dobrze ją знаła.

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Jestem po prostu zmęczona. Widziałaś może lorda Ryeburna?

- Wyszedł jakieś pół godziny temu. Lord Toddington twierdzi, że zachowywał się bardzo dziwnie.

A więc nie ma go tutaj? Świetnie. Nie warto tracić dla niego czasu. Eden utwierdziła się w przekonaniu, że wcale nie jest rozczarowana.

Ogarnęło ją prawdziwe zmęczenie. Chciała wrócić do domu i wślizgnąć się do łóżka.

- Czy nie mogłybyśmy już stąd pójść? Lily spojrzała przyjaciółce w oczy.

- Widzę, że coś jest nie tak. Zaraz znajdę panią Roberts i pojedziemy do domu.

Parę minut później pożegnały się z gospodynią i wsiadły do wynajętego powozu. Eden oparła się o poduchy.

- Cóż za niezwykły wieczór. - Pani Roberts siedziała sztywno wyprostowana. - Nie zdziwię się, jeśli po tym sukcesie dostaniemy jeszcze więcej zaproszeń.

Panna Grant przełknęła jęknięcie i zamknęła oczy, udając, że śpi. Wołała nie zachęcać opiekunki do dalszych spekulacji.

- Ten przemiły pan Sterling zapytał, czy mógłby nas jutro odwiedzić. Nie do wiary! Będziemy przyjmować syna hrabiego. Ośmielę się zaryzykować twierdzenie, że on jest poważnie zainteresowany którąś z was. Jeśli sprawa będzie się rozwijała w tym tempie, to niewykluczone, że jeszcze przed wyjazdem trzeba będzie zorganizować zareczyny.

O Boże! Eden nawet nie drgnęła.

- Pani Roberts, przepraszam bardzo, ale wydaje mi się, że Eden zasnęła. - Lily przykryła przyjaciółkę swoim płaszczem.

- Zapewne jest wyczerpana. Dobre nowiny na temat pana Sterlinga mogą poczekać do jutra. - Guwernantka usiadła wygodniej, a po chwili zaczęła głośno chrapać.

- Już zasnęła. Możesz otworzyć oczy.

Eden uchyliła najpierw tylko jedną powiekę, by się upewnić, czy Lily się nie myli, i uspokojona wyprostowała się na siedzeniu.

- Dobra z ciebie przyjaciółka.

- Wiem o tym. A gdy już będziesz gotowa, chętnie wysłucham, co cię tak bardzo martwi.

- Nie jesteś zmęczona?

- Chyba już nigdy nie będę zmęczona - westchnęła panna Baylor, opierając się o poduchy.

- Dlaczego jesteś taka szczęśliwa?

- Ty masz swoje sekrety, ja mam swoje. - Lily poklepała przyjaciółkę po dłoni. - Powiem ci jutro. Już dojeżdżamy. - Wyjrzała przez okno.

Chwilę później powóz stanął przed frontowymi drzwiami. Niebawem cały dom był już pogrążony w ciszy, bo wszyscy domownicy udali się na spoczynek.

Eden wpatrywała się w sufit. W ciemnościach błękitne niebo zrobiło się szare, a obłoczki o ton jaśniejsze. Ta kolorystyka pasowała do jej nastroju.

Próbowała zasnąć, ale gdy tylko zamykała oczy, znów była w ogrodzie razem z Ryeburnem. Jej usta łaknęły dotyku jego warg. Jej ciało drżało z emocji, których istnienia do tej pory nie podejrzewała.

Próbowała wyobrazić sobie pocałunek kogoś innego. Ale jej wysiłki spełzły na niczym.

## 9

Eden siedziała na krześle z wysokim oparciem i wpatrywała się w biurko. W bibliotece było mnóstwo książek, ale nic nie zdołało odwrócić jej uwagi od stosu kopert, które przed nią leżały. Nie otworzyła żadnej z nich; siedziała w milczeniu i kręciła głową.

Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi, ale się nie odwróciła.

- Tu jesteś. - Do pokoju wślizgnęła się Lily. - Ukryłaś się?

- Niezupełnie. Obawiam się zresztą, że nie ma takiego miejsca, w którym mogłabym się ukryć. - Eden odwróciła wzrok od stosu kopert. Na widok rozradowanej twarzy przyjaciółki uniosła brew. - Dlaczego jesteś taka szczęśliwa?

- A dlaczego ty jesteś taka ponura? - odparowała Lily z uśmiechem.

- Nie jestem ponura, jestem... - Panna Grant machnęła ręką, wskazując okazały stosik.

- Co to takiego?

- Najnowsza seria zaproszeń. Jest ich chyba dwadzieścia, a pani Roberts co godzinę przynosi nowe. - Eden oparła brodę na dłoniach.

- Lord Toddington mówił mi, że twoje nazwisko jest na ustach wszystkich. Wszyscy chcą poznać oryginalną Amerykankę. Bez względu na to, co to oznacza.

- A co to oznacza? - Eden zmarszczyła brwi.

- To oznacza, że nadejdzie jeszcze więcej zaproszeń.

Czy ty naprawdę tak bardzo nie lubisz przyjąć? - W głosie Lily pojawiła się nuta rozczarowania.

- Nie wiem. Gdybym wierzyła, że zapraszają mnie i że wcale nie chodzi im o moje występy, to pewnie bardzo bym się cieszyła.

- Czy to znaczy, że nigdzie nie pójdziemy?

Eden spojrzała na przyjaciółkę. Lily nerwowo gryzła dolną wargę.

- Czy coś się stało?

- Nic takiego. Tylko... - Panna Baylor chwyciła Eden za rękę. - Proszę cię, skorzystajmy z tych zaproszeń.

- Skorzystamy z tych, z których zechcesz. Chodzi o lorda Toddingtona, prawda?

Lily splonęła się. Wypuściła dłonie przyjaciółki i odwróciła wzrok.

- Obiecujesz, że nie będziesz się ze mnie śmiała? - zapytała, znów przygryzając wargę.

- Oczywiście, że nie. - Eden obróciła krzesło, by popatrzeć na Lily.

Panna Baylor przymrużyła oczy, jakby czegoś się lękała.

- Pragnę go znowu spotkać.

- Wygląda na to, że się tobą zainteresował.

-A ja nim. - Lily zarumieniła się jeszcze bardziej. -Wiem, że to beznadziejna sprawa. On jest hrabią, a ja? Kim ja jestem? Nikim. Zwyczajną dziewczyną z Ameryki, która umie grać na pianinie. A poza tym wyjeżdżamy stąd w sierpniu. Chciałabym jednak spędzić te miesiące jak najpiękniej. Czy sądzisz, że to coś strasznego?

- Nie, ale...

- Eden, ja go chyba kocham. - Oczy Lily wypełniły się łzami.

- Przecież dopiero go poznałaś. - Eden nie potrafiła ukryć niedowierzania.

- Wiem, że to śmieszne, ale od kiedy go zobaczyłam, nie potrafię myśleć o niczym innym. Cierpię katusze. Wiem, że będzie jeszcze gorzej, jeśli zaczniemy się częściej spotykać, ale jestem nieszczęśliwa, gdy go nie widzę.

- Ty mu się także podobasz. Jego zachowanie wyraźnie na to wskazuje. -  
Eden pogłaskała przyjaciółkę po ciemnych włosach, ale po chwili  
spochmurniała. - Czy na pewno chcesz się na to narażać? Z przyjemnością  
odrzućę wszystkie zaproszenia.

- Och nie. Proszę, nie rób tego. Nie mam nadziei na przyszłość u jego  
boku, ale pozwól mi przynajmniej o tym marzyć.

Słowa przyjaciółki skłoniły Eden do zastanowienia. Ileż to razy w ciągu  
ostatnich dni sama marzyła?

- Marzenia mogą sprawić ból - powiedziała po chwili wahania.

- Nie mam nic oprócz marzeń. Moja sytuacja jest całkiem inna niż twoja.  
Nie mam rodziny, która by się o mnie zatroszczyła. Jeśli mogę zabrać ze sobą  
do Ameryki wspomnienia chwil szczęścia, to bez wahania podejmę ryzyko.

- Skąd możesz wiedzieć, co cię czeka w przyszłości?

- Tego nie wiem, ale wiem, co mogę mieć tu i teraz.

Eden zabrakło argumentów, które mogłaby przeciwstawić namiętności  
Lily. W oczach panny Baylor lśniły łzy, ale jej zachowanie było pełne godności  
i dumy.

- Nie mogę cię prosić o zrozumienie - ciągnęła Lily. - Ale jeśli jemu na  
mnie zależy, a mnie zależy na nim... -Wzruszyła ramionami.

- Ty naprawdę go kochasz - stwierdziła Eden ze zdumieniem. Wiedziała,  
że jej rodzice się kochają, nie przypuszczała jednak, że sama będzie miała tyle  
szczęścia i znajdzie swoją miłość. A teraz jej najdroższa przyjaciółka uległa  
pokusie. Patrząc na Lily, poczuła ukłucie zazdrości.

- Musisz mi pomóc. Nie mam pojęcia, na które z tych przyjęć wybiera się  
lord Toddington.

Lily zarzuciła Eden ramiona na szyję.

- Dziękuję.

- Jeszcze mi nie dziękuj. Pamiętaj, że za każdym razem będziesz musiała mi akompaniować. Pani Roberts będzie zachwycona. Zbiera punkty za każdy nasz sukces. - Eden podała przyjaciółce stos kopert.

- I wtedy będzie zupełnie niemożliwa.

- O kim pani mówi, moja droga? - Pani Roberts weszła do pokoju. Eden zawsze podejrzewała, że ta kobieta ma jakiś szósty zmysł. Kiedy była jeszcze guwernantką w ich domu, zawsze przyłapywała ją z bratem, gdy o czymś potajemnie szeptali.

- O Elisabeth Farley - rzuciła. - Zzielenieje z zazdrości, gdy się dowie, na ilu przyjęciach i balach byliśmy w Londynie.

- Młode damy nie powinny przechwalać się swoimi sukcesami.

- Tak, pani Roberts.

- Ma pani gościa, panno Grant. Ten uroczy pan Sterling przyszedł, by się z panią zobaczyć. - Pani Roberts promieniała z radości. Podała podopiecznej kolejną porcję zaproszeń. - To także dla pani.

Eden wręczyła koperty Lily, mrugając do niej okiem.

- Przejrzyj to, proszę. Zastanów się, dokąd chciałabyś pójść. - Wstała i popatrzyła na swą opiekunkę. - Zobaczmy więc, czego sobie życzy pan Sterling.

- Czeka w salonie. - Pani Roberts przepuściła Eden, a potem ruszyła w ślad za nią.

Martin Sterling stał przy oknie. Gdy panie weszły do salonu, obrócił się i ukłonił.

- Witam pana, panie Sterling. - Eden podała mu dłoń.

Sterling pochylił się nad jej ręką.

- Panno Grant. Słońce jaśniej dla mnie świeci, od kiedy zgodziła się pani, mnie przyjąć.

- Dziękuję. Zechce pan usiąść? - Eden wskazała mu krzesło, a sama usiadła na sofie. Pani Roberts zajęła miejsce w kącie.

- Wygląda pani dziś zachwycająco.

- Raz jeszcze dziękuję, panie Sterling. - Eden uśmiechnęła się do gościa, nie wiedząc, co powiedzieć. Czego on chce?

- Panno Grant, nie wiem, czy ma pani świadomość, jak wielkie wrażenie pani na mnie wywarła. Gdyby pani rodzice tu byli, skierowałbym swoje kroki najpierw do nich, ale w tej sytuacji przychodzę bezpośrednio do pani.

Eden w porę się powstrzymała, by nie zrobić głupiej miny.

Sterling pochylił się w jej stronę.

- Jest pani piękną kobietą, a przy tym ma pani niezrównany talent. Miałem nadzieję, że pozwoli mi pani...

Do salonu wszedł lokaj.

- Przepraszam, panno Grant, ale ma pani jeszcze jednego gościa. - Na tacy leżała karta wizytowa.

Dzięki Bogu. Sterling nie będzie mógł kontynuować swoich wynurzeń w obecności jeszcze jednego gościa. Eden zerknęła na wizytówkę i serce w niej zamarło. Trevor St. John, hrabia Ryeburn. Ciekawe, po co ten przychodzi?

Spojrzała na Sterlinga. Wyglądał tak, jakby się wszystko w nim gotowało, ale nie miała ochoty dłużej go słuchać. Sterling albo Ryeburn. Z deszczu pod rynnę. Westchnęła ciężko.

- Proszę go wprowadzić.

Lokaj ukłonił się i wyszedł. Eden obróciła się do Sterlinga, wykrzywiając wargi w uśmiechu.

- Bardzo przepraszam. O czym pan mówił?

- Mówiłem o tym, jak bardzo panią podziwiam, choć znamy się od niedawna. Chciałbym... - Sterling spojrzał w stronę drzwi.

Eden podążyła za jego spojrzeniem. W drzwiach stał Ryeburn i patrzył na nich z ukosa. Zrobił dwa kroki i spostrzegł panią Roberts. Jego napięcie najwyraźniej opadło.

Eden się zirytowała. Znowu posądzał ją o to, co najgorsze, póki nie zobaczył przyzwoitki.

- Dzień dobry, panno Grant. Sterling. - Hrabia uklonił się guwernantce. -  
Dzień dobry pani.

- Miło pana znów widzieć, lordzie Ryeburn. - Twarz pani Roberts się rozjaśniła.

Teraz może się pochwalić wizytą prawdziwego hrabiego. Eden próbowała zmrozić gościa spojrzeniem, choć serce biło jej jak oszalałe i z trudem chwyciła oddech.

- Lord Ryeburn. Nie spodziewałam się, że jeszcze pana zobaczę.

Trevor uniósł brwi i popatrzył na Sterlinga, zanim jej odpowiedział:

- Widzę, że rzeczywiście sprawiłem pani niespodziankę.

- Co ty tu robisz? - Sterling zacisnął pięści.

- Przyszedłem z wizytą. Podobnie jak ty.

- Tak się złożyło, że przerwałeś nam ważną rozmowę. -Sterling usiadł na krześle.

- Ja także muszę coś omówić z panną Grant, ale mogę poczekać, aż skończysz. - Trevor wskazał fotel. - Pozwoli pani?

Eden miała zamiar powiedzieć „nie”, ale pani Roberts ją uprzedziła.

- Oczywiście, lordzie Ryeburn. Nie należy zapominać o dobrych manierach. - Spojrzała znacząco na podopieczną.

- Proszę usiąść, lordzie Ryeburn. Jestem bardzo ciekawa, co ma mi pan do powiedzenia. - Mówiła głosem słodkim jak miód, ale spostrzegła, że źrenice hrabiego się zwęziły.

Pani Roberts podniosła się z miejsca.

- Zaordynuję, by podano nam herbatę - oświadczyła i wyszła. Eden gotowa byłaby przysiąc, że wyszła tanecznym krokiem, gdyby nie wiedziała, że starsza pani nigdy nie tańczy.

- Śmiało, Sterling. Nie krępuj się moją obecnością. -Trevor skrzyżował ramiona na piersiach i skinął przyzwalająco głową.

Wszystko wskazywało na to, że Sterling warknie na Ryeburna. On jednak zwrócił się do Eden:

- Panno Grant, w żadnym razie nie mogę powiedzieć tego, co zamierzałem w obecności lorda Ryeburna. Może moglibyśmy porozmawiać przez chwilę na osobności...

Hrabia pogroził mu palcem.

- Co to, to nie. To byłoby niestosowne. Młoda dama w towarzystwie dżentelmena bez przyzwoitki? Jak możesz coś takiego proponować?

Gdyby Eden nie uważała, że to ona jest adresatką tych słów, byłaby się roześmiała na widok miny Sterlinga. Pomimo przemożnej chęci zagrania na nerwach Ryeburnowi nie miała ochoty nigdzie iść ze Sterlingiem. W każdym razie nie miała zamiaru wysłuchiwać jego wynurzeń.

- Obawiam się, że lord Ryeburn ma rację. Odlóżmy tę rozmowę, może przytrafi się jakiś spokojniejszy dzień.

- Jak pani sobie życzy. - Sterling skinął głową, ale wciąż miał zaciśnięte pięści.

- A co takiego pan chciał mi powiedzieć, lordzie Ryeburn?

- To także może poczekać. - Trevor rozsiadł się wygodniej. Całkiem nieźle się tu bawił. Bez trudu wywiódł w pole Sterlinga. - Spóźniłem się na pani występ wczoraj wieczorem. Zdaje się, że znów bardzo pięknie pani śpiewała.

- To prawda - potwierdził Sterling. - Grono wielbicieli panny Grant powiększa się z każdym dniem.

- Doprawdy? Jaka szkoda, że nie zostanie pani tutaj dłużej. Mogłaby pani wybrać któregoś z Anglików na małżonka. - Trevor obserwował uważnie reakcję Sterlinga.

- Mimo wszystko nie należy tego wykluczać. - Sterling próbował zajrzeć pannie w twarz, ale ta spuściła wzrok.

A więc o to chodzi. Sterling chce się ożenić z tą dziewczyną. Niechęć, którą Ryeburn czuł do tej pory wobec Sterlinga, przerodziła się w prawdziwe

obrzydzenie. Co on powiedział u Lockwoodów? Że jej ojciec jest bardzo bogaty. Teraz rozumiał, dlaczego tak mu się spieszy.

- Ależ panowie, nie przyjechałam do Anglii, by szukać sobie męża. Przyjechałam, by podziwiać piękne krajobrazy i poznać historię. Mój ojciec kolekcjonuje rzymskie antyki. Nigdy by mi nie wybaczył, gdybym nie odwiedziła rzymskich ruin tu, w Anglii.

- Z przyjemnością zaprosiłbym panią na wycieczkę do jednego z takich miejsc - powiedział Sterling.

- Znakomity pomysł. Urządzimy sobie piknik. Panna Baylor i Toddington z pewnością chętnie się przyłączą. - Trevor patrzył uważnie na tężejącą w oczach twarz Sterlinga. - Pani Roberts także powinna nam towarzyszyć.

- Nie chciałabym pana kłopotać, lordzie Ryeburn. - Eden rzuciła mu pełne zdziwienia spojrzenie.

- Racja, Ryeburn. To będzie skromna wycieczka, nie musisz nam towarzyszyć.

- Bzdura. Zrobię to z przyjemnością. Umówmy się może od razu na wtorek. Zamówię kosze z jedzeniem i przyjadę po panie swoim powozem. - Trevor podrapał się w policzek. - Hmm. Będzie nas sześcioro. I jeszcze kosze z jedzeniem. Powinienem chyba zabrać jeszcze dwukólkę. Cztery plus dwa... w sam raz. Starczy miejsca dla wszystkich. Nie masz nic przeciwko temu, że usiądziesz z panią Roberts, prawda Sterling?

Sterling zerwał się na równe nogi. Twarz mu poczerwieniała, usta zaś otworzyły się szeroko. Dopiero po chwili zdołał się opanować.

- Będę czekał z niecierpliwością na nasze spotkanie. Do wtorku, panno Grant. - Ukłonił się i wyszedł, nie patrząc na hrabiego.

Trevor z trudem opanował śmiech. Jego nastrój zmienił się radykalnie, gdy spojrzał na pannę Grant. Jej lodowate spojrzenie nie wróżyło nic dobrego.

- Nie przyszło mi do głowy, że może pan zdobyć się na takie zuchwalstwo, by mnie odwiedzić. I na dodatek zaprosić na piknik.

Trevor rozłożył ręce.

- Przyszedłem, by prosić o wybaczenie.

- Przyszedł pan prosić o wybaczenie rozpustnicę?

- Panno Grant, przyznaję, że zbłądziłem. Źle panią oceniłem.

- Doszedł pan do takiego wniosku, zanim mnie pan upokorzył czy trochę później?

Trevor przeczesał włosy dłonią.

- Panno Grant, wczoraj wieczorem zachowałem się w sposób haniebny. I nie potrafię tego wytłumaczyć. Mogę tylko prosić o wybaczenie.

Eden umilkła. Wstała i podeszła do okna.

- Dlaczego zaprosił nas pan na piknik?

- Czy wszystkie Amerykanki są tak szczerze i bezpośrednio jak pani?

- Czy wszyscy Anglicy są tak spętani konwenansami jak pan?

- Skądże - roześmiał się Trevor. - Gdyby pani знаła mego ojca... -

Spojrzał na nią i pokręcił głową. - O nie, całe szczęście, że go pani nie znała.

Uciekłby się do wszystkich swoich trików, byle uczynić panią swoją kochanką.

Eden otworzyła usta ze zdziwienia i obróciła się ku hrabiemu.

- Raz jeszcze proszę o wybaczenie. - Dlaczego w towarzystwie tej dziewczyny zapominał o wszystkim, co sobie przyrzekł? Pokazywał jej oblicze, którego sam nie znał. Ona jest stanowczo zbyt powabna, zbyt czarująca. I zbyt niebezpieczna. - Wtorkowy piknik to propozycja zawarcia pokoju.

- I próba uniemożliwienia panu Sterlingowi zalotów - zauważyła z uśmiechem Eden.

Do diaska, jeszcze trochę, a polubi tę dziewczynę.

- Jest pani nie tylko utalentowana, ale i inteligentna. Czy to było aż tak oczywiste?

- Owszem. I bardzo się z tego cieszę, choć nie mam pojęcia, dlaczego pan to zrobił. Wiem, że się przyjaźnicie...

- Sterling jest przyjacielem Toddingtona. Ja go tylko toleruję.

Eden przekrzywiła głowę.

- Skoro już rozmawiamy o lordzie Toddingtonie...

- I o panie Baylor?

- Pan wie? - zdziwiła się Eden.

- Toddington już dawno nie zachowywał się jak uczeń.

- A zatem piknik będzie...

- Doskonałą okazją, by się znów spotkali.

- Pan to pochwała?

- Nie mnie pochwalać czy potępiać. Toddington był ostatnio dość przygnębiony. Cieszę się, że jest w lepszym humorze. Czy wybaczyła mi pani?

- Jeszcze nie wiem. Ale zgadzam się na rozejm ze względu na Lily.

Ta dziewczyna ma charakter. Jego tytuł nie budzi jej przerażenia, szczerść jej nie zraża. Trevor nie miał pojęcia, jak należy postępować z takimi kobietami. Ona nie zamierza przestrzegać konwenansów i nic sobie z tego nie robi. A przy tym jest niewinna. Rzadka kombinacja. W jej towarzystwie trudno się nudzić. Szkoda, że nie nadaje się na żonę.

Pani Roberts weszła do salonu, niosąc herbatę na tacy. Rozejrzała się dokoła.

- Co się stało z tym przemiłym panem Sterlingiem?

- Musiał już iść.

Pani Roberts postawiła tacę na stoliku. Brzęk naczyń podkreślił jej marsową minę.

- Panno Grant, powinna pani natychmiast mnie zawołać. Dama nie powinna przebywać sam na sam z dżentelmenem.

- Oczywiście, madam.

- Mam nadzieję, że nikt się o tym nie dowie, lordzie Rye-burn? -

Guwernantka spojrzała na gościa przez binokle.

- Daję słowo honoru. - Hrabia uklonił się dwornie. Po raz ostatni usłyszał tego rodzaju reprimendę z ust swojej niani.

- A zatem znów mamy wobec pana dług wdzięczności. Herbaty?

- Obawiam się, że ja także muszę już iść. - Trevor obrócił się w stronę Eden, której oczy jaśniały z rozbawienia. - Do wtorku?

- Do wtorku? A co się ma wydarzyć we wtorek? - zapytała pani Roberts.

- Zaprosiłem panie na wycieczkę. Mam nadzieję, że pani też się do nas przyłączy.

- Zdaje się, że nie mamy żadnych planów na wtorek. Dziękujemy za zaproszenie, lordzie Ryeburn.

- Muszę już panie pożegnać. Miłego popołudnia, drogie panie.

Wychodząc z pokoju, usłyszał jeszcze głos pani Roberts.

- Panno Grant, to doprawdy szczęśliwy dzień. Wycieczka w towarzystwie hrabiego. Zaraz napiszę do pani rodziców.

Ryeburn uśmiechnął się pod wąsem. Dobry humor prysł jednak, gdy uświadomił sobie, że postanowił właśnie spędzić kolejny dzień w towarzystwie Eden Grant. W tej sytuacji nigdy nie znajdzie odpowiedniej żony.

## 10

Powóz zatrzymał się przed londyńską rezydencją hrabiego. Przez chwilę podziwiał on bryłę swego domu, mury z czerwonej cegły i białe kolumny oraz idealnie przycięty żywopłot. Miejska rezydencja nie prezentowała się wprawdzie tak majestatycznie jak Concordia, ale była całkiem okazała. Trevor St. John wszedł do środka. Lśniące marmurowe podłogi, białe ściany, eleganckie gzymsy porządkujące przestrzeń - wszystko to tchnęło dostojeństwem.

Dziś jednak dom wydał mu się zimny i pozbawiony życia.

Trevor otrząsnął się z tych myśli. Te igraszki wyobraźni muszą się wreszcie skończyć. Odbierają mu spokój ducha. Podał rękawiczki i kapelusz lokajowi.

- Sir, przyjechała hrabina Ryeburn - oznajmił lokaj. -Hrabina wdowa.

Trevor przeczesał włosy palcami. Miał nadzieję, że przez jakiś czas nie będzie musiał oglądać tej kobiety.

- No cóż, zapewne musi się tu pokazać raz na jakiś czas. Dziękuję, Finch - powiedział i skierował się do salonu.

Macocha przestawiała właśnie wazon z kwiatami.

- Witaj, Vanesso.

- Trevorze, mój chłopcze, zawsze zachowujesz się tak oficjalnie. - Szczupła brunetka odstawiła wazon na stolik i podeszła do pasierba, by go uściskać. Ten jednak stał sztywno.

Vanessa postarzała się od ostatniego spotkania. Była starsza od niego o zaledwie dziesięć lat, ale burzliwa młodość pozostawiła swe ślady. W kąciakach oczu macochy pojawiły się już zmarszczki, zaś rumieńce na policzkach zawdzięczała tylko umiejętnemu zastosowaniu różu. Miała na sobie suknię, która znacznie lepiej by wyglądała na osobie o połowę młodszej, ale Vanessa zawsze udawała dziewczynę, która dopiero wkracza w wielki świat.

- Przywiozłaś Lorane? - Trevor zdołał jakoś wydostać się z jej objęć.

- Nie bądź śmieszny. Przyjechałam z Bath. A poza tym Lorane jest za młoda na debiut w Londynie. Została w domu z guwernantką i książkami.

I z pewnością jest tam szczęśliwsza. Nie starał się zrozumieć swej młodszej przyrodniej siostry, podzielał jednak jej niechęć wobec matki.

- Czy przygotowania do maskarady są już zaawansowane? - Vanessa zmarszczyła brwi i znów przestawiała wazon.

- Sądzę, że ochmistrzyni czuwa nad wszystkim. Vanessa otworzyła szeroko zielone oczy.

- A ty nic nie wiesz?

- Przekazałem pani Byrd twoje instrukcje na piśmie. Ufam, że doskonale sobie poradzi z organizacją maskarady.

- Trevorze, mój drogi, czasami zachowujesz się jak mały chłopiec.

Ryeburn powściągnął swoją reakcję.

- Przygotowanie maskarady pochłania wiele tygodni. Trzeba wszystko dokładnie zaplanować i przeprowadzić. - Macocha zajęła miejsce i rozpostarła suknię, jakby siedziała na tronie. - Nie należy polegać bez reszty na służbie. Potrzeba im nadzoru, kogoś, kto potrafi wydawać rozkazy.

- W takim razie dobrze się stało, że zjawiałaś się w mieście właśnie teraz. - Trevor nawet nie starał się ukryć sarkazmu, choć Yanessa nie miała pojęcia, co to takiego. Nigdy nie starał się jej wytłumaczyć, że pani Byrd znakomicie prowadzi dom bez niczyjej pomocy. Nie zamierzał jej także opowiadać, jak długo musiał przekonywać ochmistrzynię, by nie rezygnowała ze służby po jej ostatniej wizycie. Tym razem będzie musiał wypłacić pani Byrd sporą gratyfikację za zmagania z Vanessą.

- Powinieneś się ożenić, Trevorze. - Vanessa naląła sobie herbaty.

Ryeburn uśmiechnął się pod wąsem. Wiedział doskonale, że macocha wolałaby, żeby jeszcze długo pozostał kawalerem. Dzięki temu jej pozycja jako hrabiny Ryeburn nie byłaby zagrożona.

- Ja także o tym ostatnio pomyślałem.

Filizanka zachwiała się niebezpiecznie. Vanessa omal nie wypuściła jej z ręki.

- Słucham?

- Doszedłem do wniosku, że pora się ożenić. Zamierzam znaleźć narzeczoną przed końcem sezonu.

Macocha pobladła. Przełknęła ślinę tak głośno, że Trevor to usłyszał.

- Znalazłeś już odpowiednią kandydatkę?

- Nie, ale mam listę panien, z których każda byłaby wspaniałą hrabiną.

- No cóż, to zaskakująca nowina. - W głosie Vanessy nie było entuzjazmu. - Po ślubie przywieziesz zapewne swoją małżonkę do Concordii?

- Oczywiście. Przecież będzie hrabiną Ryeburn. - Trevor żałował, że nie potrafi być na tyle okrutny, by w dalszym ciągu torturować macochę. - Ale

zawsze znajdzie się tam miejsce dla ciebie i dla Lorane. To przecież jej dom, a więc także i twój, jak długo zechcesz.

- To bardzo miło z twojej strony. - Vanessa podniosła w końcu filiżankę do ust.

- Nie mógłbym przecież zostawić swej siostry bez dachu nad głową.

Vanessa zmrużyła oczy. Nie grzeszyła inteligencją, ale zachowywała przytomność umysłu, gdy w grę wchodziło jej własne bezpieczeństwo. Przed chwilą dowiedziała się, że swą pozycję może zawdzięczać jedynie córce. Odstawiła filiżankę na talerzyk.

- Na razie nie musimy się tym martwić. Nie podjąłeś przecież jeszcze żadnej decyzji. Kto wie, jak długo będziesz szukać narzeczonej? - Vanessa poprawiła fryzurę. - Tymczasem pomogę ci w przygotowaniach do maskarady. Został nam tylko tydzień. Miejmy nadzieję, że ta twoja pani Byrd poczyniła już niezbędne kroki. Potrzebne będą jakieś fundusze.

- Oczywiście. - W tym momencie Trevor zaczął żałować, że ojciec zapoczątkował tradycję wydawania co roku balu maskowego. Teraz wszyscy czekali na tę imprezę. W gruncie rzeczy było to jedyne dziedzictwo, które nie budziło ogromnej niechęci Trevora. Wiedział jednak aż za dobrze, że macocha potrafi wydać każdą sumę.

- Masz już jakiś pomysł na kostium? -Nie.

- Zostaw to mnie. - Vanessa klasnęła. - Znajdę ci wspaniałe przebranie.

Trevor zawahał się przez chwilę. Nie chciał wystąpić w żadnym dziwnym przebraniu, ale z drugiej strony wolałby nie zaprzętać sobie głowy kostiumem. A poza tym macocha bardzo by się ucieszyła, mogąc mu go wybrać. Postanowił wyświadczyć jej tę łaskę.

- Będę ci wdzięczny, Vanesso.

- Teraz ja ciebie poproszę o przysługę.

- Tak?

- Słyszałam, że w Londynie pojawiła się pewna dziewczyna. Nazywają ją Amerykańskim Słowikiem.

Hrabia uniósł brew.

- Nie dziw się tak. Nowiny docierają także do Bath. Wszyscy o niej mówią.

- Masz na myśli pannę Eden Grant. Vanessa machnęła ręką.

- Nie znam jej nazwiska, ale wszyscy mówią, że ma anielski głos. I każdy chciałby ją gościć na swoim przyjęciu. Proszę, byś zaprosił ją na maskaradę.

- Nie możesz mieć pewności, że zechce się zjawić.

- Oczywiście, że się zjawi. Nie przypominam sobie, byś miał kłopoty ze zdobywaniem względów kobiet. Chciałabym, żebyś się z nią zobaczył i zaprosił na nasze przyjęcie.

Nigdy przedtem nie czułem takiego obrzydzenia do swej macochy.

- Nie mam zamiaru uwodzić tej dziewczyny, by zapewnić ci sukces towarzyski.

Vanessa osłupiała.

- Wielkie nieba, wcale nie miałam tego na myśli. A poza tym przecież ona jest Amerykanką. Chciałabym jedynie usłyszeć jej śpiew. Proszę cię tylko o to, byś ją zaprosił.

- Ona nie przyjechała tu po to, by zapewniać tobie czy komukolwiek innemu porcję rozrywki. - Trevor nie miał pojęcia, dlaczego występuje w obronie panny Grant z taką gwałtownością. Zachwycał się jej śpiewem jak wszyscy inni. - Zwiedzała Europę. Anglia to ostatni etap jej podróży przed powrotem do Massachusetts.

- Już ją poznałeś? Dlaczego mi o tym nie powiedziałeś, zamiast protestować w ten sposób? Zmartwiłeś mnie. - Vanessa wypła łyk herbaty. - Maskarada będzie wydarzeniem sezonu.

- Zaproszę ją, ale nie mogę ci zagwarantować, że przyjdzie.

- Bzdura. Jak mogłaby odrzucić zaproszenie hrabiego? Jest w końcu Amerykanką.

Trevor postanowił zakończyć spór.

- Powiedziałem już, że ją zaproszę. A teraz bardzo cię przepraszam, ale mam dużo pracy. - Zostawił macochę w salonie i udał się do gabinetu.

Zaprosić Eden do Concordii? Panna Grant znajdzie się wówczas pod jego dachem i pod jego opieką. Weekend w jej towarzystwie byłby próbą dla jego umiejętności panowania nad sobą. Ryeburn obawiał się, że nie zdoła oprzeć się pokusie.

Usiadł za biurkiem i wyjął kartkę z papeterii. Trzymał pióro w ręku i nie mógł się zmusić do zanurzenia końcówki w kałamarzu.

Tchórz.

Nabrał trochę atramentu i napisał zaproszenie. Potem złożył arkusik i włożył go do koperty. Zalakowaną kopertę zostawił na tacy dla Fincha.

Przed powrotem do gabinetu nalał sobie trochę brandy. Przełknął bursztynowy płyn, czując, jak pali go w gardle. Nie powinien się niczego obawiać. Nie zostanie z nią przecież sam na sam. Pani Roberts zadba o to, by panna Grant zachowywała się należycie. Ponadto będzie jej towarzyszyć panna Baylor. Chociaż ta młoda dama będzie najprawdopodobniej zbyt zajęta Toddingtonem, by zwracać uwagę na przyjaciółkę. Tak czy inaczej w domu będzie mnóstwo gości. Nigdy nie znajdzie się z nią sam na sam.

Dlaczego więc myśl o maskaradzie aż tak go przeraża?

Trevor spochmurniał. Eden Grant nie ma nad nim żadnej władzy. Wyszperał z szuflady swoją listę. Na balu maskowym będzie kilka kandydatek. Właśnie na nich trzeba się skoncentrować. To nieważne, że żadna z nich nie ma tak roziskrzonych oczu jak Eden, nie mówi tak jak ona i nie pasuje tak idealnie do jego objęć. Wszystkie są szlachetnie urodzone, dystyngowane i nienagannie wychowane.

Czy on wybiera żonę czy ogara?

Podrapał się w czoło. Pora się wreszcie opanować. Jego plany nie uległy żadnej zmianie. Przed końcem sezonu znajdzie sobie żonę, kobietę, której nie będzie można zarzucić i która nie splami jego nazwiska. I nie musi wcale śpiewać jak anioł.

Odchylił się do tyłu i zamknął oczy. W jego wyobraźni natychmiast pojawiły się te zdumiewająco błękitne oczy. Odrobina wysiłku wystarczyła, by przypomniawszy sobie brzoskwiniowy smak ust Eden. Krew zaczęła szybciej krążyć w jego żyłach. Nie uda mu się znaleźć odpowiedniej hrabiny, jeśli nie przestanie wreszcie myśleć o Eden Grant.

Nie powinien jej zapraszać. To bardzo proste. Gdyby nie prośba macochy, wcale by nie napisał tego zaproszenia. Obecność Amerykanki tylko odwróci jego uwagę od tego, co najważniejsze. Ryeburn wypił jeszcze trochę brandy i wstał. Zdecydowanym krokiem ruszył do holu.

Taca była pusta.

Eden otworzyła ostatnią kopertę, która nadeszła znacznie później niż pozostałe. Wyjęła arkusik i zerknęła na podpis. List od Ryeburna. Serce zabiło jej mocniej. Lord zapraszał je na bal maskowy, który organizował w swej wiejskiej rezydencji.

Eden przycisnęła list do piersi. Obróciła się radośnie dokoła własnej osi, rozkładając ramiona.

Zatrzymała się tak nagle, że omal nie upadła.

On przecież nie zaprosił jej dlatego, że mu na niej zależy, ale ze względu na lorda Toddingtona i Lily.

Radość natychmiast z niej wyparowała. Czemu martwi się tym, jakie uczucia żywi względem niej lord Ryeburn? Przeczytała list raz jeszcze. Znalazła w nim tylko suche frazesy i żadnych oznak przyjaźni. Najprawdopodobniej hrabia także oczekuje, że Eden zaśpiewa.

Wybiorą się tam, oczywiście, ze względu na Lily, ale ona będzie unikać lorda. Z pewnością przyjedzie mnóstwo gości. Bez trudu da się go ignorować.

Eden nie mogła jednak o nim zapomnieć. Wciąż powracało wspomnienie pocałunku w ogrodzie. Wkradało się w jej myśli za dnia i wślizgiwało się w jej sny. I za każdym razem krew napływała jej do twarzy. Nieprzyjemna wymiana zdań, która nastąpiła po pocałunku, nie umniejszyła mocy jego oddziaływania. Jej pierwszy pocałunek.

Przycisnęła palce do ust, starając się wyobrazić sobie inny pocałunek, w nadziei, że w ten sposób odwróci swe myśli od Ryeburna.

- Panno Grant, co pani robi? - zapytała pani Roberts. Eden obróciła się dokoła własnej osi. Spłonęła rumieńcem, nie mogąc wydusić z siebie ani słowa.

- Ja... ja... - Wyciągnęła rękę z listem w stronę opiekunki. - Kolejne zaproszenie.

- Od kogo? - Pani Roberts umieściła binokle na czubku nosa.

- Od hrabiego Ryeburna. Zaprasza nas na bal maskowy, który wydaje w swojej wiejskiej posiadłości w następny weekend.

- Cóż za wspaniały pomysł. Nie mamy żadnych planów, chyba że przyjęła już pani inne zaproszenie.

- Nie. Z przyjemnością wybiorę się na maskaradę.

- Świetnie. Poślemy więc potwierdzenie. Może będzie tam także ten uroczy pan Sterling. - Pani Roberts uśmiechnęła się do swej podopiecznej.

Wszystkie swe nadzieje miała niemal wypisane na czole.

- Najprawdopodobniej.

- To syn hrabiego, a przy tym jest całkiem przystojny. Sterling?

Przystojny? Eden pomyślała, że w porównaniu z Ryeburnem Sterling wygląda jak wypłowiała łasica. Westchnęła ciężko. I po cóż porównywać tych panów? Jeden z nich nie zwraca na nią uwagi, z drugim zaś ona nie chciałaby mieć nic wspólnego.

- Powinnyście chyba omówić kostiumy. Byłoby zabawnie, gdybyście wystąpiły jako para.

- Dobrze, pani Roberts. - Eden nie mogła już dłużej pozorować entuzjazmu. Może powinna jednak zmienić zdanie i odrzucić zaproszenie...

Nie, Lily nigdy by jej tego nie wybaczyła, a ona nie chciała sprawić przykrości przyjaciółce.

Ze zrezygnowaną miną ruszyła, by porozmawiać z panną Baylor.

## 11

Notatka w gazecie była niewielka, ale i tak zirytowała Eden.

Szczęśliwcy, którzy mieli okazję słuchać śpiewu Amerykańskiego Słowika na balu u markiza i markizy Heathsbury, Z pewnością nigdy nie zapomną tego wieczoru. Wszyscy się zastanawiają, gdzie się pojawi ta młoda dama następnym razem. Gospodini wieczoru, który zostanie w ten sposób uświetniony, ma zapewniony sukces towarzyski.

Pseudonim. Anglicy wymyślili dla niej pseudonim. Dobrze, że jej nazwisko nie pojawiło się w gazecie. Choć i tak trzeba się pożegnać z nadzieją na anonimowość.

Eden odłożyła gazetę. Pozostało jej tylko liczyć na to, że notatkę przeczyta zaledwie parę osób. Sięgnęła do kieszeni, by na wszelki wypadek dotknąć monety, przypominając sobie w ostatniej chwili, że już jej tam nie ma. To tłumaczy całą tę historię z „Amerykańskim Słowikiem”. Od kiedy nie nosi przy sobie talizmanu, prześladowuje ją prawdziwy pech.

Całe szczęście, że nie da się zabrać pianina na piknik, bo w przeciwnym razie musiałaby śpiewać nawet dziś.

Spojrzała na stos zaproszeń. Przez tę notatkę w gazecie będzie ich jeszcze więcej. Niemożliwe, by znała tych wszystkich ludzi. Najprawdopodobniej większość z nich zaprasza ją, choć jej nigdy nie widziała. Jedna, szczególnie ozdobna koperta wywołała uśmiech na jej twarzy. Na jedno przyjęcie pójdzie z przyjemnością. Przypadła do gustu księciu Welkesowi i sama polubiła tego ekscentrycznego człowieka.

Ale co do reszty... Wyciągnęła jakiś arkusik na chybił trafił. Przyjęła już zaproszenie na bal maskowy u lorda Ryeburna, miała więc dobry pretekst, by odrzucić parę propozycji. Napisała kilka odmownych odpowiedzi bez wyrzutów sumienia. W ten sposób wyeliminowała pięć kopert.

Nie mogła zadowolić wszystkich, jeśli nie chciała umrzeć z wyczerpania. Poukładała koperty według dat. Najpierw odrzuciła zaproszenia na bale, które organizowano następnego dnia po innych balach. Nie można przecież bez przerwy tańczyć. Na biurku wciąż jednak leżało za dużo kopert.

Przed najbliższym weekendem mogli pójść na co najwyżej dwa spotkania towarzyskie. Eden spojrzała na cztery zaproszenia. Jeszcze jeden bal i popołudniowa herbatka. Może być. Jeśli dopisze im szczęście, Lily znów spotka swego lorda Toddingtona. Eden skreśliła dwa liściki z uprzejmą odmową i dwa z podziękowaniami.

Nie miała czasu, by odpowiedzieć na wszystkie zaproszenia. Zerknęła na zegar stojący na kominku. Ryeburn miał zjawić się za kwadrans. Lily wciąż przebywała w swej garderobie, nie mogąc się zdecydować, co włożyć. Eden straciła do niej cierpliwość jakieś pół godziny wcześniej.

Sama ubrała się w jasną, żółtą suknię. Wyrazistym kolorem chciała zwrócić na siebie uwagę, choć z drugiej strony ten strój doskonale się nadawał na piknik. W gruncie rzeczy żałowała, że się zgodziła na tę wycieczkę. Lily myślała tylko o Toddingtonie, a pani Roberts nie przestawała przekonywać Eden, jak świetną partię zrobi, jeśli uda jej się oczarować pana Sterlinga. Eden prychnęła z obrzydzeniem.

Właśnie w tym momencie pani Roberts weszła do pokoju.

- Mam nadzieję, że nie zamierza pani wydawać tego rodzaju dźwięków podczas pikniku.

- Nie, madam.

- Czy odpowiedziała pani na wszystkie zaproszenia?

- Jeszcze nie.

Pani Roberts cmoknęła z niezadowoleniem.

- Nie należy kazać ludziom zbyt długo czekać na odpowiedź.

- To prawda, ale mam tyle listów do napisania. - Eden podała opiekunce dziewięć kopert.

- Przekażę to lokajowi. Tymczasem nadeszła kolejna porcja poczty. - Pani Roberts wręczyła jej trzy przesyłki.

- Naprawdę? - westchnęła Eden.

- Panno Grant, większość dziewcząt byłaby zachwycona, dostając tyle zaproszeń. - Opiekunka pokręciła głową.

Większość dziewcząt nie musi dawać występów w zamian za zaproszenia.

- Tak, pani Roberts.

W istocie martwiła ją nie tyle liczba zaproszeń, co fakt, że otrzymuje je tylko ze względu na swój śpiew. Ciekawe, ile zaproszeń by dostała, gdyby była zwyczajną panną Grant. Na ilu balach by tańczyła, gdyby nie miała talentu.

Na żadnym.

Rozmyślenia te wprowadziły ją w jeszcze gorszy nastrój. Pragnęła, by ktoś zwrócił na nią uwagę, nie myśląc o jej głosie.

Do pokoju wszedł lokaj.

- Zjawił się właśnie lord Ryeburn w towarzystwie lorda Toddingtona i pana Sterlinga.

- Dziękuję. Proszę ich wprowadzić. - Pani Roberts wygładziła spódnicę.

Ryeburn uklonił się, wchodząc do salonu.

- Moje powozy już czekają, szanowne panie. Czy jesteśmy gotowi?

- Pójdę po Lily. - Eden w pośpiechu opuściła pokój, nie chcąc, by wyraz jej twarzy zdradził chaos panujący w jej myślach.

Pobiegła na górę, do pokoju przyjaciółki. Zastała ją w samej bieliźnie.

- Lily, panowie już się zjawili. Czekają na nas.

- Ja zostaję. Nie mam co na siebie włożyć. - Wokół dziewczyny leżała sterta kolorowych ubrań.

- Nie bądź niemądra. - Eden pochyliła się i podniosła jedną suknię. - Co ci w niej nie odpowiada?

- Jest zbyt niebieska.

Zbyt niebieska. Eden była w stanie zrozumieć to zastrzeżenie. Podniosła więc kolejną.

- Włóż to.

- Nie. Ta jest za lekka.

Eden skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Jeśli natychmiast czegoś na siebie nie włożysz, ściągnę cię na dół w tym, co masz na sobie. Przysięgam, że to zrobię.

- Wcale w to nie wątpię - mruknęła Lily, marszcząc czoło. Wybrała jasnozieloną suknię. - Trudno, to musi wystarczyć. - Wciągnęła suknię przez głowę.

- To pierwsza suknia, którą przymierzałaś. Pomyśl tylko, ile czasu zaoszczędziłybyśmy, gdybyś od razu się zdecydowała.

- Ale czy sądzisz...

- Jak najbardziej. Idziemy. - Eden uniosła nieco spódnicę przyjaciółki. - Pantofle.

Lily posłusznie włożyła pantofle.

- Dobrze. Chodźmy już. - Eden chwyciła Lily za rękę.

- Moje włosy.

- Wyglądają bardzo dobrze. Fryzura się trzyma... prawie.

- Eden!

- Zaufaj mi. Wyglądasz czarująco. - Eden pociągnęła przyjaciółkę za sobą.

- Nie znoszę, gdy to mówisz.

Dzientelmeni wstali, gdy dziewczęta weszły do pokoju. Toddington zarumienił się na widok Lily.

- Dzień dobry, panno Baylor.

- Dzień dobry, lordzie Toddington. - Twarz Lily także spłonęła rumieńcem.

Eden wzniosła oczy do nieba.

- Dokąd jedziemy?

Ryeburn uśmiechnął się krzywo.

- Pojedziemy wzdłuż londyńskiego muru do Tower. To najprawdopodobniej najpiękniejsze rzymskie ruiny w mieście.

- Najpiękniejsze ruiny są poza Londynem - oświadczył Sterling. - Chętnie bym je pani pokazał, panno Grant.

- To bardzo miła propozycja, ale to mój ojciec pasjonuje się antykiem, a nie ja. Obiecałam mu tylko, że postaram się odwiedzić rzymskie ruiny w każdym mieście, by się przekonać, dlaczego on tak bardzo ceni Rzymian.

- Możemy już ruszać? - Hrabia podał ramię Eden. Całe towarzystwo poszło w stronę powozów. Ryeburn pomógł wsiąść Eden. Toddington podał dłoń Lily. Nozdrza Sterlinga poruszyły się nieznacznie, ale na jego twarzy nie widać było oznak gniewu, gdy prowadził panią Roberts do dwukółki. Nawet nie spojrzął w stronę bryczki.

Eden siedziała na tylnej ławce w otwartym powozie. W ciepłym, wiosennym powietrzu unosił się dziwny zapach. Eden uznała, że to najwyraźniej cecha Londynu, ale i tak bardzo się cieszyła, czując powiew wiatru na policzkach.

Gdy mijali londyński mur, Ryeburn pokazał jej pozostałości oryginalnej rzymskiej fortecy. Wyglądało to jak sterta kamieni. Eden pomyślała z szacunkiem o tym, że te kamienie przetrwały półtora tysiąca lat, ale ich widok jej nie poruszył.

Wybrała się na tę wycieczkę tylko ze względu na ojca.

Jednak twierdza Tower wzbudziła jej zainteresowanie. Najpierw obejrzeni rzymską część fortecy, potem Ryeburn pokazał im klejnoty koronacyjne. Regalia lśniły niezwykłym blaskiem nawet w dość mrocznym wnętrzu. Eden

przyglądała się tym skarbowi z nabożnym podziwem, doszła jednak do wniosku, że rozbolałaby ją głowa, gdyby musiała nosić którąś z tych koron.

Potem pojechali za miasto na piknik. Lokaj Ryeburna znalazł ustronne i zacienione miejsce nad strumykiem. Rozłożył koce i przyniósł kosze z jedzeniem. Zapowiadała się wspaniała uczta - pasztety, pieczeń na zimno, drób, kandyzowane wiśnie, tarta malinowa oraz szampan. Pod koniec posiłku pani Roberts z trudem powstrzymywała ziewanie. Wreszcie oparła się o drzewo i do uszu towarzystwa dotarło pochrapywanie.

Trevor wciąż przyłapywał się na tym, że zerka na Eden. Jej naturalny wdzięk doskonale harmonizował z dziką urodą lasu. W pewnej chwili wydało mu się, że panna Grant za chwilę zatańczy na wodzie, objawiając naturę nimfy, a potem rozplynie się w magicznej mgle.

Niewiele brakowało, a prychnąłby z niesmakiem.

Znowu to samo. Znowu przez nią puszczał wodze fantazji. Nie podobało mu się, to. Jeśli Eden Grant w taki sposób wpływa na niego, to trudno sobie nawet wyobrazić, jaki chaos mogłaby wprowadzić w myśli kogoś słabszego. Nic dziwnego, że pani Roberts ma kłopoty z kontrolowaniem swojej podopiecznej.

Spojrzał na śpiącą opiekunkę.

- Czy ona zawsze tak pilnie was strzeże?

- Tylko wówczas, gdy jej żołądek jest pełen pysznego jedzenia - wyjaśniła Eden.

- Traktuję to jako komplement pod adresem kucharza. -

Ryeburn wyjął kolejną butelkę szampana i znów nappełnił kieliszek panny Grant.

- Wystarczy. Jeśli wypiję za dużo, nie będę w stanie śpiewać dziś wieczorem.

- A gdzie zamierza pani dzisiaj wystąpić? Eden zawahała się przez chwilę.

- U hrabiny... Jak ona się nazywa?

- Thornley? - rzucił Trevor.

- Nie. Jakoś inaczej. Hrabina... Featherstone. Zaprosiła nas na bal, który wydaje dziś wieczorem.

Informacja ta zainteresowała Ryeburna. Może powinien skorygować swoje plany na dzisiejszy wieczór. Jeśli ona się wybiera do Featherstone'ów, to mógłby tam pójść, by ją zobaczyć...

Wielkie nieba, cóż to za pomysły? Przecież wcale nie chce się z nią widywać. No, może niezupełnie tak. Chciałby się z nią widywać, ale wie, że nie powinien. Toddington najprawdopodobniej pójdzie na ten bal, ale on wybierze się do Thornleyów.

Gdy tak rozmyślał na temat swych wieczornych planów, Sterling przysunął się do Eden. Ryeburn. Hrabia starał się powściągnąć irytację, która go ogarnęła.

- W takim razie znów będę mógł posłuchać pani śpiewu, ponieważ wybieram się na ten sam bal. - Sterling poprawił sobie fular.

Trevor miał ochotę zacisnąć ten przeklęty fular na jego szyi. Sprytna bestia. Wykorzystuje każdą okazję, by wkraść się w łaski Amerykanki.

- Dlaczego pani sądzi, że dziś wieczorem także będzie śpiewać?

Eden spojrzała na niego.

- A dlaczego, pana zdaniem, hrabina mnie zaprosiła? Słowa dziewczyny zaskoczyły Trevora. W jej głosie nie było gorzkości, ale w oczach czaił się smutek. Poczł wyrzuty sumienia. Czyż nie zaprosił jej na maskaradę tylko dlatego, że macocha chciała usłyszeć jej śpiew?

- Mogę panią zapewnić, że gdy ja panią zaproszę, to nie zrobię tego ze względu na pani talent. - Sterling pochylił głowę z szacunkiem.

- A dokąd zamierzasz zaprosić pannę Grant, Sterling? - Trevor nie mógł się powstrzymać od tej uwagi.

Sterling poczerwieniał.

- Ja... to tylko...

- Panowie, wołałabym, żebyśmy nie rozmawiali na temat zaproszeń czy przyjęć. Mam z tym dość kłopotów. Chciałabym spędzić miły dzień.

- Może wybralibyśmy się na przechadzkę? - zaproponował Sterling.

- Świetny pomysł. Panno Baylor, ma pani ochotę się przejść? -

Toddington wstał i podał rękę Lily.

-Jak mielibyśmy to zrobić, nie narażając na szwank reputacji dam, skoro ich opiekunka zasnęła? - Hrabia wskazał dłonią pochrapującą kobietę.

- Obudź ją, Ryeburn. Pani Roberts może pójść z tobą. -Sterling wyciągnął ramię. - Panno Grant?

Trevor patrzył, jak Eden wstaje i kładzie dłoń na ramieniu Sterlinga. Jeśli ten człowiek sądzi, że on nie obudzi starszej pani, to bardzo się myli. Ryeburn ruszył w stronę pani Roberts.

- Madam?

Pani Roberts nawet nie drgnęła.

Trevor podniósł głos i potrząsnął śpiącą za ramię.

- Madam?

- Co... Słucham? - Kobieta zamrugła powiekami i usiadła. Trevor odskoczył, gdy zajrzała mu w twarz.

- Madam, zastanawiałem się, czy nie ma pani ochoty wybrać się z nami na przechadzkę do lasu. Damy wołałyby się nie ruszać bez opieki.

- To bardzo dobrze. - Pani Roberts wstała i otrzepała spódnicę. - Nie sądzi pan chyba, że pozwoliłabym im zachować się w sposób budzący jakiegokolwiek wątpliwości.

- Nawet mi się o tym nie śniło. - Ryeburn podał jej ramię. - Idziemy?

Pani Roberts zachichotała jak pensjonarka, co przeraziło bezgranicznie jej towarzysza.

- Dziękuję panu, lordzie Ryeburn. A gdzie oni się podziali?

Trevor przełknął przekleństwo. Sterling i Toddington zniknęli już w głębi lasu. - Obawiam się, że ruszyli bez nas. Musimy się pospieszyć, jeśli chcemy ich dogonić.

- Za wszelką cenę. - Guwernantka pociągnęła go za ramię. - Nie mogę pozwolić, by spacerowały beze mnie. To byłoby niestosowne.

Dostrzegli obie pary zaraz za zakrętem. Pani Roberts zwolniła. Najwyraźniej poczuła, że w ten sposób spełnia swój obowiązek. Hrabia szedł w jej tempie, kryjąc zniecierpliwienie. Znajdowali się w zbyt dużej odległości od reszty, by mógł odzyskać spokój ducha.

Gdy tak spacerowali po chłodnym lesie, zupełnie nie zwracał uwagi na swą towarzyszkę. Nie spuszczał natomiast oka z dwóch głów, które widział przed sobą. Sterling pochylał się, by szepnąć coś do Eden, a ona często śmiała się w odpowiedzi. Dźwięk tego śmiechu działał na Trevora jak strumień zimnej wody. Jeszcze bardziej denerwowało go to, że w ogóle się gniewa. To nie jest odpowiednia kobieta dla niego, ale za żadne skarby nie chciałby, żeby jej względy zdobył Sterling.

- Pańska uprzejmość mnie wręcz zawstydzła. - Pani Roberts poklepała go po ramieniu.

Ryeburn uzmysłowił sobie, że jego towarzyszka mówiła coś przez cały czas.

- Cała przyjemność po mojej stronie, madam.

- Muszę napisać o tym do rodziców panny Grant. Ogarnęła go panika. Serce zabiło mu szybciej. Na co

się właściwie zgodził przed chwilą?

- Bardzo się ucieszę na wieść, że jest pan tak miły dla ich córki. Jestem przekonana, że zechcą osobiście panu podziękować.

Trevor przestraszył się nie na żarty.

- To niepotrzebne. Bawię się równie dobrze, jak młode damy.

- Grantowie to niezwykła rodzina. Oni się bardzo kochają.

To zupełnie inaczej niż w jego własnej rodzinie.

- Czy panna Grant chce już wracać do domu?

- Jestem pewna, że bardzo tęskni za rodzicami, ale nie wiem, czy myśli o powrocie. - Pani Roberts ściszyła głos, jakby dopuszczała go do jakiejś tajemnicy. - Ona bardzo się różni od innych panien. Odrzuciła już oświadczyńny kilku kandydatów.

Trevor zaczął analizować te informacje. Pamiętając pocałunek Eden domyślał się, że odrzucała małżeńskie oferty nie dlatego, że nie była zdolna do namiętności. Twierdziła też, że to był jej pierwszy pocałunek. Jak pogodzić ze sobą te fakty? Kilkukrotne oświadczyńny i żadnego pocałunku? Eden Grant wydawała mu się coraz bardziej intrygująca.

Znów usłyszał jej śmiech. Zacisnął zęby. Gdyby nie fakt, że pomimo sympatii, jaką odczuwał wobec tej dziewczyny, nigdy w życiu nie chciałby, żeby została jego żoną, mógłby przysiąc, że targa nim zazdrość.

Przyspieszył kroku, nie zważając na pełne zdziwienia spojrzenia, którymi obrzucała go pani Roberts. Wkrótce usłyszy, o czym Sterling rozmawia z panną Grant.

- Proszę pamiętać, że obiecała mi pani pierwszy taniec.

- Nie zapomnę, panie Sterling - uśmiechnęła się Eden. Trevor zapalał gniewem.

- Może dziś wieczorem uda nam się porozmawiać bez świadków. - Sterling uścisnął ramię dziewczyny.

- Bez świadków? Na balu? Nie sądzę, by to było możliwe. - Eden siliła się na lekkość tonu. A może Trevorowi tak się tylko wydawało.

- Kto wie? Nie należy tracić nadziei.

W Ryeburnie wszystko się zagotowało, gdy usłyszał służalczy ton Sterlinga.

- Lordzie Ryeburn, czy coś panu dolega? - Pani Roberts przyglądała się badawczo jego twarzy.

- Obawiam się, że coś mi zaszkodziło.

- Ojej! - Pani Roberts machnęła ręką i krzyknęła: - Musimy wracać. Lord Ryeburn jest chory.

Trevor nie zaprzeczył. To chyba najlepszy sposób, by Sterling odczepił się od panny Grant.

Wszyscy pospieszyli z powrotem do powozów. Panie nie kryły troski o jego zdrowie, a Trevor cieszył się z takiego obrotu rzeczy. Sterling musiał zająć swoje miejsce w dwukółce, podczas gdy on siedział koło Eden. Miał wyrzuty sumienia z powodu wybiegu, jaki zastosował, ale jedno spojrzenie na kamienną twarz Sterlina siedzącego koło pani Roberts natychmiast rozwiało wszystkie wątpliwości.

Radość z tego, że udało mu się popsuć szyki tamtemu, nie trwała długo. Ten człowiek będzie przecież dziś na balu u Featherstone'ów. Trevor skrzywił się. A na dodatek on sam zaprosił go na maskaradę. Dwa dni w towarzystwie Eden. W Concordii, z dala od sztywnych londyńskich konwenansów, Sterling będzie miał mnóstwo okazji, by zalecać się do Eden. Trevor nie miał zamiaru mu w tym pomagać.

Przez cały czas nękała go myśl, że panna Grant może zmienić zdanie i spojrzeć przychylnym okiem na Sterlinga. Czy wolno mu stawać na jej drodze do szczęścia?

Szczęście u boku Sterlina? To niemożliwe.

Sumienie przestało go gryźć, nim dojechali do Grosvenor Square. Dziś wieczorem, na balu, nie pozwoli, by Sterling znalazł się na osobności z panną Grant i wymusił na niej cokolwiek.

Spokój, który udało mu się odzyskać, pierzchnął natychmiast, gdy uświadomił sobie, że całkiem bezwiednie podjął właśnie decyzję, że pojedzie na bal do Featherstone'ów.

## 12

Po balu u Featherstone'ów Trevora ogarnął niepokój, jakiego nie zaznał nigdy przedtem. Udało mu się wprawdzie osiągnąć to, że Sterling nie zawłaszczył panny Grant całkowicie, ale nie zdołał uniemożliwić innym kawalerom kontaktów z nią. Ich wdzięk i głupie miny raziły go tak samo jak zabiegi Sterlinga. Następnego dnia wyjechał do Concordii, by odzyskać równowagę.

Przygotowania do balu dobiegały końca. Ryeburn stanął przed lustrem i poprawił kostium. Gdy pociągnął za toczę, z głowy zsunął mu się wieniec. Pochylił się z wyrazem niesmaku na twarzy i podniósł kompromitujący rekwizyt. Dlaczego zgodził się, by Vanessa wybrała mu przebranie? Nie mógł patrzeć na toczę, laurowy wieniec, łuk i lirę, którą musiał trzymać na ramieniu. Maską w kształcie słońca, którą miał na twarzy, zniekształcała wprawdzie rysy, ale i tak zdradzała jego tożsamość. Tylko idiota nie rozpoznałby go w kostiumie Apolla.

Concordia przeżywała istne oblężenie. Służba była jednak doskonale przygotowana do maskarady. W każdym pokoju ulokowano jednego lub dwóch gości. W dniu przyjazdu po lekkiej kolacji goście udali się na spoczynek. Następnego dnia po śniadaniu mieli czas wolny - na czytanie lub przechadzki po ogrodzie. Dla zainteresowanych Trevor urządził wycieczkę do ruin opactwa.

Nic nie mąciło nastroju zabawy i atmosfery oczekiwania.

Siostra hrabiego, Lorane zamknęła się w pokoju dziecięcym i nie wychodziła stamtąd. Trevor czasem się zastanawiał, skąd u niej takie upodobanie do samotności, cieszył się jednak, że nie przysparza mu tylu kłopotów, co jej matka.

Vanessa krytykowała bowiem wszystko. Trevor chodził jej śladem przez dwa dni, starając się pocieszyć zruganych służących. Zachowanie macochy

utwierdziło go w przekonaniu, że musi się czym prędzej ożenić. Nie mógł pozwolić, by Vanessa tyranizowała służbę. Potrzebował żony.

Wciąż dużo myślał o Eden. Przyzwyczał się już do jej obecności w swoich myślach i do tego, że notorycznie zakłócała jego poszukiwania żony. Nie rozmawiał z nią od balu u Featherstone'ów. Wiedział, że już przyjechała do Concordii, świadomie jej jednak unikał. Zauważył natomiast, że goście tłoczyli się wokół niej, gdy tylko się gdzieś pojawiała. Sterling nie odstępował jej nawet na krok.

Hrabia poprawił wieniec laurowy i po raz ostatni przejrzał się w lustrze. Odwrócił się od swego odbicia, kręcąc głową. Tylko Vanessa mogła wpaść na pomysł, by przebrać bruneta za boga słońca.

Usłyszał, że orkiestra zaczęła już grać. Musi się pospieszyć. Jako gospodarz powinien już być na dole. Przerzucił końcówkę togi przez ramię i wyszedł z pokoju.

Goście przychodzili grupami i wkrótce sala balowa wypełniła się przedziwnymi postaciami w kolorowych kostiumach. Trevor rozejrzał się dokoła. Wszystko wskazywało na to, że tegoroczna maskarada też będzie wielkim sukcesem towarzyskim.

Na ścianach udrapowano złote tkaniny, z kandelabrow zwisały złote łańcuchy. Trevor nie bardzo rozumiał, jaki efekt chciała osiągnąć Vanessa dzięki takiej dekoracji. W kątach stały doniczkowe drzewka pomarańczowe, a pośród ich zielonych liści wisiały dojrzałe i pachnące owoce. Na licznych postumentach rozstawiono srebrne kandelabry. Orkiestra została ukryta za zasłoną z palm. Trevor pomyślał, że w tej sytuacji oranżeria musi być zupełnie pusta. Niemniej efekt ogólny był niemal magiczny. Jakby muzyka płynęła z jakiegoś sekretnego źródła. Ryeburn musiał przyznać, że Vanessie udało się stworzyć przyjemny nastrój.

Zaczął przechadzać się wśród gości. Tylko niektórzy mieli odsłonięte oblicza, ale nie miał żadnych problemów z rozpoznaniem twarzy skrytych za

maskami. Krążył między pawiami, łabędziami, królami i księżniczkami, wrózkami i elfami. Poczucie anonimowości sprawiało, że na sali panowała większa wesołość niż zazwyczaj. Trevor zastanawiał się, czy wszyscy zdobyliby się na taką śmiałość, gdyby wiedzieli, że ich tożsamość nie jest aż tak wielką tajemnicą.

Poszukał wzrokiem Vanessy. Jej kostium był jak zwykle przesadny. Miała na sobie długą, jasną perukę i opończę cielistej barwy. We włosy wpięła kwiaty, chodziła bosą. Przebrana za lady Godivę, przyciągała uwagę gości i o to jej właśnie chodziło. Hrabia uśmiechnął się pod wąsem. Mina jej zrzędnie po występie Eden. Nikt nie będzie zwracał uwagi na starzejącą się wdowę, gdy piękna, młoda dziewczyna podbije serca wszystkich gości swym śpiewem.

Trevor St. John zmarszczył brwi. Do tej pory nie zauważył nigdzie Amerykanki. Za kogo się przebrała? Rozglądał się po sali, szukając jej jasnych włosów. Spozstrzegł tylko Toddingtona przebranego za Wikinga. Obok niego stała pasterka. Panna Baylor, oczywiście. Wyglądała uroczo w ludowej spódnicy, bluzce i czepku. Brakowało jej tylko owieczki.

Jeśli panna Baylor jest pasterką, to Eden jest zapewne owieczką. Trevor raz jeszcze rozejrzył się dokoła. Nie zauważył żadnej owieczki. Wypatrzył konia i słonia, ale żadnej owcy.

Na parkiecie pojawiła się jakaś zjawiskowa postać, w zielonej sukni z brązowymi akcentami na dole. Faktura tkaniny i wytłoczony na niej wzór kojarzyły się z gęstwiną liści. Długie brązowe rękawiczki oraz gałązki tworzące coś w rodzaju wieńca na głowie były także ozdobione listkami. Zza maski o wzorze zielonego domino spoglądały zadziwiająco błękitne oczy.

Eden.

Trevor oniemiał ze zdziwienia. To niemożliwe. Ich stroje staną się bez wątplenia pretekstem do plotek. Apollo i Dafne - leśna nimfa, która odtrącała zaloty boga, zamieniając się w drzewo. Czy w tej sytuacji ktokolwiek uwierzy, że on nie jest nią wcale zainteresowany?

Panna Grant obróciła się. Gdy go spostrzegła, zatrzymała się na moment. Wyraziste oczy dziewczyny zdradziły, że przez jej głowę przemknęły podobne myśli. Skrzywiła się, próbowała go zignorować, ale zmieniła zamiar i po chwili do niego podeszła.

- Dlaczego mnie pan nie uprzedził? - W jej głosie była nuta oskarżenia.

- To Vanessa wymyśliła ten kostium. Zobaczyłem go dopiero dziś wieczorem. Dlaczego nie jest pani owieczką panny Baylor?

- Wyobraża pan sobie mnie pod postacią potulnej owieczki? - Eden skrzyżowała ramiona na piersiach.

Ryeburn zachichotał.

- Nie. Prędzej jako wilka w przebraniu owcy. Eden zrobiła niezadowoloną minę.

- Dziękuję panu za to zabawne porównanie.

- Nie chciałem pani urazić.

- Owszem, chciał pan, jak zwykle zresztą.

- A jednak wciąż pani ze mną rozmawia. I chyba nie obraziła się pani.

- Gdyby porównanie nie było takie prawdziwe, to pewnie bym się obraziła. - Zaśmiała się ze smutkiem i spojrzała na niego oczami, które były jeszcze bardziej niebieskie niż zwykle na tle zielonej maski.

Trevor nie mógł oderwać od niej wzroku. Ta dziewczyna go zaczarowała. Urzekła go jej szczerść. Nie pochwalał wprawdzie jej zachowania, ale musiał przyznać, że nigdy nie kłamała. Pokręcił głową.

- Dlaczego wybrała pani strój Dafne?

- Chyba nie musi pan o to pytać.

- O ile dobrze rozumiem, dlatego że ceni pani sobie swą wolność i nie chce się związywać.

- Trudno powiedzieć, że brak panu spostrzegawczości. To co teraz zrobimy?

- Nic. Wygląda pani czarująco. Ale może dziś wieczorem powinniśmy raczej trzymać się od siebie z daleka.

W jej oczach mignęło coś dziwnego. Czyżby ją zranił?

- Ma pan rację. - Eden uniosła brodę wysoko. - Nie sądzę, bym miała z tym jakiegokolwiek kłopoty. Nie brak chyba osób, które ucieszą się z mego towarzystwa. - Obróciła się i odeszła.

- Panno Grant... - zaczął Trevor. Nie obróciła się do niego, ale przystanąła. Ryeburn umilkł, a ona ruszyła dalej.

Do diaska! Poczul dziwną pustkę w sercu. Z całej duszy pragnął pobiec za nią, ale zdołał się jakoś powstrzymać. Postąpił przecież ze wszech miar słusznie, chroniąc siebie i swoje dobre imię. Czyż sama tego nie przyznała przed chwilą?

Tylko dlaczego nie może przestać o niej myśleć?

Trzeba natychmiast się czymś zająć. Szukaniem odpowiedniej kandydatki na hrabinę. Następną na jego liście była Angelica Breensbury. Trevor dostrzegł ją w przebraniu wróżki. Ruszył więc zdecydowanym krokiem, by sprawdzić, czy wróżka nadaje się na hrabinę.

Eden widziała, jak rozmawia z uroczą dziewczyną w baśniowym stroju. Próbowwała skupić się na rozmowie z panem Sterlingiem, ale jakoś jej to nie wychodziło. Kim jest ta dama? To pewnie jakaś dystyngowana, szlachetnie urodzona Angielka. Czy podoba się Ryeburnowi?

Gdy rozległy się pierwsze takty, hrabia ruszył do tańca ze swą wróżką. Płynęli po lśniącym parkiecie. Partnerka gospodarza była niewysoka, sięgała mu zaledwie do piersi. Miała ciemne włosy, podobnie jak on, i tańczyła tak, jakby przewidywała każdy jego ruch, jakby znalazła się na najwłaściwszym miejscu. Lily powiedziałyby, że to rezultat nienaganych manier. Eden uznała, że jest to przede wszystkim denerwujące. Zmarszczyła brwi.

- Nie chciałem pani obrazić. - Dziwne usprawiedliwienie Sterlinga wyrwało ją nagle z zamyślenia.

Próbowwała sobie przypomnieć, co właściwie on powiedział.

- Słucham?

- Mówiłem, że nie chciałem pani obrazić. Nie mogłaby pani wybrać kostiumu, który nawiązuje do jego stroju, gdyby nie wiedziała pani, co Ryeburn do niej czuje - powiedział Sterling z uśmiechem. - Obawiam się, że w pani towarzystwie wychodzi na jaw cała moja zazdrosna natura.

Eden nie potrafiła określić, które z tych twierdzeń wywołało u niej większą konsternację: prawda na temat tego, co o niej myśli Ryeburn, czy też deklaracja uczuć Sterlinga.

- Jest pani zaskoczona? Nie wątpię, że domyśliła się pani, jak bardzo mi na pani zależy.

Panna Grant ucieszyła się, że maska przesłania większą część jej twarzy.

- Zdaje się, że widzę Lily. Muszę koniecznie z nią porozmawiać.

Sterling chwycił ją za rękę, nim zdołała odejść. Pochylił się i ucałował jej dłoń.

- Proszę mi obiecać jeszcze jeden taniec, a puszczę panią do panny Baylor.

Rękawiczka nie uchroniła jej całkowicie przed dotykiem jego ust. Z trudem pokonując pragnienie, by natychmiast wyrwać mu dłoń, pokiwała głową.

- Jeden taniec. Ale później.

- Będę liczył sekundy, moja droga. - Sterling raz jeszcze ucałował jej dłoń, a potem pozwolił jej odejść.

Eden czmychnęła czym prędzej, jak mysz, którą kot zupełnie przypadkowo wypuścił ze swych łap. Weszła do toalety przeznaczonej dla dam, zdejmując po drodze rękawiczki. Szorowała dłonie tak długo, aż przestała czuć dotyk ust Sterlinga na swojej skórze. Wstrząsnęła się z obrzydzenia. Zdaniem pani Roberts ten człowiek był miły i przystojny. Dlaczego ona tego zupełnie nie widziała?

Dlatego że Sterling nie był Ryeburnem.

Eden poczuła chłód, gdy krew jej odpłynęła z policzków. Popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Ryeburn nic dla niej nie znaczy. Dlaczego miałoby być inaczej? Tylko dlatego, że był pierwszym mężczyzną, który ją pocałował...

A jej bardzo się podobał ten pocałunek...

Pokręciła głową. Bzdura. Hrabia budził jej zainteresowanie, ponieważ ciągle ją potępiał. Lubiła mu dokuczać, co wcale nie było takie trudne.

Żałowała, że nie ma z kim porozmawiać. Po Lily nie należało się spodziewać zbyt wiele. Przyjaciółka była zbyt zajęta swym lordem Toddingtonem. Pani Roberts dostałaby zapewne ataku apopleksji, gdyby podopieczna zwierzyła się jej ze swych problemów. Matka była daleko stąd. Nawet talizman szczęścia gdzieś przepadł.

Eden po raz pierwszy w życiu poczuła się samotna. Doświadczenie to niezwykle w życiu kogoś, kto ma bliźniaczego brata.

W sali balowej znów zagrała orkiestra. Jeśli wróci tam teraz, Sterling bez wątpienia poprosi ją do tańca. Nie chciała przeszkadzać Lily, nie miała ochoty na towarzystwo pani Roberts, unikała Ryeburna. I na tym się kończyła lista osób, które znała.

Doszła do wniosku, że poszuka schronienia przy stole z napojami orzeźwiająjącymi. Zanim do niego dotarła, usłyszała, że ktoś wymienia jej nazwisko. Obróciła głowę i spostrzegła gospodynię, w stroju lady Godivy, w towarzystwie jakiejś starszej damy.

- Podobno ta panna Grant ma niezwykle głoś. Namówiłam Trevora, by ją zaprosił, będziemy więc mogli sami to sprawdzić.

W sercu Eden wezbrała wielka gorycz. Ryeburn także zaprosił ją ze względu na jej śpiew. A ona miała nadzieję, że jest inny niż wszyscy. Myślała, że zależało mu na tym, by Lily i lord Toddington mogli się spotkać.

- Trudno uwierzyć, by Amerykanka mogła mieć taki talent - powiedziała starsza pani.

- I ja mam wątpliwości, ale dziś wieczorem się przekonamy, czy ona naprawdę umie śpiewać, czy też w opowieściach o jej talencie jest dużo przesady.

Uśmiech lady Godivy przypominał złośliwy grymas. Gdyby to, czego się dowiedziała na temat Ryeburna, nie bolało tak bardzo, Eden chętnie zdrapałaby ten uśmiech z jej twarzy.

Wycofała się do holu i wymknęła do ogrodu. Przypomniała sobie labirynt z żywopłotu, z altaną widokową w samym centrum. Znakomite miejsce, by się schronić przed światem.

Wieczne powietrze było rześkie. Eden starała się odzyskać panowanie nad sobą, z dala od kandelabrow i muzyki. Przestała rozumieć własne uczucia: dziwną pustkę i tęsknotę, która ją ogarnęła. Przestała rozumieć samą siebie.

*Numquam tuas spes dedisce.* Wciąż wirowały jej w głowie słowa tego głupiego motta. W jej marzeniach nigdy nie było żadnego napuszonego hrabiego bez poczucia humoru. Siedziała na żelaznej ławeczce i czekała, aż opadną z niej wszystkie emocje. Gniew mieszał się ze smutkiem, strach z nadzieją, w rezultacie czego w jej głowie zapanował wielki chaos. Eden nie była skłonna do płaczu, ale tego wieczoru po jej policzkach zaczęły spływać łzy.

Sterling poklepał Trevora po ramieniu.

- Czy widziałeś gdzieś pannę Grant? Ryeburn zaczął rozglądać się po sali.

- Widziałem ją na początku balu.

- Szukam jej już od piętnastu minut i nie mogę znaleźć.

- Może powinieneś zapytać pannę Baylor.

- Już pytałem. Ona także jej nie widziała. Jeśli gdzieś spotkasz pannę Grant, to przypomnij jej, że czekam na taniec, który mi obiecała. - Sterling odszedł, wykręcając szyję na prawo i lewo w poszukiwaniu Eden.

Trevor pomyślał z satysfakcją, że Sterling nie zatańczy jednak z Eden, ale jednocześnie zaczął się zastanawiać, co się z nią mogło stać. Gdyby była w sali balowej, z pewnością by ją zauważył. Gdy tylko przymykał oczy, ukazywał mu

się jej obraz. Jej kostium był tak charakterystyczny, że natychmiast by ją dostrzegł. Zwłaszcza na tle wszystkich błyszczących i połyskujących strojów.

Rozglądając się, zauważył wróżkę. Pomachała do niego, więc, chcąc nie chcąc, odwzajemnił ten gest. Dziewczyna nie spełniła jego oczekiwań, ale na swojej liście miał jeszcze dwa inne nazwiska. Zbeształ się w duchu. Zamiast martwić się o Eden, powinien odnaleźć którąś z pozostałych kandydatek.

Postanowił jednak, że najpierw sprawdzi, czy panny Grant nie ma przy stole z napojami.

Gdy okrążał salę balową, natknął się na Yanesę.

- Tu jesteś, mój chłopcze.

- Witaj, Vanesso.

- Wieczór rozwija się wspaniale, nie sądzisz? - Hrabina Ryeburn poprawiła swe sztuczne włosy, układając loki na najbardziej newralgicznych częściach ciała.

Gdy Trevor spostrzegł ten ruch, natychmiast spuścił wzrok

- Niegrzeczny chłopiec. Nie wolno ci tak na mnie patrzeć. Obrzucił macochę obojętnym spojrzeniem.

- Do głowy by mi nie przyszło.

Spostrzegł, że jej usta tężeją. Na chwilę przymrużyła oczy. Ale zaraz znów zmusiła się do uśmiechu.

- Lord Buckley przez cały wieczór ściga mnie spojrzeniami. Lord Buckley był skończonym osłem.

- O ile dobrze rozumiem, zamierzasz ponownie wyjść za mąż?

- Nie mogłabym wyjść za mąż za kogoś niższego stanu. Jako żona Buckleya byłabym tylko wicehrabiną. A poza tym chyba nie dałbyś sobie rady beze mnie.

Ryeburn wziął głęboki oddech, by ukryć swe zniecierpliwienie.

- Czego chcesz, Vanesso?

- Najwyższy czas, żeby ta dziewczyna zaśpiewała. Chcę się przekonać, czy warto było zapraszać Amerykankę. - Vanessa nie kryła przekonania o swojej wyższości.

- Nie wiem, gdzie ona jest.

- To jej poszukaj. Nie może oczekiwać od nas gościnności, jeśli nie wykona swego zadania.

Hrabia rozgniewał się nie na żarty.

- Ona jest moim gościem i nie pozwolę, by ktokolwiek zmuszał ją do występów, jak tresowane zwierzę.

Vanessa szeroko otworzyła oczy.

- Wielkie nieba, Trevorze. Nie wiedziałam, że ona tyle dla ciebie znaczy.

- Ona nic dla mnie nie znaczy - wycedził przez zęby. - Ale jest gościem w moim domu i w naszym kraju.

- Oczywiście. Zupełnie się zgadzam. - Vanessa poklepała go po ramieniu. - Ale odzyskaj ją i poproś, żeby zaśpiewała. Może zrobi to dla ciebie.

Trevor strząsnął jej dłoń z ramienia. Nie zaszczyciwszy hrabiny ani jednym słowem, opuścił salę balową. Odnajdzie Eden i poprosi, by zechciała zaśpiewać. Nic nie ucieszyłoby go bardziej niż osłupienie na twarzy macochy.

## 13

Trevor nie miał pojęcia, gdzie szukać Eden. W domu jej bowiem nie znalazł. Panna Baylor jej nie widziała, a pani Roberts zajmowała się opowiadaniem anegdotek innym przyzwoitkom. Sterling wciąż czekał na swój taniec. Hrabia wysłał pokojówkę, by sprawdziła, czy Eden nie poszła do swego pokoju, ale służąca oświadczyła, że nikogo tam nie zastała.

Skoro nie było jej w domu, to zapewne wyszła na dwór. Trevor przyspieszył kroku. Chciał ją czym prędzej znaleźć i upewnić się, że nic jej nie grozi. Dawno już zdjął maskę. Przeszedł przez oranżerię i wyszedł do ogrodu.

Na ławeczkach i w cichych zakątkach siedziało wprawdzie kilka par, ale Eden wśród nich nie było. Ryeburn odchodził coraz dalej od domu. Zatrzymał się przed labiryntem, za którym była już tylko trawa i ściana lasu otaczającego Concordię. Jeśli panna Grant poszła do lasu, to nigdy jej nie znajdzie. Pozostawało mu jedynie sprawdzić, czy nie ma jej w altanie w środku labiryntu.

Szybkim krokiem poszedł wijącymi się ścieżkami i po chwili był już w centrum.

- Eden... panno Grant?

- Czy już czas na mój występ?

Zadziwiła go gorycz w jej głosie. Wszedł do altany. Eden siedziała na ławce, maska leżała koło niej. Kosmyki włosów wymknęły się z upięcia, wydobywając naturalne piękno twarzy dziewczyny. Trevor zauważył w jej oczach ślady łez.

- Czy coś jest nie tak?

- Ależ skąd. Jestem tylko trochę rozczarowana, to wszystko.

- Czy mógłbym temu jakoś zaradzić?

- Nie sędzę. - Eden otarła kolejną łzę z policzka.

- Pani płacze.

- Nie da się ukryć.

- Zaproponowałbym pani chusteczkę, gdyby nie fakt, że w kostiumie Apolla nie ma kieszonki, do której można by ją włożyć.

Skwitowała jego żart pełnym zniecierpliwienia spojrzeniem.

- Panno Grant, martwiłem się o panią. Nikt nie wiedział, gdzie pani szukać.

- Niech ręka boska broni, żeby cokolwiek zakłóciło planowane występy.

- Pani się gniewa. - Jej słowa wprawiły go w zakłopotanie.

- Owszem.

- Dlaczego?

Wstała i podparła się pod boki.

- Dlatego że miałam nadzieję, iż pan jest inny niż wszyscy.

- Gniewa się pani na mnie?

- Wiedziałam, że zaprosił mnie pan w ostatniej chwili, ale nie musiał pan wcale dawać mi do zrozumienia, że chodzi o to, by Lily i lord Toddington mogli się spotkać.

Trevor przeczesał włosy dłonią.

- Przyznaję, że moja macocha chciała, by pani wystąpiła na balu, ale jest pani moim, a nie jej gościem. Nie musi pani robić tego, na co nie ma pani ochoty.

- Lady Godiva mówiła coś całkiem innego.

- Co Vanessa pani powiedziała? - Trevor czuł, jak ogarnia go wzburzenie.

- Nic mi nie powiedziała. Słyszałam jednak jej rozmowę z kimś innym. - Eden odwróciła wzrok.

- O ile znam Vanesę, to powiedziała coś prymitywnego i zdradzającego jej brak wykształcenia.

Na ustach panny Grant pojawił się cień uśmiechu.

- No cóż, z pewnością nie były to komplementy.

- Vanessa nie znosi, by ktoś usuwał ją w cień. Ludzie dużo o pani mówią. Najprawdopodobniej nienawidzi pani za to.

- Mam ochotę zaśpiewać, żeby jej dokuczyć.

- Dokuczy jej pani tak czy inaczej. Powiedziała już wszystkim, że będzie pani dziś występować. Jeśli więc pani odmówi, skompromituje się, a jeśli pani zaśpiewa, zzielenieje ze złości, widząc, że wszyscy się panią zachwycają. -

Hrabia przerwał na chwilę. - Czy tak bardzo nie lubi pani śpiewać?

- Och nie, uwielbiam śpiewać. Nie znoszę tylko całego tego zamieszania.

- Zamieszania? Eden uniosła brwi.

- Czy byłabym tu teraz, gdyby nie mój śpiew? Ryeburn odchrząknął.

- Pewnie nie.

- Dobrze, że jest pan szczery. Od tego wieczoru u Lockwoodów dostałam ze trzydzieści zaproszeń. I czytałam już o sobie w gazecie.

- No tak, był artykuł o Amerykańskim Słowiku.

- Widzi pan? Wciąż nie mogę uwierzyć, że wymyślili mi pseudonim.

- Słyszałem, jak Vanessa kilkakrotnie go używała. Eden opadła na ławkę.

- Sam pan widzi, ile zamieszania powodują moje występy. A w domu jest jeszcze gorzej.

- Gorzej? - Trevor usiadł koło niej.

- Czy może pan sobie wyobrazić, że musiałam już odrzucić oświadczyzny siedmiu kandydatów?

- Siedmiu? - zdziwił się Ryeburn. Panna Grant pokiwała głową.

- Wszyscy zakochali się we mnie, gdy śpiewałam. Ich oświadczyzny denerwowały ojca, ale powinien pan zobaczyć, jak się zachowywał Nicholas, gdy ci młodzieńcy zaczęli do mnie wzdychać.

- Nicholas?

- Mój brat bliźniak. - Zerknęła na Trevora z ukosa. - On też zawsze mnie strofował.

- Nie na wiele się to zdało. - Ryeburn podrapał się po czole. Myśl o tych wszystkich konkurentach wyraźnie go zaniepokoiła. - A co Nicholas myślał na temat tych młodzieńców?

- Wściekał się. Wszyscy byli jego przyjaciółmi, póki mnie nie poznali.

Siedmiu konkurentów i żadnego pocałunku? Trevor nie mógł w to uwierzyć.

- Zdaje się, że czuwa nad panią z wielkim poświęceniem.

- Ze zbyt wielkim poświęceniem.

Hrabia zaczynał coraz lepiej rozumieć jej skłonności do buntu. Przyjrzał się jej twarzy. Łzy już obeschły. Tylko zaczerwienione oczy świadczyły o tym, że płakała. Miał ochotę przytulić ją i trzymać w objęciach, póki w jej źrenicach ponownie nie zagości blask.

Znów zwiódła jego myśli na manowce. Odchrząknął.

- Czy cała siódemka czeka teraz na pani powrót do domu?

- Mam nadzieję, że nie. To między innymi z tego właśnie powodu rodzice zgodzili się, bym wyjechała do Europy. Moi konkurenci powinni w tym czasie odzyskać rozum i znaleźć sobie jakieś nowe hobby. - Eden umilkła, a po chwili się roześmiała.

- Co się stało?

- Przypomniałam sobie właśnie coś zabawnego. Jeden z tych młodzieńców ubzdurał sobie, że zostanie poetą i kompozytorem. Gdy usłyszał mój śpiew, napisał dla mnie piosenkę.

- To wspaniale.

- Nie słyszał pan tej piosenki. - Eden zastanawiała się przez chwilę, po czym zaczęła śpiewać.

Tam strumyk płynął z wolna, a nad nim drzewa rosły, a jego lśniące fale ślicznego pstrąga niosły. Ma miłość jest jak ten pstrąg, co pragnie, by siła twych rąk i by blask twej urody wyłowił go z zimnej wody. Pierwsze dźwięki go oczarowały, ale gdy skoncentrował się na słowach, otworzył usta ze zdziwienia.

- Proszę zaczekać, jeszcze nie skończyłam. - Panna Grant uśmiechnęła się i zaczerpnęła tchu.

*Ach wylów mnie, wylów, najmiłsza ma,*

*dla ciebie ja jestem stworzony.*

*Nie pragnie chyba dusza twa,*

*bym w wodach tych zginął strapiony.*

- O rety, to potworne.

- Nie ma chyba nic okropniejszego - roześmiała się Eden. - A co gorsza, to się ciągnie aż przez trzy zwrotki.

- Proszę mi tego oszczędzić. - Ryeburn uśmiechnął się do niej.

- Śpiewałam to tylko raz, ponieważ nie chciałam urazić jego uczuć. Ale tylko moja rodzina zauważyła, jakie to okropne. Wszyscy inni byli zachwyceni.  
- Wzruszyła ramionami.

Ryeburn pokręcił głową, przypomniawszy sobie, że i jego w pierwszej chwili oczarował sam głos.

- Pani głos ma niezwykłą moc. Ale trudno uwierzyć, że nikt nie zauważył, co to za piosenka. - Przypomniał sobie wieczór, gdy po raz pierwszy usłyszał jej śpiew. Jedynym człowiekiem, który nie uległ czarowi jej głosu, był Sterling. Trevor zmarszczył brwi. Ciekawe, co to oznacza?

- Może powinnam to zaśpiewać dla lady Ryeburn.

- Nie starczyłoby pani odwagi. - Na ustach hrabiego pojawił się szelmowski uśmiezek. - Chociaż to byłoby całkiem zabawne.

- Ależ lordzie Ryeburn, nie przypuszczałam, że ma pan w sobie coś diabelskiego.

- Jeśli powie pani o tym komuś, wszystkiemu zaprzeczę. Jej śmiech podziałał na niego jak ciepła kąpiel - oczysz-

czająco i kojąco. Zmagał się ze swoją fascynacją jej osobą. Pragnął wziąć ją w ramiona. Chciał wdychać jej lawendowy zapach, dotykać jej aksamitnej skóry, rozkoszować się jej słodyczą.

- Zaraz panią pocałuję, panno Grant.

Eden otworzyła szeroko oczy. A potem pochyliła się i uniosła ku niemu twarz.

Dotknął ust Eden zrazu delikatnie, budząc zaledwie jej zmysły. Rozkoszował się tą pełną oczekiwania chwilą, a potem dał upust swemu pragnieniu i pocałunek stał się bardziej namiętny. Słodycz jej ust zapowiadała skarby, które się kryły w ich głębi. Wiedział, że całując ją, popełnia błąd, ale jakże rozkoszny błąd.

Eden zamknęła oczy. Jej twarz wydała mu się jeszcze delikatniejsza, gdy zabrakło intensywności niebieskiego spojrzenia. Krew zaczęła w niej pulsować

Trevor przytulił ją jeszcze mocniej. Jego usta żądały coraz więcej. A ona poddawała mu się z ochotą. Żar rozlał się po jej żyłach. Język Ryeburna penetrował wnętrze jej ust, zdradzając pożądanie, które zaczynało wymykać mu się spod kontroli.

Po chwili hrabia oderwał usta od jej warg i przesunął je w dół, by zatrzymać się u nasady szyi. Gdy dotknął tego miejsca, z ust Eden wydobył się delikatny jęk. Dziewczyna zadrżała w jego ramionach.

Głowa Trevora powędrowała jeszcze niżej: delektował się smakiem śmietankowej skóry. Czuł, jak mu bije serce i jak rwie się oddech. Jego palce musnęły dekolt i satynowe wzniesienia piersi. Gdy Eden gwałtownie nabrała tchu, przypomniał sobie o jej niewinności.

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece - mruknął. Podniósł głowę i zajrzał jej w oczy. - Musi mnie pani powstrzymać.

- Wcale nie chcę pana powstrzymywać. - Jej głos był dziwnie słaby.

Trevor usiadł gwałtownie.

- Nie możemy tego zrobić.

- A co my właściwie robimy? - Jej oczy kusiły go i wabiły.

- Pani jest taka niewinna. - Trevor odsunął się nieco. Wciąż ciężko oddychał. - Jeśli się nie zatrzymamy, to zepsuję pani reputację.

Eden przysunęła się do niego.

- Znów ta nieszczęsna reputacja.

- Uśmiech w pani oczach kusi mnie i wabi, ale to nie byłoby właściwe. Zasługuje pani na kogoś, kto może pani zaproponować coś więcej niż chwilę szczęścia.

Eden zamarła bez ruchu.

- Rozumiem.

- Chyba nie. - Hrabia wziął ją za rękę. - Jest pani piękną i utalentowaną kobietą. Pewnego dnia spotka pani kogoś, kto da pani to, czego pani szuka.

Jego słowa otrzeźwiły ją całkowicie. Wyjęła dłoń z jego rąk i wykrzywiła lekko usta.

- Mówi pan tak jak mój ojciec.

- Chyba nie jestem taki stary.

- Prawie. Ryeburn zaśmiał się.

- Już ustaliliśmy, jak bardzo się różnimy. Czy mimo to moglibyśmy zostać przyjaciółmi?

Miał wrażenie, jakby kamień przygniótł mu serce. Dlaczego właśnie ta kobieta musi być tak lekkomyślna i uparta? Dlaczego właśnie ta kobieta ma taką władzę nad jego emocjami?

Panna Grant wyciągnęła rękę.

- Zostańmy przyjaciółmi.

- Dobrymi przyjaciółmi. - Uścisnął jej dłoń. Wiedział, że postępuje słusznie. Nie pasują do siebie. Dlaczego więc uczucie rozczarowania nie znika?

- No dobrze, przyjacielu, czy chce pan, żebym wystąpiła dziś wieczorem dla pańskich gości?

- Tylko jeśli pani sobie tego życzy. Pani także jest moim gościem. - Uśmiechnął się. - Ale bardzo bym chciał usłyszeć pani śpiew.

Eden wzięła maskę z ławki.

- Z przyjemnością zaśpiewam dla pańskich gości. I dla lady Ryeburn.

Szelmowski błysk w jej oku znowu go zniewolił. Ledwo zapanował nad namiętnością, którą rozbudził w nim pocałunek, a już znowu zagrażała mu utrata zmysłów.

- Lepiej będzie, jeśli wrócimy osobno. Panna Baylor z pewnością się o panią martwi.

- W takim razie już idę. - Eden podniosła się z ławki. - Czy moje oczy są zaczerwienione od łez?

Trevor niemal jęknął z zachwytu. Blask księżyca oświetlił jej włosy i kostium w taki sposób, że naprawdę zdawała się nimfą Dafne.

- Wygląda pani wspaniale - zdołał wykrztusić.

- Proszę nie zostawać tu za długo. Zapewne nie chciałby pan przegapić wyrazu twarzy swojej macochy. - Po chwili zniknęła mu z oczu za zakrętem, jakby rozplynęła się w powietrzu, jak prawdziwa nimfa.

Trevor zamknął oczy. Gdyby nie siedział na ławce, ugięłyby się pod nim kolana. Czy to możliwe, by jakakolwiek kobieta miała nad nim taką władzę? Taki był dumny ze swej siły, a teraz czuł się słabszy niż dziecko.

Tym razem naprawdę jęknął. Zostali przyjaciółmi, też coś. Wsparł czoło na dłoniach. Pragnął zanieść Eden do swego łóżka i spędzić noc w jej objęciach, przekonać się, jak wielka może być jej namiętność. Tylko że tego rodzaju myśli na pewno nie pomogą mu odzyskać panowania nad sobą.

Zacisnął zęby. Goście na niego czekają. Nie może przecież spędzić całej nocy w tym labiryncie, tylko dlatego, że zachowuje się jak uczeń. Wziął głęboki oddech i zaczął sobie przypominać łacińskie koniugacje czasowników nieregularnych. To jakby pomogło. Potem wyrecytował piątą deklinację rodzaju żeńskiego. I jeszcze cztery pozostałe. Pod koniec tego testu z łaciny udało mu się odzyskać kontrolę nad swym ciałem.

Wówczas niespodziewanie przypomniały mu się słowa wyryte na monecie. *Numquam tuas spes dedisce*. Ha. Jeśli marzy o Amerykańskim Słowiku, to chyba może od razu pożegnać się ze swymi marzeniami.

## 14

Eden zmierzała w stronę wyjścia z labiryntu, ale myślała wciąż o Trevorze. Jej wargi do tej pory drżały. Przycisnęła do nich palce. Gdy dotykała ust bardzo delikatnie, ożywało w niej wspomnienie pocałunku.

Po chwili ręka opadła jej w dół. Głupie, dziecięce zabawy jej nie pocieszą. Trevor wywrócił jej życie do góry nogami. Okazało się, że ma poczucie humoru i charakter, choć do tej pory skrzętnie to ukrywał, jakby się tego wstydził. Pod wpływem jego dotyku rozkosz rozlewała się po jej ciele, docierając do

najskrytszych miejsc. Gdy Ryeburn dotknął ustami jej skóry na dekolcie, poruszył jakąś strunę głęboko schowaną w jej wnętrzu i rozbudził tęsknotę za czymś więcej. Za czym?

Panna Grant skrzyła i zatrzymała się. Drogę zagroziła jej ściana żywopłotu. Wybrała niewłaściwą ścieżkę. Wróciła w to samo miejsce i poszła w innym kierunku. Ale parę jardów dalej ścieżka także się kończyła żywopłotem.

Eden zmarszczyła czoło. Wycofała się i ruszyła trzecią dróżką, która się też w pewnej chwili rozgałęziała. Nie miała pojęcia, którą odnogę wybrać. Westchnęła rozdrażniona i przyznała sama przed sobą, że się zgubiła.

- Lordzie Ryeburn! - krzyknęła, ale nikt jej nie odpowiedział.

Krzyknęła więc jeszcze raz.

- Lordzie Ryeburn!

Oczekwała chwilę. Z lewej strony dotarły do niej jakieś odgłosy.

- Lordzie Ryeburn, czy to pan?

- Panna Grant? Myślałem, że jest już pani w domu.

- Zgubiłam się.

Jego śmiech poraził ją jak fala gorąca.

- Sądziłem, że zna pani drogę.

- Ja też tak sądziłam.

- Proszę nie ruszać się z miejsca. Zaraz do pani przyjdę.

- A jak mnie pan znajdzie?

Podskoczyła, gdy usłyszała jego głos tuż za swoimi plecami.

- Bawiłem się w tym labiryncie przez całe dzieciństwo. Znam tu każdy kąt.

- Zdaje pan sobie sprawę z tego, że musimy jednak wrócić razem? W przeciwnym razie będę musiała spędzić tu całą noc.

- Wyprowadzę panią stąd. - Trevor uśmiechnął się i podał jej ramię.

Eden położyła dłoń na jego przedramieniu i ruszyła za nim. Jego pewny krok sprawił, że poczuła się bezpieczna. W milczeniu dotarli do wyjścia z

labiryntu. Wtedy cofnęła dłoń. Gdy Ryeburn spojrział na nią pytająco, ruchem głowy wskazała ludzi przechadzających się po ogrodzie.

- Może naprawdę będzie lepiej, jeśli nie zobaczą nas razem.

Wiedziała, że wyłaniająca się z ogrodowego labiryntu para mogłaby wzbudzić podejrzenia, a nie chciała przysparzać hrabiemu kłopotów. Po raz pierwszy w życiu żałowała, że nie jest dystygowaną damą, którą Trevor mógłby trzymać w ramionach z dumą i bez żadnych dodatkowych wyjaśnień. Nagła troska o reputację wprawiła ją w zakłopotanie.

Zaniepokojona własnymi myślami, uniosła spódnicę i pobiegła do domu. Słyszała, że Trevor ją woła, ale się nie zatrzymała. Wpadła na chwilę do swojego pokoju, by poprawić fryzurę, a potem wróciła na salę balową. Zgodnie z przewidywaniami pan Sterling dojrzał ją natychmiast. Eden westchnęła ciężko.

- Panno Grant, obiecała mi pani taniec.

- Pamiętam, panie Sterling. - Zmusiła się do uśmiechu.

Orkiestra zagrała walca. Sterling poprowadził ją na parkiet i objął w pasie. Eden z trudem powstrzymała się, by nie uciec. W jego objęciach nie czuła się tak dobrze i bezpiecznie jak w objęciach Trevora.

Bogu dzięki, walc nie trwał zbyt długo. Sterling wypuścił ją z ramion.

- Czy mogę prosić o jeszcze jeden taniec?

- Proszę wybaczyć, ale obiecałam naszej gospodyni, że dziś wieczorem zaśpiewam.

- Wiedząc, że usłyszę pani śpiew, z przyjemnością wypuszczam panią z objęć. - Sterling uklonił się dwornie.

Eden nie bardzo wiedziała, co odpowiedzieć. Dygnęła więc tylko i zeszła z parkietu.

Zaczęła szukać lady Godivy, by powiadomić ją o swojej decyzji.

Roześmiała się po cichu. Musi pamiętać, by nie zwrócić się w ten sposób do hrabiny.

W ustronnym zakątku spostrzegła lady Ryeburn siedzącą w towarzystwie trzech mężczyzn. Ich śmiechy i szepty wskazywały na to, że powtarzają sobie jakieś plotki i sekrety. Wszyscy byli w dobrym nastroju, ale w ich śmiechu dźwięczała jakaś fałszywa nuta. Eden nie chciała im przerywać, stanęła więc z boku.

- Rufusie, ty bezwstydniku, nie sądzisz chyba, że to mi się podoba. - Lady Ryeburn musnęła ramię mężczyzny, zaprzeczając swoim słowom.

- Moja żona nie mogła w tym roku przyjechać na maskaradę. Kto wie, kiedy znów będę miał okazję być twoim faworytem? - Rozległ się gromki śmiech, gdy położył dłoń na biuście gospodyni. Kiedy jednak „bezwstydnik” podniósł wzrok i zauważył Eden, natychmiast cofnął rękę i szturchnął łokciem swego sąsiada. Po chwili wszyscy panowie patrzyli na pannę Grant.

Zdziwiona lady Ryeburn, rozejrzała się, by odkryć, co przykuło w ten sposób ich uwagę. Popatrzyła krytycznie na Eden.

- Czego pani chce? - Uświadomiwszy sobie cokolwiek za późno, że odezwała się bardzo niegrzecznie, uśmiechnęła się i podeszła do Eden. - W czym mogłabym pani pomóc?

Jej zachowanie wprowadziło Eden w zakłopotanie.

- Przepraszam. Zdaje się, że przeszkadzam. Wrócę za jakiś czas - powiedziała i odwróciła się, chcąc odejść.

- Co za nonsens. - Hrabina przekrzywiła głowę. - Ach, tak, to pani jest tą Amerykanką. Trudno panią rozpoznać w tym kostiumie. Posłałam Trevora po panią. Jest pani gotowa do występu?

- Jeśli pani sobie życzy. - Eden zwilżyła wargi. Nie spodobała jej się ani ta kobieta, ani obleśni mężczyźni, którzy ją otaczali.

- Oczywiście, moja droga. Po to przecież panią zaprosiłam na swoje przyjęcie. - Lady Ryeburn wzięła ją za rękę. - Panowie, weźmiecie dziś udział w wielkim wydarzeniu. Zaśpiewa dla nas Amerykański Słowik.

W sercu Eden zawrzał gniew. Pomimo swego szlachtetnego rodowodu lady Ryeburn zachowywała się tak ordynarnie jak praczka. Panna Grant nie wyrwała jednak ręki z jej dłoni. Trevor przestrzegł ją przecież przed swą macochą. Z przyjemnością zaśpiewa dla tej kobiety.

Parę minut później Lily siedziała już przy pianinie, a Eden stała za instrumentem. Lady Ryeburn posłała orkiestrę na zasłużoną przerwę i zaprosiła wszystkich na koncert Amerykańskiego Słowika.

Eden spojrzała na publiczność. Gospodyni siedziała w pierwszym rzędzie obok tego obrzydliwego człowieka, z którym widziała ją już wcześniej. Lord Toddington siedział na skraju i nie spuszczał wzroku z Lily. Sterling zajął miejsce nieco dalej. Eden czym prędzej odwróciła spojrzenie, nie miała ochoty przyznawać się do tej znajomości. Jeszcze raz przyjrzała się widowni. Trevor siedział z tyłu. I mrugnął do niej. W jego oczach pojawił się figlarny błysk, który natychmiast odebrał jej zdolność logicznego myślenia.

Pierwsze dźwięki pianina przyciągnęły natychmiast jej uwagę. Eden spojrzała na swą akompaniorkę. Pogodna aria, którą Lily zaczęła grać, będzie doskonałym antidotum na chaos panujący w jej myślach. Eden zamknęła oczy, skupiła się na muzyce i zaczęła śpiewać.

Lord Ryeburn zauważył, że salę zaczyna ogarniać czar. Przestał się interesować tym, jak Vanessa zareaguje na śpiew Eden, cieszył się po prostu, że znów może go usłyszeć. Magia głosu panny Grant coraz silniej pętała publiczność. Słuchacze siedzieli nieporuszeni i ocierali łzy. Gdy Eden skończyła śpiewać, goście wstali i nagrodzili ją hucznymi brawami.

Eden dygnęła, a potem szepnęła coś do Lily. Ta wzruszyła ramionami. Panna Grant odwróciła się do widzów.

- Następną piosenkę chciałam zadedykować osobie, z którą się niedawno zaprzyjaźniłam. - W jej oczach igrały złośliwe ogniki.

Trevor zmarszczył brwi. Co ona zamierza?

Panna Baylor zagrała kilka akordów, a potem zaczęła upiększać ozdobnikami prostą melodię. Eden spojrzała na hrabiego i zaczęła śpiewać.

Tam strumyk płynął z wolna, a nad nim drzewa rosły, a jego lśniąca {ale ślicznego pstrąga niosły.

Trevor osłupiał z wrażenia. Śpiewała tę okropną piosenkę, którą poznał w labiryncie. To niemożliwe. Rozejrzał się po widowni. Nikt niczego nie zauważył. Melodia była całkiem zwyczajna, ale pod sprawnymi pacami Lily brzmiała dość radośnie, za to słowa... Ryeburn spodziewał się, że publiczność zacznie się denerwować.

Czekał cierpliwie. Ale nikt się nawet nie poruszył. Ku jego zdziwieniu wszyscy byli oczarowani tak samo jak przedtem. Popatrzył na Eden, która pieściła każdy dźwięk. I zaczął się śmiać.

Sąsiadka rzuciła mu natychmiast pełne dezaprobaty spojrzenie. Trevor stłumił dźwięk, ale zdradzały go ramiona, które wciąż mu się trzęsły. Inna kobieta cmoknęła na niego, kolejna zaczęła go uciszać. Starał się opanować, lecz piosenka była tak beznadziejna, a publiczność tak oczarowana, że jego wysiłki na nic się nie zdały.

Gdy Eden umilkła, znów wybuchły gromkie brawa. Hrabia ryknął śmiechem, który przez cały czas powstrzymywał. Sąsiedzi spojrzeli na niego z niepokojem, ale nic sobie z tego nie robił. Gdyby go nie uprzedziła, nigdy w życiu by w to nie uwierzył.

Na zakończenie panna Grant podziękowała swym słuchaczom. Gdy publiczność zaczęła się rozchodzić, Toddington podszedł do Lily. Wiele osób zatrzymywało się obok Eden, by zamienić parę słów lub poprosić, by dla nich kiedyś jeszcze zaśpiewała. Trevor słuchał tego z niedowierzaniem. Zaczynał rozumieć, co Eden miała na myśli, mówiąc o zamieszaniu, jakie wywołują jej występy.

Lady Ryeburn została w tyle. Ruszyła w stronę pianina, wlokąc za sobą lorda Buckleya. Jej towarzysz nie spuszczał wzroku z panny Grant, co zapewne

rozwścieczyło Vanesę. Trevor zatrzymał się więc, żeby posłuchać, co jego macocha ma do powiedzenia.

- No cóż, moja droga, rzeczywiście ma pani talent. - Jej oczy zionęły chłodem. - Szkoda, że jest pani Amerykanką. Pani talent pójdzie na marne tam, za oceanem.

- Powinna pani odbyć tournée po Europie - powiedział Buckley. - Jestem przekonany, że mogłaby pani liczyć na wielu sponsorów. Z takim talentem i wyglądem zarobiłaby pani fortunę.

- Cicho bądź, Rufusie.

- Bardzo dziękuję, ale nie potrzebuję pieniędzy i nie jestem zainteresowana publicznymi występami. - Odpowiedź Eden sprawiła, że twarz Vanessy rozluźniła się trochę.

- To oczywiste. Dziękujemy, że zechciała pani dziś dla nas wystąpić. - Hrabina uśmiechnęła się promiennie.

Gdy oddalała się, wlokąc za sobą opierającego się Buck-leya, Trevor usłyszał jeszcze jej ostatnią uwagę:

- Głupia gęś. Odrzucić fortunę! Ona chyba nie ma pojęcia, ile jesteś wart...

- Ciekawe, co by odpowiedziała, gdyby usłyszała, że moja rodzina ma już fortunę? - uśmiechnęła się Eden.

- Postąpiła pani skandalicznie, śpiewając tę piosenkę.

- Wiem.

- I szalenie mi się to podobało.

- Zauważyłam.

Lily podeszła do przyjaciółki.

- Co ty właściwie śpiewałaś?

- Nigdy pani tego nie słyszała? A tak dobrze pani grała. - Ryeburn popatrzył na Lily ze zdziwieniem.

Panna Baylor wzruszyła ramionami.

- Eden szepnęła mi w jakiej tonacji i w jakim tempie mam grać. To nie była trudna piosenka. Szczerze mówiąc, była dość nudna i bezbarwna, więc starałam się ją trochę uatrakcyjnić. - Lily raz jeszcze zwróciła się do Eden. - Co to było?

- Piosenka, którą napisał dla mnie Neville.

- Nie musisz mówić nic więcej. Toddington zmarszczył brwi.

- Nie bardzo rozumiem. Czy coś było nie tak z tą piosenką?

- Ty także uległeś czarom - powiedział Trevor. - Później ci to wyjaśnię. Przez chwilę Toddington miał dość głupią minę.

- Jak sobie życzysz. Panno Baylor, czy mogę panią odprowadzić do sali balowej? Dochodzi północ. Wkrótce wszyscy zdejmą maski.

Lily spłonila się.

- Będę panu wdzięczna, lordzie Toddington.

- Trudno uwierzyć, że nikt nie słyszał słów tej piosenki. Eden rozłożyła ręce.

- Uprzedzałam pana.

Przez chwilę oboje milczeli. Trevor nie miał ochoty się z nią rozstawać, ale przypomniał sobie o obowiązkach gospodarza.

- Dziękuję bardzo za niezapomniany występ. - Ucałował dłoń Eden, trzymając ją przy wargach nieco dłużej, niż wypadało. Potem przewyciężył ochotę, by zostać z dziewczyną i bez większego entuzjazmu wrócił do sali balowej.

Jakoś przetrwał kilka kolejnych tańców. Wiedział doskonale, dlaczego organizuje tę maskaradę, rozumiał, że dzięki temu zapewni sobie jeszcze większe wpływy. Dlaczego więc czuł się tak nieswojo?

- Ona jest na pewno jego kochanką - mówił jakiś kobiecy głos nieopodal.

- Czy naprawdę sądzą, że zdołają to ukryć? On się przebrał za Apolla, a ona za Dafne.

Wielkie nieba! Mówią o Eden i o nim.

- Ta dziewczyna ma wielki talent, ale wiesz przecież jakie są śpiewaczki i aktorki. Zazwyczaj kiepsko się prowadzą.

- Zdaje się, że byli razem w ogrodzie. Widziałam, jak wracali. Była zupełnie rozczochrana - powiedziała druga kobieta.

- W ogrodzie? Cóż za prymitywizm. Ale czegoż można się spodziewać po Amerykance.

- Słyszałam, że to bardzo dzikie stworzenie. Podobno ściga się konno.

- Wszyscy mężczyźni łaszą się do niej. Może przebierać i wybierać. Nie dziwię się, że wybrała Ryeburna. Większość kobiet jest nim zafascynowana.

- Ciekawe, kiedy się nią znudzi? Nie zdarzyło się, by adorował jakąś kobietę przez dłuższy czas.

- Ale żeby zaprosić ją na maskaradę? To skandal.

- Krew nie woda. W końcu jest synem swego ojca.

Na opanowanej twarzy Trevora nie było śladu furii, która go ogarnęła. Wszedł do sali balowej i popatrzył na plotkujące kobiety. Zaczzerwieniły się, ale nie kryły się ze swym chichotem. Odeszły na bok, wciąż ku sobie pochylone.

Ryeburn całkiem inaczej spojrzał na swoich gości. Nie byli już jego przyjaciółmi i znajomymi, ale wrogami. Że też mają czelność porównywać go do jego ojca? Jego ojciec nie miał kręgosłupa moralnego. A wszystkie pieniądze zwykł przegrywać w karty. Druga żona zdradzała go za jego wiedzą równie często, jak on zdradzał ją. Trevor nie był w zasadzie pewien, czy w żyłach jego siostry naprawdę płynie krew jego ojca. Dopiero śmierć tego człowieka uchroniła rodzinę przed katastrofą.

Trevor poświęcił siedem lat swego życia, by odbudować rodzinny majątek, przez siedem lat odmawiał sobie wszelkich przyjemności, by osiągnąć właściwą pozycję. A wystarczyły dwa tygodnie, by z powodu kobiety znów do jego nazwiska przylgnęły jakieś plotki.

W tym właśnie momencie do sali balowej weszła Eden. Widząc, jak dziewczyna rozgląda się dokoła, Ryeburn odwrócił się czym prędzej. Najlepiej

zrobi, jeśli będzie ją ignorować. Dzisiaj, jutro, zawsze. Niech wszyscy sobie pomyślą, że już się nią znudził. Eden wyjedzie stąd przecież za trzy miesiące. I nigdy więcej jej nie zobaczy.

Wydarzenia tego wieczoru wzbudziły w nim niepokój. Znowu zainteresowała go niewłaściwa kobieta. Zbyt długo się trudził, by przywrócić godność swemu nazwisku. Nie mógł na to pozwolić. Dość kłopotów przysparzała mu Vanessa swoimi romansami.

Szybko zagłuszył w sobie wyrzuty sumienia, że naraził na szwank reputację Eden. Panna Grant wróci za trzy miesiące do Massachusetts, gdzie nikt nie słyszał o jej londyńskich przygodach. Za trzy miesiące londyńskie towarzystwo będzie z rozrzewnieniem wspominać jej koncerty, a potem o niej zapomni.

Za trzy miesiące Eden Grant zniknie z jego życia na zawsze.

## 15

Eden pochwyciła na moment spojrzenie Trevora. Spostrzegła, jak spochmurniał i odwrócił wzrok. Zmarszczyła brwi. Nie spodziewała się takiej reakcji.

Natychmiast u jej boku pojawił się Sterling.

- Czy coś panią zmartwiło?

- Nie. - Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie w stronę hrabiego, ale zobaczyła już tylko jego plecy.

- Wspaniale pani śpiewała.

- Dziękuję.

- Mężczyzna, który się z panią ożeni, będzie wielkim szczęściarzem.

Eden spojrzała na swego rozmówcę ze zdziwieniem.

- Dlaczego pan to mówi?

- Jest pani piękna i utalentowana. Gdyby znalazła pani odpowiedniego małżonka, pani talent mógłby przynieść fortunę.

- Nie potrzebuję pieniędzy.

- Ach, tak, zapomniałem o pani ojcu. - Sterling wziął ją za ramię i poprowadził do pokoju z napojami. - Czy wie pani o tym, że w Anglii wszystko dziedziczy najstarszy syn? Cała reszta potomstwa musi sobie radzić sama.

- Nie miałam o tym pojęcia. - Eden rozejrzała się dokoła. Nie mogła wyrwać mu ręki, nie pozostawało jej zatem nic innego, jak podążyć za nim.

Sterling zatrzymał się koło stołu.

- Napije się pani lemoniady, moja droga?

Nie była szczególnie spragniona, ale jej wysuszonemu śpiewaniem gardła dobrze zrobiłby łyk lemoniady.

- Z przyjemnością.

Sterling sięgnął po szklanekę i podał ją Eden. Nie czekając jednak, aż panna Grant się napije, pociągnął ją za sobą. Eden balansowała dłonią, by napój nie wylał się na podłogę.

- Zasada dziedziczenia przez pierworodnego jest bardzo niesprawiedliwa - ciągnął Sterling. - Wielu młodszych synów ma znacznie większe zdolności niż ich starsi bracia. A to się nigdy nie liczy. Słyszałem, że w Ameryce jest inaczej.

Eden poczuła dziwny niepokój.

- Dokąd mnie pan prowadzi? Sterling spojrzał na nią.

- Wielkie nieba, nie zdążyła pani wypić swojej lemoniady. - Pociągnął ją za sobą do gabinetu. - Proszę bardzo, moja droga. Tu będzie się pani mogła spokojnie napić, tu porozmawiamy bez przeszkód.

Podprowadził ją do skórzanego fotela i czekał, aż usiądzie. Eden spojrzała na niego badawczo.

- Proszę się napić. To panią orzeźwi. - Sterling podszedł do drugich drzwi, prowadzących do frontowej części domu. - O czym to ja mówiłem? Ach, tak, o zasadach dziedziczenia. Proszę się napić.

Eden posłusznie łyknęła trochę lemoniady. Czego ten człowiek od niej chce? Jego zachowanie bardzo ją zaniepokoiło. Zerknęła w stronę drzwi. Na

szczęście nie były daleko. Odstawiła szklankę na stół i czekała, aż nadarzy się okazja, by wyjść z gabinetu.

- Jak to wygląda w Ameryce? Ile pani odziedziczy po śmierci ojca?

- Nie wiem, czy cokolwiek odziedziczę.

- No tak. Jest pani przecież kobietą. Trudno oczekiwać, by rodzice rozmawiali z panią o takich sprawach. - Sterling splótł ręce za plecami.

- Sądzę, że powinniśmy wrócić na przyjęcie. Nadeszła pora zdejmowania masek. - Eden podniosła się z fotela.

- Proszę usiąść. Jeszcze nie skończyliśmy. Eden nie posłuchała Sterlinga.

- Chcę wrócić na bal.

Z zwinnością, o którą go nie podejrzewała, zablokował jej wyjście.

- Proszę usiąść. Jeszcze nie skończyliśmy rozmowy. Niepokój Eden rósł z każdą sekundą, zwłaszcza że w oczach swego towarzysza dostrzegła gniew. Usiadła na fotelu i patrzyła na niego z przerażeniem i niechęcią.

- Czego pan chce?

Sterling przyklęknął przed nią.

- Panno Grant, jestem pewien, że zauważyła pani, jak bardzo mi na pani zależy. Znamy się wprawdzie od niedawna, ale wiem już na pewno, że pragnę spędzić z panią resztę życia. Pod nieobecność pani rodziców nie mogę zrobić tego, co należy i zwrócić się do pani ojca. Zapytam więc wprost. Czy zechce pani zostać moją żoną? - Sterling wziął ją za rękę.

Eden wyrwała mu dłoń. -Nie.

- Jest pani pewna?

- Absolutnie.

- Bardzo mi przykro. Eden podniosła się z fotela.

- Wracam na bal.

- Nie. - Sterling wstał i popchnął ją z powrotem na fotel, a potem pochylił się nad nią. - Wezwałem już powóz. Tymczasem wyjaśnię pani, co pani tu robi.

- Wrócił do okna.

Eden znów się zerwała z miejsca.

- Proszę usiąść. I nawet nie myśleć o opuszczeniu gabinetu. Wyjdziemy stąd, kiedy ja będę gotowy. Proszę wypić lemoniadę.

- Pan oszalał.

- Wielka szkoda, że już mnie pani nie lubi. Ale polubi mnie pani z czasem. Gdy powóz nadjedzie, wyjdziemy stąd i wyruszymy do Szkocji.

- Co takiego?

- Droga panno Grant, jestem trzecim synem hrabiego Harbroke. Mój najstarszy brat odziedziczył tytuł, a ja jestem zaledwie szlachetnie urodzonym Martinem Sterlingiem. Nie dostanę nic po śmierci ojca. Może jakąś niewielką rentę, ale to na pewno nie wystarczy, bym mógł prowadzić życie, do jakiego jestem przyzwyczajony. Nie mam tytułu, który by skusił jakąś majątną pannę, nie mam własnych pieniędzy, muszę więc zapewnić sobie utrzymanie w jakiś inny sposób. Krąg przyjaciół, którzy mnie wspierali, zmniejszył się ostatnio. Innymi słowy -szukam jakiegoś innego rozwiązania. Kiedy panią poznałem, uświadomiłem sobie, że nie muszę już dłużej szukać. Pani ojciec jest bogaty. Będzie łożył na nasze utrzymanie. A jeśli odmówi, to zawsze mogę organizować pani występy, dzięki którym będziemy opływać w dostatki.

- Nigdzie z panem nie pojedę.

- Nie ma pani wyboru. Szkoda, że odrzuciła pani moje oświadczyzny. To uprościłoby sprawę.

- Dla kogo?

- Jaka szkoda, że pani usta tyle dla mnie znaczą. Chętnie zasznurowałbym je pani. - Sięgnął do kieszeni. Wydobył niewielką brązową buteleczkę i chusteczkę wypełnioną watą. Wyjął korek i zwilżył chusteczkę płynem.

Eden zerwała się na równe nogi. Rzuciła się do ucieczki, ale nie zdołała przed Sterlingiem umknąć. Złapał ją za ramię i pociągnął do tyłu.

- Prosiłem przecież, żeby pani siedziała. - Popchnął ją na fotel, a potem pochylił się, by podnieść chusteczkę, która upadła na podłogę.

Przytrzymując dłonią głowę dziewczyny, przyłożył jej wilgotną tkaninę do nosa i ust.

Eden próbowała się jakoś uwolnić, ale uścisk Sterlinga był prawdziwie żelazny. Wstrzymała więc oddech, w końcu jednak musiała się poddać i nabrać tchu. Wszystko wokół niej zawirowało. Nie miała siły już dłużej walczyć i po chwili ogarnęły ją ciemności.

Obudziło ją podrygiwanie siedzenia, na którym leżała. W pierwszej chwili nie mogła zrozumieć, dlaczego fotel się pod nią kołysze. Zamrugła powiekami, ale i tak niewiele widziała w otaczających ją ciemnościach. Zamrugła raz jeszcze. Dzięki księżycowej poświacie uświadomiła sobie w końcu, że siedzi w powozie.

- Dokąd mnie pan wiezie?

- Do Gretna Green. Weźmiemy ślub, gdy tylko przekroczymy granicę.

- Nie powiem ani słowa.

- To nie ma znaczenia. W Szkocji zawsze można znaleźć duchownego, który nie będzie się przejmował takimi formalnościami. - Sterling pochylił się do przodu. - Zanim dojedziemy do Szkocji, zrozumie pani, że to małżeństwo jest nieuniknione. Nikt nie uwierzy, że nie straciła pani czci.

- Jeśli mnie pan dotknie, zabiję pana.

- Nie warto dramatyzować. Dla mnie to nie ma znaczenia, mogę poczekać do nocy poślubnej. W oczach świata i tak jest już pani skompromitowana.

Wściekłość ogarnęła Eden. Miała ochotę krzyczeć, tylko po co? I tak nikt, z wyjątkiem stangreta, który najprawdopodobniej ślepo wykonuje rozkazy swego pana, jej nie usłyszy. Do gniewu dołączyła się frustracja. Eden zacisnęła dłoń w pięść i uderzyła.

Sterling krzyknął, gdy trafiła go w oko. Opadł na siedzenie, zasłaniając urażone miejsce dłonią.

- Ty suko! - Uniósł rękę, jakby chciał ją uderzyć. Eden czekała na cios, ale Sterling opuścił ramię i warknął: - Odpłacę ci pięknym za nadobne, ale na

razie wolę mieć pannę młodą w dobrym stanie. Po ślubie będę miał mnóstwo czasu, żeby nauczyć cię posłuszeństwa. - Odsłonił oko i Eden spostrzegła, pomimo przyćmionego światła, że jest zaczerwienione. - Proszę się przespać. Czeka nas długa podróż.

Sterling skrzyżował ręce na piersiach i odchylił głowę do tyłu. Po paru minutach już spał.

Eden wyjrzała przez okno. Powóz jechał bardzo szybko. Gdyby wyskoczyła, złamałaby bez wątpienia rękę lub nogę. Albo jedno i drugie. Może gdyby powóz zwolnił...

Z jej oka spłynęła łza. Czy jest jeszcze jakaś nadzieja, że uda się jej uciec? Nikt na balu nie zauważy jej nieobecności. Nikt oprócz Lily. Wyprostowała się. Tak, Lily. Lily podniesie alarm, gdy się spostrzeże. Na pewno ktoś zacznie jej szukać. Gdyby tylko był tu Nicholas. Brat z pewnością nie pozwoliłby, żeby Sterling dopiął swego.

Eden potrzebowała pomocy jakiegoś bohatera.

Lily poklepała Trevora po ramieniu.

- Lordzie Ryeburn, muszę z panem porozmawiać.

- Tak, panno Baylor? - Trevor spostrzegł, że koło dziewczyny stoi Toddington. Ta para prawie się nie rozstawała przez cały wieczór.

- Nie mogę nigdzie znaleźć Eden.

Hrabia rozejrzał się po twarzach gości, którzy już zdjęli maski. Nigdzie nie spostrzegł panny Grant.

- Nie martwiłbym się o nią. Zdaje się, że ma w zwyczaju znikanie podczas przyjęć.

Lily zmarszczyła brwi.

- Nie sędzę, by rozmyślnie opuściła moment zdjęcia masek.

- To jest bardzo duży dom.

- Nie ma jej w pokoju, nie ma jej nigdzie.

- Proszę sprawdzić w ogrodzie. - Sam się zdziwił, słysząc gorycz we własnym głosie.

- Nie ma jej w ogrodzie. - Lily zarumieniła się nieznacznie. - My... to znaczy ja... Nie ma jej tam.

Trevor zerknął na przyjaciela. Na twarzy Toddingtona też się pojawił rumieniec. Ryeburn uśmiechnął się wyrozumiale.

- Jestem przekonany, że wkrótce się pojawi.

- Lordzie Ryeburn, nikt jej nie widział od czasu koncertu. - Panna Baylor spochmurniała.

Koncert skończył się przed dwiema godzinami. Trevo-ra ogarnął lekki niepokój. Ponownie rozejrzał się po sali. Spostrzegł Fincha.

- Zaraz wszystko wyjaśnimy. Ruszył w stronę służącego.

- Czy widziałeś pannę Grant, Finch?

- Nie, milordzie. Nie widziałem panny Grant od czasu, gdy śpiewała.

- Czy mógłbyś zapytać służbę, czy ktoś ją widział?

- Tak, proszę pana.

Gdy kamerdyner odszedł, Trevor znów zaczął się przypatrywać twarzom swoich gości. Nie zauważył nic niezwykłego, ale też nigdzie nie było Eden Grant. Gdzie ona może być?

To śmieszne. Panna Baylor ma stanowczo zbyt żywą wyobraźnię. Eden z pewnością jest gdzieś w domu. Trevor wciąż jej wypatrywał w tłumie.

Kątem oka spostrzegł, że wraca Finch.

- Milordzie?

- Słucham, Finch.

- Widziano pannę Grant w pokoju z napojami w towarzystwie pana Sterlinga.

- A gdzie jest teraz?

- Tego nie wiem, milordzie.

Trevor zaczął rozglądać się za Sterlingiem. Jego niepokój rósł. Sterlinga też nigdzie nie było.

- Zapytaj, czy ktoś go ostatnio widział.

- Tak, proszę pana.

Ryeburn nie miał zaufania do Sterlinga, który nie ukrywał swego zainteresowania Eden. Teraz oboje gdzieś zniknęli. Trevor poczuł, że coś go ścisnęło w dołku. Czyba nie wyszłaby nigdzie ze Sterlingiem?

- Milordzie?

Głos Fincha przerwał mu rozmyślenia. Spojrzał na służącego.

- Jeden z lokajów przypomniał sobie, że pan Sterling wezwał powóz jakieś dwie godziny temu. A potem odjechał stąd w towarzystwie jakiegoś gościa.

Sterling nie miał własnego powozu.

- Z kim odjechał?

- Zaraz się dowiem, proszę pana.

- Pójdę z tobą.

Trevor poszedł z kamerdynerem do kuchni. Lokaj, który udzielił tych wszystkich informacji, flirtował właśnie z pokojówką. Wyprostował się, gdy tylko zobaczył swego pana.

- Milordzie?

- Czy widziałeś, kto odjechał z panem Sterlingiem?

- Tak, proszę pana. Dama z Ameryki. Ta, która śpiewała. Serce Ryeburna zamarło na chwilę. Ogarnął go nagły chłód.

- Rozumiem. Czy szła z nim z własnej woli?

- Nie wiem, ponieważ było ciemno, ale chyba nie narzekała, bo pan Sterling ją niósł i nie słyszałem, żeby krzyczała.

- Dziękuję.

Lokaj ukłonił się hrabiemu.

Trevor wrócił do sali balowej. Muzyka zaczęła drażnić jego uszy. Dławiła go wściekłość i rozgoryczenie. Wiedział, że nie ma żadnego prawa, by czuć się zdradzonym, a jednak gorzki smak zdrady czuł w ustach. Jak mogła wyjechać ze Sterlingiem? Dawała przecież wyraźnie do zrozumienia, że czuje niechęć do tego człowieka. Dlaczego więc wsiadła z nim do powozu?

Lily czekała na niego w sali balowej.

- Czy udało się panu coś ustalić?

- Tak. Panna Grant wyjechała ze Sterlingiem dwie godziny temu.

Lily zmarszczyła brwi.

- To niemożliwe.

- Zapewniam panią, że to prawda. Jeden z moich służących widział ją w ramionach Sterlinga, który niósł ją do powozu.

- Sterling nie ma żadnego powozu. Przyjechał tu ze mną - wtrącił Toddington.

- Znalazł gdzieś jakiś powóz. I wyjechał z Eden - to znaczy z panną Grant.

- Eden nigdy by tak nie postąpiła. - Panna Baylor podniosła głos.

- A jednak.

- W takim razie coś jest nie w porządku.

Słowa Lily przyciągnęły do nich zaciekawione spojrzenia gości stojących nieopodal. Trevor nie życzył sobie kolejnych plotek na temat panny Grant i swego nią zainteresowania.

- Dokończymy tę rozmowę w moim gabinecie. Chodź z nami, Toddington.

Zaprowadził ich do gabinetu. Gdy tylko otworzył drzwi, poczuł dziwny, słodkawy zapach. Drzwi prowadzące do frontowej części domu stały otworem. Trevor się zasepił. Na podłodze leżała chusteczka i niewielka brązowa buteleczka.

Lily otarła łzy.

- Coś jest nie tak, lordzie Ryeburn. Eden nigdy by nie wyjechała z panem Sterlingiem. Zapewne sądzi pan, że to jest w jej stylu. Ale to nieprawda. Znam ją dobrze. Musi mi pan uwierzyć.

Trevor słuchał jej tylko jednym uchem. Przyklęknąwszy, podniósł butelkę i chusteczkę z podłogi. Chusteczka była już sucha, ale w butelce została jeszcze kropelka, może dwie, jakiegoś płynu. Powąchał zawartość pojemnika. Oczy zaszyły mu mgłą. Musiał zamrużyć, by odzyskać ostrość wzroku.

- Wierzę pani - oświadczył Toddington. - Zaraz wyślę za nimi swój powóz.

- Dziękuję. - Panna Baylor uśmiechnęła się drżącymi ustami. Rzuciła Ryeburnowi na poły pogardliwe spojrzenie. - Dobrze, że komuś nieobojętny jest los Eden.

- Christopher, do czego to służy? - Hrabia podał przyjacielowi butelczkę.

Toddington obrócił ją w palcach. On także powąchał zawartość i zaczął gwałtownie mrugać powiekami.

- Pamiętam to aż za dobrze z czasów mojej służby wojskowej. Tego się nie zapomina. To musi być eter.

- Tak właśnie myślałem. - Trevor spojrział w okno, a potem podszedł do Lily. - Proszę mi wybaczyć moje wątpliwości, panno Baylor. Panna Grant bez wątpienia ma kłopoty.

## 16

Hrabia Ryeburn zadzwonił na służbę.

- Toddington, jedziesz ze mną?

- Oczywiście - choćby po to, żeby cię powstrzymać od uduszenia Sterlinga.

- Dziękuję. - Trevor poklepał przyjaciela po ramieniu.

W ciągu paru minut Ryeburn przeobraził się z gospodarza balu w kompetentnego i rzutkiego człowieka, który odbudował rodzinny majątek.

Posłał Fincha, by ten dowiedział się od stangretów, w którą stronę pojechał Sterling. Kazał Toddingtonowi przebrać się w podróżne ubranie i wysłał służącego do stajni z poleceniem, by przygotowano konie. Później sam pospieszył na górę, by się przebrać.

Gdy miał już na sobie ciemne spodnie, wysokie buty, koszulę i surdut, wrócił Finch. Toddington i panna Bay-lor czekali w gabinecie.

Trevor zawiązał fular i zapytał:

- Czego się dowiedziałeś, Finch?

- Obaj chłopcy stajenni i jeden ze stangretów twierdzą, że pan Sterling zamierzał zabrać pannę Grant do Gretna Green.

Ryeburn i Toddington wymienili znaczące spojrzenia.

- Co to znaczy? - zapytała Lily.

- Sterling zamierza się z nią ożenić.

- Eden się na to nie zgodzi. Ona nie lubi pana Sterlinga, w każdym razie nie na tyle, by wyjść za niego za mąż.

- To nie będzie miało znaczenia.

- Dlaczego on to zrobił? - dziwiła się Lily. Trevor pokręcił głową.

- Tego nie mogę być pewien, ale sądzę, że w ten sposób chce zapewnić sobie źródło utrzymania.

- Eden? - Panna Baylor spojrzała na Toddingtona ze zdziwieniem.

Toddington wziął ją za rękę.

- Sterling nie ma ani pensa. Do tej pory liczył na hojność swych przyjaciół z towarzystwa. Mając bogatą żonę, czy też żonę, której ojciec jest zamożny, mógłby się uniezależnić. Zawsze wydawał mi się nikczemnym człowiekiem.

- Naprawdę? Tolerowałem go tylko dlatego, że sądziłem, iż cię bawi. - Ryeburn podrapał się w czoło.

- Twierdził, że zamierzasz sponsorować jego start w wyborach do Izby Gmin, więc nigdy nic nie mówiłem - odparł Toddington.

- Co za drań! - Trevor uklonił się Lily. - Przepraszam panią za wyrażenie, panno Baylor.

- Nie ma potrzeby. Wyraził pan doskonale moje uczucia. Biedna Eden odchodzi zapewne od zmysłów z przerażenia. Czy sądzi pan, że ją znajdziemy?

- Lily zagryzła wargę.

- Może pani na nas liczyć, panno Baylor. - Trevor nie miał serca mówić jej w tej chwili, że reputacja jej przyjaciółki i tak została narażona na szwank, nawet jeśli Eden wróci do domu przed świtem.

Lily zwróciła się do lorda Toddingtona.

- Proszę, niech panowie ją znajdą.

- Znajdziemy, moja droga. - Toddington uniósł jej dłoń i ucałował.

- I proszę zachować ostrożność - szepnęła.

- Jeśli mógłbym w czymś pomóc, milordzie...

- Dziękuję, Finch, ale powinienesz zostać w domu. Zadbaj o to, by lady Ryeburn nie szalała pod moją nieobecność.

- Oczywiście, proszę pana.

W tym momencie zjawił się służący z informacją, że konie już czekają. Obaj dżentelmeni opuścili czym prędzej Concordię.

Promienie słońca musnęły niebo kolorem. Eden czuła, że okropnie pieką ją oczy. Chciała je zamknąć, by trochę odpocząć, bała się jednak zasnąć.

Siedzący naprzeciwko niej Sterling drzemał. Miał otwarte usta, a po brodzie spływała mu strużka śliny. Gdyby nie skrajne zmęczenie, pękałaby ze śmiechu na ten widok.

Zamknęła oczy na chwilę, ulegając pokusie. Gdy uniosła powieki, słońce było już wysoko, a Sterling patrzył na nią obojętnym wzrokiem. Powóz zatrzymał się przed jakąś starą gospodą.

- Może pani się jeszcze przespać. Nie dojedziemy do Szkocji przed północą.

- Gdzie jesteśmy?

- Zmieniamy konie. Za chwilę wyruszymy dalej. Eden wygładziła spódnicę. Patrzyła na Sterlinga z nienawiścią.

- Nie jestem śpiąca.

- Nie musi się pani niczego obawiać. Jestem równie zmęczony, jak i pani. Nie dotknę pani na pewno. Proszę to uważać za prezent ślubny.

Jego rehot wzbudził w Eden obrzydzenie.

- Jestem głodna.

Sterling wyjrzał przez okno.

- Myślę, że krótka przerwa nam nie zaszkodzi. Ja też chętnie się odprężę i coś zjem.

Wysiadł z powozu i pomógł wsiąść Eden. Trzymał ją mocno za ramię i najwyraźniej nie zamierzał puścić. Pociągnął ją za sobą do gospody.

Wskazując palcem pulchną kobietę w fartuchu, zawołał:

- Hej tam, proszę nam zapakować trochę jedzenia.

- A gdzie pieniądze?

Sterling sięgnął do kieszeni i wy dobył monetę. Rzucił ją kobiecie.

- Proszę. A jeśli przypilnujecie tej damy - popchnął lekko Eden - to dostaniecie jeszcze jedną taką monetę.

- Do usług, złociutki panie.

Sterling wyszedł, by załatwić swoje potrzeby. Eden czekała, aż zniknie z pola widzenia, po czym zwróciła się do karczmarki:

- Jeśli pomoże mi pani uciec, dostanie pani sto funtów.

- Ciekawe, gdzie pani ma te sto funtów? W tym drzewie, które ma pani na sobie? - Kobieta ryknęła śmiechem.

Pozostali obecni także się roześmiali. Eden zaczerwieniła się, ale nie rezygnowała.

- Nie mam pieniędzy przy sobie, ale przyrzekam, że je przyślę.

- A niby dlaczego miałabym pani wierzyć? Dżentelmen przynajmniej pokazał mi pieniądze.

- Bardzo proszę. On mnie porwał.

- Nic nie wiem o żadnym porwaniu, to jest sprawa między panią a tym dżentelmenem. Ale żeby nie przyszło pani do głowy coś, przez co mogłabym stracić moje pieniądze... -Kobieta kiwnęła na postawnego mężczyznę. - To jest mój syn. Luther, idź i stań w drzwiach. Nie wypuszczaj tej pani.

- Dobrze, mammo. - Olbrzym, zgodnie z poleceniem, stanął przy drzwiach. Eden z trudem powstrzymała się od krzyku.

- Czy mogłabym przynajmniej pójść w jakieś ustronne miejsce?

Spędziłam wiele godzin w powozie.

- Jasne, moja droga. Nikt nie powie, że Stara Maggie jest okrutna. Ale ja pójdę z panią.

Eden pokiwała głową.

Pół godziny później siedziała już naprzeciwko Ster-linga w powozie, który jechał na północ. Obok niej leżał nieruszony zimny placek z mięsem.

- Wydawało mi się, że była pani głodna. - Z ust Sterlinga wypadały okruszki.

- Gdy patrzę, jak pan je, tracę apetyt.

- Szkoda. W takim razie zjem pani porcję. To naprawdę świetne wiejskie jedzenie. W drodze do domu też się tam zatrzymamy. Gdzie urządzimy sobie dom? Zawsze chciałem mieszkać koło parku.

Eden zignorowała jego pytanie i wyjrzała przez okno. Popołudniowe słońce wydłużyło cienie, ale świadomość upływu czasu wcale nie była pocieszająca.

Z każdą minutą zbliżała się nieuchronnie jej przyszłość ze Sterlingiem. I coraz większy był kamień, który dławił jej gardło. Nie może się rozplakać. Po prostu nie może.

Eden Grant otarła łzę, która się jej zakręciła w oku.

Konie były już u kresu sił. Trevor siedział w siodle zmęczony, zły i sfrustrowany. Od kiedy opuścili Concordię, nie natrafili na ślad Sterlinga.

Toddington także był zdenerwowany, sprawiał wrażenie, jakby lada moment miał spaść z końskiego grzbietu. Tymczasem na horyzoncie pojawiła się gospoda. Wreszcie będą mogli zmienić konie i coś zjeść.

Trevor wjechał na podwórko. Jakiś olbrzym zamiatał przed wejściowymi drzwiami.

- Mamo, znów mamy gości - zawołał.

W drzwiach pojawiła się pulchna kobieta i wytarła ręce w fartuch.

- No, no, co za dzień. Znowu jaśnie państwo w moich progach. Proszę wejść. Czym mogę służyć?

Ryeburn zsiadł z konia i przywiązał zwierzę do ogrodzenia.

- Potrzebujemy wypoczętych koni.

- Oczywiście. Macie szczęście, że powóz nie zabrał wszystkich koni.

- Powóz?

- A jakże. Był tu jakieś pół godziny temu. Przyjechał nim inny dżentelmen. I jakaś dama. Nie wyglądała na uszczęśliwioną jego towarzystwem.

- Kobieta mrugnęła do olbrzyma, który wciąż stał koło niej.

Krew zaczęła szybciej krążyć w żyłach Ryeburna.

- Czy ta dama była wysoką blondynką?

- Rzeczywiście, sir.

- I twierdzi pani, że niezbyt dobrze się czuła w towarzystwie tamtego dżentelmena?

- Ano tak. Prosiła mnie nawet, żebym jej pomogła uciec. Proponowała mi sto funtów. „On mnie porwał”, mówiła, ale ja jej nie uwierzyłam.

- W którą stronę odjechali?

- Na północ. Dżentelmen był bardzo hojny.

- Jeśli w ciągu pięciu minut przyprowadzicie nam konie, przekonacie się, jak hojny ja potrafię być.

Kobieta stuknęła olbrzyma w głowę.

- Nie stój tak, Luther. Przyprowadź konie dla dżentelmenów.

- Jasne, mammo.

Hrabia wyjął dwie złote monety.

- To dla pani. Za pomoc.

- Proszę częściej. Nie wiem tylko, w jaki sposób pomogłam, ale jak mi pan powie, to chętnie pomogę jeszcze raz.

Syn karczmarki przyprowadził dwa konie i wprawnymi ruchami przygotował je do drogi.

- To już niedaleko, Christopher - powiedział Trevor. -Odpoczniemy, gdy już ją uwolnimy.

- Czy to znaczy, że ta pani nie kłamała? - Oczy kobiety zrobiły się okrągłe z przerażenia.

-Nie.

- Myślałam, że to małżeństwo, które się trochę pokłóciło. - Kobieta wyciągnęła dłoń, na której leżały dwie monety. - Nie zasługuję na te pieniądze.

Ryeburn uśmiechnął się do karczmarki.

- Jest pani uczciwą kobietą i choćby dlatego zasługuje pani na te pieniądze. - Dosiadł konia. - Jedziemy, Toddington. Już ich prawie mamy.

Ryeburn galopował w szaleńczym tempie, zapominając o zmęczeniu. Toddington jechał za nim. Po godzinie obaj zobaczyli powóz. Trevor poczuł ulgę i wściekłość. Wiedział, że jeśli to nie jest właściwy powóz, to będą musieli się poddać. Żaden z nich nie byłby bowiem w stanie jechać dłużej.

Z wyrazem determinacji na twarzy podjechał do stangreta.

- Proszę zatrzymać powóz.

Woźnica spojrzał na niego, ale nawet nie zwolnił.

- Jeśli jesteście rozbójnikami, to powinniście wiedzieć, że nie wiozę żadnych pieniędzy, tylko pasażerów.

- Wiem o tym, człowieku. Zatrzymaj powóz. Nie jesteśmy żadnymi rabusiami.

Stangret pociągnął za lejce i powóz się zatrzymał. Tre-vor zeskoczył z konia.

- Co się dzieje? - Sterling wychylił się przez okno. Gdy zobaczył hrabiego, wrzasnął do woźnicy: - Jedź, ty idioto! Jeśli oni nas zatrzymają, nie dostaniesz ani pensa!

Toddington chwycił lejce.

- Ja ci zapłacę! - zawołał.

Stangret nawet się nie ruszył. Patrzył na to wszystko z wielkim zainteresowaniem.

Trevor otworzył drzwi powozu. Sterling skulił się w kącie. Po drugiej stronie siedziała panna Grant, zmęczona i rozczochrana, ale też rozpromieniona, co go niezmiernie uradowało.

- Eden.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałowała go prosto w usta, nie zważając na okrzyk zdziwienia, który wydał Sterling. Trevor wyniósł ją z powozu i postawił na ziemi. Eden nie wypuszczała go z objęć.

- Przyjechał pan po mnie. - W jej głosie było więcej zdziwienia niż ulgi.

Hrabia zagłuszył w sobie radość, którą czuł, trzymając ją w ramionach, i odchrząknął.

- To było moim obowiązkiem. Gościła pani pod moim dachem. Czuję się odpowiedzialny za pani bezpieczeństwo.

Radość natychmiast pierzchła z jej twarzy. Ręce jej opadły.

- Bardzo panu dziękuję. - Uniosła podbródek. - Panu także dziękuję, lordzie Toddington.

Toddington skinął głową.

Z powozu wytoczył się Sterling.

- Czy wy wiecie, na co mnie narażacie? Będę skompromitowany.

- Ciekawe, że nie masz wyrzutów sumienia, choć skompromitowałeś pannę Grant.

- Zamierzałem się z nią ożenić - zaskomlał Sterling. - Wcale nie byłaby skompromitowana.

- A zapytałeś, czy chce zostać twoją żoną?

- Oczywiście.

Zaskoczony Ryeburn spojrział na Eden. Przymrużył oczy.

- Zrobił to?

- Tak - odparła, sznurując wargi.

- Skąd więc tyle radości z powodu naszego przybycia? Czyżby zmieniła pani zdanie?

- Nie.

Hrabia cofnął się.

- Bardzo przepraszam. Prosimy o wybaczenie. Pozwoli pani, że pomogę jej wsiąść z powrotem do powozu.

- Nie zamierzam wsiadać do tego powozu. Toddington stanął między nimi.

- Ryeburn, ty idioto. Dlaczego nie zapytasz, czy panna Grant przyjęła jego oświadczyzny?

Trevor nie chciał się przyznać sam przed sobą, jak wielka rozpacz go ogarnęła. Obrócił się do Eden.

- Czy przyjęła pani jego oświadczyzny?

- Nie. Odmówiłam, a wtedy on mnie porwał. Trevor niemal odetchnął z ulgą. Po chwili jednak znów wybuchnął gniewem.

- Dlaczego więc nie wyprowadziła mnie pani z błędu?

- Dlatego że pan tak szybko mnie osądza i ma mi za złe wszystko, co robię. Sterling powiedział, że się oświadczył, a pan od razu założył, że pojechałam z nim dobrowolnie. Chociaż dobrze pan znał moją opinię na jego temat. - Eden zeszła na pobocze i usiadła pod drzewem.

Ramiona Toddingtona, który od pewnego czasu gryzł dolną wargę, dziwnie się zatrzęsły. Ryeburn spojrział na przyjaciela. Tylko on jeden miał dość

odwagi, by się z niego śmiać. Po chwili Toddington odzyskał panowanie nad sobą.

- Co z nim zrobimy? - zapytał, wskazując na Sterlinga. Trevor oderwał wzrok od Eden. Jej zachowanie wciąż

doprowadzało go do szewskiej pasji. Wziął więc kilka głębokich oddechów i spojrzał na Sterlinga. Wokół jego lewego oka widniał ogromny siniak.

- Co się stało z twoim okiem?

Sterling zakrył połowę twarzy dłonią.

- Uderzyłem się o coś.

- Owszem, o moją pięść - krzyknęła Eden spod drzewa.

- Zbiła cię? - Trevor znów popatrzył na dziewczynę.

- Niezłe uderzenie, panno Grant - pochwalił ją Toddington.

- Dziękuję.

- Mając na względzie twoje bezpieczeństwo, myślę, że powinniśmy czym prędzej odwieźć pannę Grant do jej opiekunki - zachichotał Ryeburn.

- Nie możecie tego zrobić. Jeśli ktokolwiek się o tym dowie, ludzie przestaną mnie przyjmować. I z czego będę żył?

- Znajdziesz sobie jakieś uczciwe zajęcie. - Hrabia odwrócił się od Sterlinga.

Ten chwycił go za rękaw.

- Ona przecież nic dla ciebie nie znaczy. A ja chcę się z nią ożenić. Będę dla niej dobry.

Ryeburn obrócił się i bez ostrzeżenia wymierzył mu cios w prawe oko.

Sterling odchylił się do tyłu i zakrywając oko dłonią, krzyknął:

- Dlaczego to zrobiłeś?

Trevor chwycił go za kołnierz i przyciągnął tak, że ich nosy prawie się dotykały.

- Ciesz się, że nie kazałem cię wykastrować. Sterling pobladł jak ściana. Hrabia popchnął go i Sterling wylądował na zakurzonej drodze.

Toddington zwrócił się do stangreta.

-Jestem hrabia Toddington. Chcemy cię wynająć. Czy to wystarczy za twoją fatygę? - Podał mężczyźnie pięcioletni banknot.

Stangret spojrział na pieniądze.

- To aż za dużo. Chyba zresztą nie powinienem tego przyjmować, bo przecież świetnie się bawiłem.

Toddington uśmiechnął się.

- Proszę wziąć pieniądze. Na razie zajmijmy się młodą damą, a potem zadecydujemy, dokąd pojedziemy.

- A co z nim? - Stangret wskazał na Sterlinga.

- On postanowił, że pójdzie piechotą. - Trevor podniósł Sterlinga, a potem popchnął go trochę.

Sterling otworzył usta ze zdziwienia.

- Nie możecie mnie tu zostawić.

- Możemy i zrobimy to. Proponuję, byś czym prędzej ruszył w drogę, jeśli chcesz znaleźć jakieś schronienie przed zmrokiem.

- I to wszystko z powody tej suki? - Sterling machnął dłonią w kierunku Eden.

Toddington zatrzymał Ryeburna, nim ten zdążył zareagować.

- On nie jest tego wart.

Trevor popatrzył na Sterlinga i uśmiechnął się.

- Jeśli nie znikniesz stąd w ciągu pięciu minut, możesz się dorobić kolejnego sińca.

Sterling zachwiał się nieco, po czym obrócił się na pięcie i ruszył w nieznaną, zostawiając za sobą tumany kurzu.

# 17

Eden nie odrywała wzroku od Sterlinga, póki nie zniknął. Prychnęła pogardliwie. Ten podstępny człowiek zasłużył na swój los.

Ryeburn i Toddington przeszli na drugą stronę drogi.

- Panno Grant, musimy porozmawiać.

Eden spojrzała na hrabiego. Na jego twarzy pojawił się ciemny meszek, jego włosy były w nieładzie. Miał zaczerwienione oczy i bardzo często mrugał powiekami. Toddington nie wyglądał wiele lepiej.

- Czy to nie może poczekać? Aż się wszyscy trochę prześpiemy w powozie?

- Obawiam się, że nie. - Ryeburn przecesał włosy palcami. - Panno Grant, Sterling wplątał panią w większe tarapaty, niż się pani wydaje.

- Oczywiście. Porwał mnie przecież. Pani Roberts zapewne odchodzi od zmysłów z niepokoju. Nie mogę sobie nawet wyobrazić, co myśli Lily.

- Nie chodzi tylko o to. Sterling panią skompromitował.

- On mnie nawet nie dotknął.

- Nikt w to nie uwierzy.

- Ale to prawda. - Eden poczuła dziwne świdrowanie w brzuchu.

- Jechała pani z nim sam na sam przez całą noc powozem, który zmierzał do Gretna Green. Prawda nie ma żadnego znaczenia dla londyńskich salonów.

Pani reputacja nie przetrwa tego skandalu.

- W takim razie wrócę od razu do domu. - Eden odczuwała coraz większy niepokój.

- A co się wydarzy, jeśli pani ojciec się o tym wszystkim dowie?

- Lepiej o tym nie mówić - skrzywiła się Eden.

- Będzie zły. - Ryeburn przemawiał jak nauczyciel podczas lekcji.

- Owszem, ale na pewno mi uwierzy. - Eden czuła się tak, jakby zaczynało jej brakować powietrza.

- Być może, ale czy zdoła przekonać innych? Prowadzi przecież interesy z Londynem. Nie sądzi pani, że ktoś w końcu wypomni mu hańbę, która spotkała jego córkę?

O, Boże. Jeśli papa się dowie, to z pewnością zabije Sterlinga. A jeśli nie papa, to Nicholas. Eden zamknęła oczy z przerażenia.

Toddington wziął ją za rękę.

- Obawiam się, że niewiele możemy zrobić, żeby powstrzymać rozprzestrzenianie się plotek. Gdybym tylko mógł, chętnie wziąłbym to wszystko na siebie.

- Nie ma potrzeby, Toddington. Rozważyłem już wszystkie możliwości i znalazłem rozwiązanie. - Trevor zwrócił się do Eden. - Zostanie pani moją żoną.

- Co takiego? - Eden podskoczyła ze zdziwienia.

- Ryeburn, jesteś pewien tego, co mówisz? Hrabia zignorował słowa Toddingtona.

- Mamy już niedaleko do Gretna Green. Możemy wziąć ślub jeszcze dzisiaj.

Eden osłupiała ze zdziwienia.

- Ale ja...

- Gdy będzie pani hrabiną Ryeburn, nikt nie odważy się powiedzieć złego słowa na pani temat. Wszyscy będą opowiadać sobie tę historię jako coś romantycznego.

Eden nie wiedziała, co się z nią dzieje. Poczowała, że krew tętni jej w skroniach, szumi jej w uszach, a w żołądku coś ją gniecie. Nie miała siły na tego rodzaju żarty.

- Dlaczego miałby pan się ze mną ożenić?

- Jak już mówiłem, czuję się odpowiedzialny za pani bezpieczeństwo jako gospodarz balu. Z mojej winy została pani skompromitowana.

- Trudno o lepszy powód, by wziąć ślub - zauważyła Eden. Podniosła jednak wzrok na hrabiego. Czowała gorycz rozczarowania. - A jeśli odmówię?

W oczach Trevora dostrzegła powagę.

- Chyba naprawdę nie rozumie pani powagi sytuacji.

- Rozumiem. - Eden podniosła się z ziemi. - Moja reputacja została zszargana i za chwilę wszyscy, zarówno tu, jak i w domu dowiedzą się o tym. Mogę więc albo ponieść konsekwencje tej kompromitacji, choć przecież Sterling mnie nie dotknął, albo zostać w Anglii, wychodząc za mąż za człowieka, który oświadczył mi się z poczucia obowiązku.

- Tak czy inaczej zamierzałem się wkrótce ożenić. Eden nie okazała, jak bardzo dotknęła ją ta nowina.

- A zatem mam zająć miejsce przeznaczone dla kogoś innego. Tylko czy ona panu wybaczy?

- Nie myślałem na razie o nikim konkretnym.

- A więc zadowolili się pan mną. - Eden ruszyła przed siebie, wiedząc, że jeśli się zatrzyma, zacznie płakać.

- Panno Grant - wtrącił się lord Toddington - czy naprawdę tak bardzo panią przeraża perspektywa zostania hrabiną?

Eden zatrzymała się i zgodnie z przewidywaniami zaczęła płakać.

- A jak by pan zareagował, gdyby jedyna szansa na powrót do jako tako normalnego życia oznaczała jednocześnie, że nigdy nie wróci pan do domu? - odparła załamującym się głosem i zamknęła oczy. - Zrobię to. Poślubię lorda Ryeburna.

Ciszę, która zapadła po jej decyzji, przerywał jedynie śpiew ptaków w koronach drzew. Eden otworzyła oczy, czując czyjaś dłoń na swoim ramieniu.

Koło niej stał lord Toddington.

- Nie będzie pani tego żałować. Trevor podniósł się z ziemi.

- Ruszajmy. Prześpimy się trochę w powozie, jadąc do Gretna Green.

Eden spojrzała na prostą spódnicę i bluzkę, którą miała na sobie. Widząc pieniądze Ryeburna, żona oberżysty przyniosła jej wełnianą, brązową spódnicę i białą, lnianą bieliznę. Balowa suknia nie nadawała się do włożenia, a poza tym

w gruncie rzeczy w tym prostym stroju Eden czuła się znacznie lepiej. Zmarszczyła jednak brwi. Nie tak sobie wyobrażała swoją ślubną suknię.

Przeczesała włosy szczotką, którą kupił jej hrabia, a potem zawiązała je wstążką. Nie miała żadnej innej ozdoby. Skąd miałaby ją wziąć? Wszystkie jej rzeczy zostały przecież w Londynie. Z westchnieniem uznała, że nie pozostało jej już nic innego, jak wyjść z tego pokoju i wziąć ślub z Trevorem.

Hrabia Ryeburn czekał na dole. Nie wyglądał lepiej niż ona. Miał na sobie spodnie z takiej samej brązowej wełny jak jej spódnica oraz szarą koszulę, ale za to jego buty lśniły. Mógł na szczęście włożyć swoje własne. Nikt by nie przypuścił, że to hrabia i niemal hrabina Ryeburn.

Toddington, który stał koło Trevora, także włożył wiejskie ubranie. Eden zachichotała. Przedstawiali sobą niezły widok. Byli lepiej przygotowani do maskarady niż do ślubu.

- Jest pani głodna? Moglibyśmy najpierw coś zjeść. -Toddington wskazał dłonią stół.

- Nie, dziękuję. Wolałabym mieć to już za sobą - Zauważyła, że Trevor nie zaprotestował. Jego twarz była nieprzenikniona. Eden nie potrafiła powiedzieć, czy jest zły, szczęśliwy czy też obojętny. To raczej obojętność uznała wreszcie.

- W porządku. W takim razie idziemy - powiedział lodowatym głosem.

Toddington ruszył przodem. Eden za nim. Po chwili podskoczyła, bo Trevor wziął ją pod ramię. Kątem oka spostrzegła, że wyraz jego twarzy zupełnie się nie zmienił. Nic nie zapowiadało, że czeka ją szczęśliwe małżeństwo.

Ranek był szary i pochmurny. Niebo może trochę pojaśniało, ale wciąż wyglądało nieprzyjaźnie.

- Nie widzę żadnego kościoła. Dokąd idziemy?

- Do kowala. - Hrabia nawet na nią nie spojrzał.

- Do kowala? Weźmiemy ślub w kuźni?

- Tak. - Lakoniczna odpowiedź Trevora wcale jej nie pocieszyła.

- To wszystko wygląda coraz lepiej - mruknęła. Poczowała na sobie spojrzenie narzeczonego, ale się tym nie przejęła. W końcu ma prawo trochę sobie pogderać w dniu swojego ślubu.

Parę minut później stali już przed kuźnią. Otworzył im wielki, rudowłosy mężczyzna.

- Witam, witam. Przyjemny dzionek na ślub. Proszę podać nazwiska.

Naręczony puścił ramię Eden.

- Trevor St. John, hrabia Ryeburn i panna Eden Grant.

- Hrabia? Nieczęsto przychodzą do mnie hrabiowie. -Kowal zerknął na Eden. - Niczego sobie naręczona. Założę się, że się spieszyacie. To potrwa tylko parę minut. -Wytrzeł ręce w skórzany fartuch. Wyjął imadło z ognia i zamknął drzwi. - Przepraszam, że taki tu bałagan, ale muszę zrobić kilka podków.

Niewiele brakowało, a Eden roześmiałaaby się histerycznie w obliczu absurdalności całej tej sytuacji. Zagryzła więc usta.

- Widzę, że przyprowadziliście świadka. Świetnie. Potrzebujemy jeszcze jednego. Matka! - krzyknął.

Do kuźni weszła korpulentna kobieta.

- Wołałeś mnie?

- Ano tak. Będziesz świadkiem. Kobieta klasnęła w ręce.

- Uwielbiam śluby. Ty tak pięknie ich udzielasz, ojciec.

- Dzięki, dzięki. Zaczynamy.

Kowal podniósł głos i rozpoczął ceremonię. Eden nie przypuszczała, że ten człowiek może mówić jeszcze głośniej. Pomyliła się. Kowal grzmiał, wykrzykując każde słowo. Eden kilkakrotnie skrzywiła się mimo woli.

Stanowczo za szybko zażądał, by wypowiedzieli słowa przysięgi. Trevor wygłosił je bez zawahania, dźwięcznym, mocnym głosem, choć Eden musiała przyznać, że w porównaniu z kowalem mówił cicho. Kiedy przyszła kolej na nią, spostrzegła, że pulchna kobieta ociera łzę z policzka. Zdumiało ją to tak

bardzo, że niemal zapomniała, co ma powiedzieć. W końcu jednak powtórzyła słowa przysięgi.

Gdy kończyła, żona kowala szlochała już na dobre.

- Uwielbiam śluby.

- Zaraz kończymy, matka. - Kowal zwrócił się do państwa młodych. - Złożyliście przysięgę małżeńską w obecności świadków, ogłaszam więc was mężem i żoną.

Trevor obrócił się do Eden.

- Zdaje się, że zwyczaj nakazuje panu młodemu pocałować pannę młodą.

Eden nie ufała swemu głosowi, pokiwała więc tylko głową. Trevor pochylił się nad nią i pocałował ją kurtuazyjnie. Eden poczuła, jak ogarnia ją rozczarowanie.

- Co to za pocałunek - mruknęła kobieta.

- Coś takiego! - ryknął kowal. - Myślałem, że się bardziej palicie do tego ślubu.

Toddington wystąpił naprzód.

- Jego lordowska mość czeka bez wątpienia na bardziej prywatny moment. - Podał rękę przyjacielowi. - Gratuluję, Trevor.

Hrabia uścisnął mu dłoń.

- Dziękuję.

Toddington zwrócił się teraz do Eden.

- Pani także gratuluję, hrabino. - Pocałował ją w policzek.

Hrabino? Wielkie nieba, została właśnie hrabiną. Co powiedzą rodzice? Eden zamarła. Rodzice. Nie wzięła pod uwagę ich reakcji.

- Muszę napisać do rodziców.

- Zajmiemy się tym w Concordii. Za chwilę wyjeżdżamy. - Ryeburn wydobył dwudziestofuntowy banknot i podał go kowalowi. - Mam nadzieję, że to wystarczy.

- To aż nadto, milordzie. Cieszę się, że mogłem pomóc.

- Zegnajcie wasze lordowskie mości. - Żona kowala nie przestawała szlochać. - Życzę dużo szczęścia.

Trevor zaprowadził Eden do gospody, przy której czekał już na nich powóz. Pomógł jej wsiąść, po czym zwrócił się do stangreta.

- Wracamy tą samą drogą. Przez pewien czas będę jechał obok konno.

Eden starała się opanować rozdrażnienie. Jej ledwo co poślubiony mąż zamierzał zostawić ją samą.

- Dobrze, proszę pana. - Stangret zajął miejsce na koźle.

- Toddington? - Trevor wdrapał się na siodło.

Lord Toddington rzucił przyjacielowi pełne dezaprobaty spojrzenie. Wsiadł na drugiego konia.

- Czy nie sądzisz, że wypadaloby zająć miejsce obok żony, w powozie?

Ciekawa odpowiedzi na to pytanie, Eden wychyliła się przez okno, co Ryeburn od razu zauważył. Nie odwracając się nawet, pokręcił głową.

- Zrobiłem już wszystko, co nakazywało mi poczucie honoru.

Słowa te podziały na nią jak nagłe uderzenie wiatru zapierające dech w piersiach. To on wymyślił to małżeństwo. To on nalegał. Jak więc śmie sugerować, że ona go w to wplątała? Usiadła tak gwałtownie, że cały powóz się zatrzęsł.

Parę minut później ruszyli w drogę. Eden starała się za wszelką cenę zagłuszyć swoje myśli, ale i tak słowa Trevora wciąż do niej powracały. Jego niechęć wobec tego małżeństwa wcale jej nie zdziwiła, zaskoczyła ją natomiast własna reakcja. Spodziewała się, że porwie ją gniew, a tymczasem ogarnął ją nastrój oczekiwania. Wcale nie prześladowało jej poczucie, że jest skazana na straszny los. Wciąż powracały do niej wspomnienia pocałunków i uścisków Trevora. Dlaczego nie zrodziło to gniewu ani goryczy?

Wyjrzała przez okno. Ujrzała wyprostowane, sztywne plecy swego męża. Niewykluczone, że on się gniewa. Eden ciężko westchnęła i oparła się o

siedzenie. Jeśli ma spędzić tę podróż samotnie, to bez wątpienia czas będzie się jej dłużył.

Późnym wieczorem dojechali do gospody Starej Maggie. Gdy powóz się zatrzymał, Eden ocknęła się z drzemki.

Trevor otworzył drzwi.

- Zatrzymaliśmy się, żeby zmienić konie. Pomyślałem, że może masz ochotę coś zjeść.

Eden zapomniała zupełnie o swoim żołądku, ale na wzmiankę o jedzeniu zaniedbywane organy przypomniały o sobie głośnym burczeniem.

- Jak to miło, że ktoś o mnie pomyślał. - Wysiadła z powozu. Na widok przyjaznych świateł gospody znów za-burczało jej w brzuchu.

- Chodźmy czym prędzej coś zjeść, bo zaraz się konie przestraszą. - Ryeburn wprowadził ją do środka, Toddington wszedł za nimi.

Stara Maggie od razu ich poznała.

- A więc ją znaleźliście. Ciekawa byłam, jak to się skończy. A gdzie tamten dżentelmen?

- Nie mam pojęcia. - Trevor odsunął krzesło i czekał, aż Eden usiądzie.

- Czy młoda dama jest już bezpieczna? - Maggie przyniosła natychmiast trzy kufle piwa.

- Młoda dama jest teraz hrabiną Ryeburn.

Stara Maggie zmierzyła Eden wzrokiem i dygnęła.

- Proszę o wybaczenie, milady. Nie wiedziałam... Eden machnęła ręką i uśmiechnęła się do kobiety.

- Zapomnę o wszystkim, gdy tylko dostanę coś do zjedzenia. Jestem taka głodna.

Stara Maggie odwzajemniła uśmiech.

- Już zaraz, milady. - Karczmarka wycofała się na zaplecze. - Luther, dbaj o to, żeby kufle nigdy nie były puste.

- Dobrze, mamó. - Olbrzym pochylił się nad stołem, by zajrzeć do wszystkich kufli.

- Jeszcze nie teraz - uspokoił go Toddington. Luther pokiwał głową i wycofał się, ale nie za daleko. Eden, świadoma tego, że wszyscy na nią patrzą, przyglądała włosy.

- Czy musiałeś wybrać stół na samym środku sali? -szepnęła do Trevora.

- Nie zabawimy tu długo. A poza tym trzeba się przyzwyczaić do spojrzeń. Gdy wrócimy do Londynu, będziemy obiektem plotek i opowieści. Nie sądzisz chyba, że nasze małżeństwo przejdzie niezauważone?

Eden spojrzała na niego.

- Nie rozumiem, dlaczego zachowujesz się tak okropnie. Nie prosiłam, żebyś się ze mną ożenił. - Skrzyżowała ramiona i odwróciła się od męża.

Trevor przyglądał się jej profilowi. Nawet w gniewie była bardzo piękna. I była jego żoną. Nie mógł uwierzyć w to, co się wydarzyło. Pragnął ją dotykać, pieścić, całować. Na samą myśl o tym krew napływała mu do lędźwi. Dlaczego więc tak bardzo się na nią gniewał?

Prawda go poraziła. Wcale nie gniewał się na nią, tylko na samego siebie. Gdyby nie był tak ślepy, gdyby domyślił się, do czego może być zdolny Sterling, nie musiałby się żenić z kobietą, która nie potrafi się przyzwoicie zachowywać. Może uda mu się nauczyć ją dobrych manier. Przysięgła mu przecież posłuszeństwo.

W gruncie rzeczy nigdy jednak nie oczekiwał, że dotrzyma tej przysięgi.

Spochmurniał na samą myśl o Eden jako o posłusznej żonie. Dlaczego ta myśl budzi w nim niechęć? Wyobraził ją sobie jako jedną z tych dobrze ułożonych młodych dam, które umieścił na swojej liście. Wyobraził ją sobie bez tego ognia w błękitnych oczach, bez śmiechu, który był pieszczotą dla uszu.

Maggie przerwała mu te rozmyślania. Postawiła na stole trzy parujące miski z jedzeniem oraz chleb.

- To nie jest jedzenie, do jakiego państwo przywykli, ale na pewno daje dużo siły.

- Dziękujemy, Maggie. - Eden powąchała jedzenie. - Pachnie wspaniale. Mój kucharz nie przyrządziłby tego lepiej.

Trevor spostrzegł, że karczmarka zarumieniła się z zadowolenia. Pochwały Eden brzmiały tak szczerze. Niespodziewanie poczuł się dumny ze swej żony. Może jednak nie będzie taką fatalną hrabiną.

## 18

Eden zasnęła w powozie. Po sycącym posiłku i męczącym dniu sen nadszedł niepostrzeżenie, choć Eden nigdy nie przypuszczała, że spędzi noc poślubną skulona na siedzeniu w powozie. Ocknęła się dwukrotnie. Raz, gdy jej małżonek i Toddington dosiedli się do niej, by także się przespać, i drugi raz, gdy zatrzymali się w samym środku nocy, żeby zmienić konie.

Dotarli do Concordii późnym popołudniem. Eden znów siedziała samotnie. Ryeburn i Toddington odebrali swoje konie i pojechali naprzód. Gdy koła powozu zaskrzypiały, tocząc się po drobnych kamykach podjazdu, Eden wyjrzała przez okno. A więc to jest teraz jej dom. Wydał jej się znacznie bardziej majestatyczny niż pięć dni temu, gdy przyjechała tu na bal maskowy. Czy naprawdę minęło tylko pięć dni? Zmieniło się przecież całe jej życie.

Od bramy aż pod mur ciągnęły się wielkie trawniki. Czy to naprawdę jest dom? Eden nie określiłaby w ten sposób tego rodzaju budynku. Żaden dom w Massachusetts nie był tak wielki. Nawet całkiem obszerne Fairlawne wyglądałoby przy nim jak siedziba karłów. Porośnięty zielonym mchem, czteropiętrowy gmach wzniesiono z szarego kamienia. Pomiedzy iglicami i wieżyczkami widać było mnóstwo kominów. Niektóre części domu przypominały zamek. Postanowiła, że zapyta o to trochę później. Na końcu podjazd otaczał kręgiem ogromną fontannę. W równiutkich rabatkach rosły kwiaty.

Gdy Eden spojrzała na frontowe schody, zauważyła, że z domu wysypuje się służba, by utworzyć szpaler - z jednej strony kobiety, z drugiej mężczyźni. Potem spostrzegła Ryeburna zmierzającego w kierunku powozu. Gdy wehikuł zatrzymał się pod schodami, jeden lokaj otworzył jej drzwi, a drugi pomógł wysiąść. Ryeburn stał parę kroków dalej. Podał jej ramię. Eden położyła dłoń na jego przedramieniu, ale nic nie powiedziała.

- Służba czeka, by powitać swą nową panią - szepnął jej do ucha.

Wielkie nieba! Czy ci ludzie oczekują od niej teraz jakichś rozkazów? Eden wiedziała wprawdzie, na czym polega prowadzenie domu, ale domu, a nie zamczyska.

- Nie bądź taka przerażona. Nic ci nie zrobią.

Eden rzuciła mężowi spojrzenie pełne niecierpliwości.

- Skąd wiesz? - szepnęła.

- Przez wiele lat mieli do czynienia z Vanessą. Będą uszczęśliwieni, gdy zajmiesz jej miejsce.

Jego odpowiedź wprawiła ją w osłupienie, po chwili jednak się roześmiała. Uśmiech na twarzy Trevora pokrzepił ją trochę na duchu. Gdy weszła na schody, mogła już pozdrowić każdego ze służących z godnością i wdziękiem.

Tuż za drzwiami czekały na nią Lily i pani Roberts. Eden przestała się zastanawiać, co wypada, i rzuciła się w objęcia Lily. Przyjaciółka rozplakała się.

- Nie mogę w to wszystko uwierzyć - szlochała. - Nic ci się nie stało? Tak strasznie się o ciebie martwiłam.

- Nic mi nie jest, Lily. Sama nie mogę w to wszystko uwierzyć.

Pani Roberts także otarła łzy.

- I pomyśleć, że miałam tego człowieka za wymarzonego konkurenta.

Gdybym wiedziała, co planuje, nie pozwoliłabym mu przestąpić progu naszego domu.

- Teraz to nie ma znaczenia, pani Roberts. - Eden poklepała opiekunkę po ramieniu.

- Zapewne nie. Teraz jest pani hrabiną, choć ten strój nie pasuje do nowej pozycji. Skąd go pani wzięła?

Eden zupełnie zapomniała o tym, co ma na sobie. Prosta spódnica i bluzka nosiły na sobie ślady długiej podróży.

- Z przyjemnością przebiorę się we własne rzeczy.

- Rozumiem, że nic lepszego nie można było zdobyć. -Pani Roberts złożyła chusteczkę i wsunęła ją do rękawa. -Nie ma sensu denerwować się tym, czego nie można zmienić. Wszystko się dobrze skończyło. Moja podopieczna została prawdziwą hrabiną. Panna Baylor będzie się czuła samotna w Londynie.

Eden zamarła. Nie pomyślała, że Lily nie będzie już z nią mieszkać.

- Lily może tu zostać, dopóki nie wrócicie do Ameryki.

- Bzdura. Nie ma mowy, byśmy państwu w tej chwili przeszkadzały. Ruszamy do Londynu i tam zaczekamy, aż nadejdzie pora powrotu.

Ryeburn podszedł do żony.

- My także wracamy do Londynu. Będzie więc mnóstwo okazji do spotkań z panną Baylor przed jej wyjazdem.

- Jedziemy do Londynu?

- Owszem. Trwa sesja Parlamentu, a ja nie mogę sobie pozwolić na to, by ją opuścić. Jeśli chcę utrzymać wpływy, które udało mi się uzyskać - oświadczył Trevor. - Ponieważ jest już za późno na wyjazd, pojedziemy wszyscy razem jutro rano. A teraz, jeśli mi panie wybaczą, zajmę się sprawami, które muszę załatwić przed powrotem do Londynu. Zobaczymy się przy obiedzie. - Hrabia uklonił się i odszedł.

Pani Roberts pokiwała głową.

- Ma pani wspaniałego męża, lady Ryeburn. Pamięta o swych obowiązkach. Kobieta nie może oczekiwać nic więcej.

Owszem, może. Trevor już zniknął, nie pozostawiwszy po sobie żadnego śladu. Czy tak ma wyglądać jej małżeńskie życie? Poczowała, że zaczyna osaczać ją samotność.

- Muszę napisać do pani rodziców, lady Ryeburn. - Guwernantka przycisnęła rękę do piersi. - Tak się cieszę, że będę mogła napisać pani nowe nazwisko. Lady Ryeburn. Świadomość, że tak dobrze wypełniłam swoje zadanie, działa na mnie pokrzepiająco. Powinnam chyba odpocząć przed obiadem. Wydarzenia minionych dni bardzo mnie wyczerpały. Panie wybaczą.

Pani Roberts także zniknęła w holu.

- Jesteś szczęśliwa? - Głos Lily sprawił Eden niespodziankę.

Nie potrafiła już dłużej panować nad swymi emocjami. Jej oczy napełniły się łzami, które potoczyły się po policzkach, nim zdążyła odpowiedzieć.

- Nie wiem.

- Chodźmy w jakieś ustronne miejsce. - Lily objęła przyjaciółkę.

- Tylko dokąd? Mam odgrywać hrabinę, a nie znam nawet swojego nowego domu.

- Poznasz. - Lily podała jej chusteczkę i zaprowadziła do gabinetu. - Tutaj. To tu lord Ryeburn planował, jak cię uratować.

Eden osuszyła oczy chusteczką.

- Nie byłam pewna, czy ktokolwiek będzie mnie szukał. Panna Baylor podparła się pod boki.

- Za kogo ty mnie masz? Nie pozwoliłabym przecież, żeby ten potwór porwał moją przyjaciółkę.

- Wiedziałałam, że ty będziesz chciała mnie uratować. Nie byłam jednak pewna, czy ktokolwiek zechce ci pomóc.

- Eden Grant, przestań się użalać nad sobą.

- Nie jestem już Eden Grant. Jestem lady Ryeburn. - Nowy strumień łez trysnął z jej oczu.

Lily otoczyła ją ramieniem.

- Moje biedactwo. Tyle przeszłaś w ciągu ostatnich dni. Gdy Christopher powiedział mi, że wyszłaś za męża...

- Christopher?

- Lord Toddington. - Lily zarumieniła się.

- Nawet nie wiem, jak się mam zwracać do swojego męża. - Eden uśmiechnęła się ze smutkiem. - Zdaje się, że między tobą i lordem Toddingtonem wszystko się dobrze układa.

Panna Baylor zarumieniła się jeszcze bardziej i pokiwała głową.

- To dobrze. Cieszę się, że przynajmniej jednej z nas spełnią się marzenia.

- Eden zamilkła. Przypomniała sobie motto wyryte na monecie. Nie była pewna, czy rzeczywiście w to wierzy, ale dziwnym trafem od czasu gdy zgubiła swój talizman, prześladował ją pech. Smutek ustąpił miejsca rezygnacji. Numquam tuas spes dedisce. Ha.

- Eden?

- To nic takiego. Jestem po prostu zmęczona. Pójdę chyba w ślady pani Roberts i odpocznę przed obiadem.

- Jesteś pewna?

- Tak, idź i poszukaj Toddingtona. Baw się dobrze. -Eden ścisnęła przyjaciółkę za rękę i wyszła.

Skierowała się do pokoju, który przedtem zajmowała, ale jej rzeczy zniknęły. Otworzyła wszystkie szuflady, zajrzała pod łóżko i nie znalazła żadnego śladu po swojej tu obecności. Zgrzytając zębami, wyszła z pokoju. Jak się nazywa ochmistrzyni? Szperała w pamięci, szukając jej nazwiska. Byrd. Właśnie tak.

Wróciła do gabinetu, ale Lily już nie zastała. Pociągnęła za dzwonek. Po chwili pojawiła się pani Byrd.

- Tak, milady?

- Moje rzeczy zniknęły z pokoju.

- Tak, milady. Gdy jego lordowska mość wrócił do domu, kazał przenieść pani rzeczy do pani nowego apartamentu.

- Nie wiem, gdzie go szukać. Pani Byrd szeroko otworzyła oczy.

- Bardzo przepraszam, pani hrabino. Powinnam od razu wskazać pani drogę. Proszę za mną.

Ochmistrzyńni zaprowadziła ją na imponujące schody. Gdy skręciły w lewy korytarz, otworzyła jakieś drzwi.

- Oto pani apartament, milady.

Eden weszła do środka i przystanąła ze zdziwienia. Ściany koloru kości słoniowej zdobiły tu i ówdzie złote akcenty.

- Nie ma nic niebieskiego.

- Wszystko będzie tak, jak pani sobie zażyczy, milady.

- Nie, nie, ja nie lubię... - Uwagę Eden przyciągnął kominek. Na zielonej tarczy herbowej widniał łabędź. - Co to takiego?

- To herb rodziny, milady.

Jasne. Widziała coś takiego na bryczce i powozie Rye-burna.

- Muszę się wiele nauczyć. - Zdziwione spojrzenie pani Byrd uświadomiło jej, że wypowiedziała te słowa na głos.

- Czy potrzebuje pani czegoś, milady?

- Może mogłabym się wykapać, a potem trochę przespać?

- Oczywiście, milady.

Gdy pani Byrd wyszła, Eden zaczęła się rozglądać po apartamencie. W buduarze stało biurko, sofa i kilka foteli. Drzwi z lewej strony prowadziły do sypialni, w której królowało ogromne łóżko. Tkaniny w kolorach ciemnej zieleni, złota i rdzy ocieplały atmosferę wnętrza i kusily

Eden, by dotknęła pościeli i draperii. Elegancki wystrój tego apartamentu zaparł jej dech w piersiach.

- Podoba ci się?

Eden obróciła się na pięcie, słysząc głos męża. Trevor opierał się o drzwi, za które nie zdążyła jeszcze zajrzeć.

- Skąd się tu wzięłeś?

- Z mojego pokoju. Można do niego przejść tymi drzwiami, choć ja także, podobnie jak ty, mam niezależne wejście z korytarza.

Eden zajrzała mu za plecy. Sypialnia hrabiego wyglądała niemal identycznie jak jej, tyle że zdobiły ją tkaniny utrzymane w brązach i zieleniach. Ryeburn odsunął się.

- Możesz wejść, jeśli chcesz. Eden cofnęła się o krok.

- Nie, dziękuję. Może później. Trevor uniósł brwi.

Eden zarumieniła się gwałtownie.

- To znaczy... ja nie... Do diaska! Ryeburn roześmiał się.

- Nie, nie, spodziewam się, że nie. - Podszedł nieco bliżej i uniósł dłoń.

Musnął pieszczotliwie jej policzek. Eden zadrżała, rozkoszując się jego dotykiem.

Do sypialni weszła pokojówka, niosąc dwa wiadra wody.

- Przepraszam, milady. Pani chciała się wykąpać?

- Tak, dziękuję. - Eden odsunęła się od męża. Służąca wniosła wiadra do pokoju kąpielowego. Eden usłyszała, jak woda pluszcze o brzegi wanny.

Pokojówka znów zjawiała się w sypialni i dygnęła.

- Przyniosę jeszcze kilka wiader i wanna będzie pełna, milady.

Trevor cofnął się do drzwi.

- Musisz być bardzo zmęczona. Może odpoczniesz trochę po kąpieli.

Poproszę panią Byrd, żeby cię obudziła na tyle wcześnie, abyś zdążyła się przebrać.

- To chyba najlepsze rozwiązanie.

- Do zobaczenia wieczorem. Spij dobrze, Eden.

- Jak mam do ciebie mówić?

Trevor nic nie odpowiedział. Po chwili na jego ustach zaigrał tajemniczy uśmiech.

- Jak chcesz. - I zamknął drzwi oddzielające pokoje.

Parę godzin później Eden stała w tym samym miejscu. Miała na sobie obszerną, białą koszulę nocną, ale nie mogła zasnąć. Zapadająca noc przyciągnęła ją do okna. Świeżo upieczona hrabina Ryeburn przykleiła twarz do szyby. Przepelniał ją niepokój. On przyjdzie do niej tej właśnie nocy. Eden wiedziała, że małżeństwo musi zostać w końcu skonsumowane. Trevor nie wspominał wprawdzie o tym, ale wyczytała to z jego oczu. Nie potrafiła opanować zdenerwowania.

Czuła dziwne mrowienie na myśl o jego dotyku.

Po obiedzie, gdy wszystkie tematy zostały już wyczerpane, goście wrócili do swych pokoi. Trevor odprowadził ją do jej sypialni i zostawił pod opieką nowej pokojówki. Przed rozczesaniem złocistych loków swej pani pokojówka rozłożyła na łóżku białą nocną koszulę i postawiła karafkę wina i kieliszki na nocnej szafce. Eden domyśliła się, że chodzi o to, by uczynić ją jak najbardziej pociągającą młodą żoną. Gdy włożyła na siebie nocną koszulę, owionął ją zapach lawendy. Pokojówka znalazła zapewne jej wodę toaletową i spryskała nią materiał. Dziewczyna rozpałała jeszcze ogień w kominku i wyszła. W sypialni zrobiło się całkiem cicho. Tylko trzask palących się bierwion upewniał Eden, że świat nie zatrzymał się w miejscu.

Gdy drzwi się otworzyły, obróciła się, ale nie odeszła od okna. Ogień spowijał postać hrabiego łagodnym złotym blaskiem, rozjaśniając zarazem jego ciemne włosy. Eden wstrzymała oddech. Jest jego żoną. Należy do niego-

Trevor wyciągnął rękę.

- Chodź, Eden.

Z każdym krokiem była coraz bardziej napięta. Kiedy dotknęła dłoni męża, zaskoczyło ją ciepło jego skóry. Nawet nie przypuszczała, że tak bardzo zmarzła.

- Skostniałaś. - Trevor ujął także jej drugą dłoń i zaczął je obie rozcierać.

Eden ze zdziwieniem stwierdziła, że jego dotyk nie budzi w niej tych przedziwnych doznań. Zadrżała. Trevor wziął ją w ramiona.

- Nie powinnaś stać przy oknie, jeśli jest ci zimno. Ciepło jego ciała podziało na nią obezwładniająco.

Niewiele brakowało, by zupełnie straciła głowę. Wołała nie podnosić wzroku na męża, by nie zatonać całkowicie w jego ciemnych oczach.

- Dlaczego się ze mną ożeniłeś? - szepnęła.

- Wiedząc, co Toddington czuje do panny Baylor, nie mogłem przecież pozwolić, by to on się z tobą ożenił - odparł ze śmiechem hrabia.

Eden nie podzielała jego wesołości.

- Dlaczego?

- Czy to ma jakieś znaczenie? - szepnął, wtulając usta w jej włosy.

- Zapewne nie. Co się stało, to się nie odstanie. Ale miło by mi było usłyszeć, że choć trochę ci na mnie zależy.

Ryeburn westchnął.

- Wydawało mi się, że ustaliliśmy to już tamtej nocy, w ogrodzie.

- Ustaliliśmy także, że nie ma dla mnie miejsca w twoim życiu. - Eden odważyła się spojrzeć mężowi w oczy.

- To się zmieniło. - Trevor obrysował jej usta palcem. - Zależy mi na tobie.

- Troszeczkę - dodała.

- Troszeczkę - uśmiechnął się.

Gdy ją pocałował, poczuła ciepło rozlewające się po wszystkich zakamarkach ciała. Ogień tego pocałunku podrażnił jej zmysły. Jej serce śpiewało pieśń radości, ale tym razem Eden słyszała, że oprócz niej ktoś jeszcze śpiewa na tę samą nutę.

Gdy hrabia wziął ją na rękę, zajrzał jej w oczy.

- Jesteś moją żoną.

Położyła głowę na jego piersi. Słodki zapach drewna sandałowego zmieszał się z wonią lawendy, tworząc delikatną kompozycję. Eden chłoneła ten zapach.

- Wiesz chyba...

Podniosła wzrok, czekając na ciąg dalszy. Na twarzy Trevora malowała się szczerza troska. Poglaskała więc go po policzku.

- Wiem. Mama mi wszystko wyjaśniła. Spokojnym, płynnym krokiem zmierzał prosto do jej łóżka. Położył ją na samym środku, jakby była najcenniejszym klejnotem, musnął dłonią jej ciało od ramion aż do bioder, ale sam się nie zbliżył. Tylko cienka tkanina oddzielała ją teraz od jego ciepłej dłoni.

Serce Eden biło jak oszalałe. Pragnęła, by Trevor ciągle jej dotykał, i pragnęła sama go dotykać. Zwilżyła wargi i pokonując rwący się oddech, powiedziała:

- Jesteś moim mężem.

## 19

Nogi się pod nim ugięły, gdy usłyszał te słowa. Spojrzał na zjawiskową piękność leżącą na łóżku. Eden nie potrafiła ukryć ani lęku przed nieznanym, ani pożądaniami, które płonęły w jej oczach.

- Jesteś taka piękna.

Trevor ukląkł koło łóżka i rozpiął pierwszy guzik jej koszuli. Eden nie odwróciła spojrzenia, choć jej policzki oblał rumieniec. Rozchyliła tylko usta, wydając delikatne westchnienie. Gdy palce męża musnęły jej pierś, gwałtownie zaczerpnęła tchu, ale nie poruszyła się. Kiedy wszystkie guziki były już rozpięte, Trevor rozchylił poły koszuli. W ciepłym świetle kremowe ciało Eden wyglądało jeszcze bardziej kusząco.

Gdy zaczął pieścić jej piersi wargami, całe jej ciało pokryło się rumieńcem, a ona sama wygięła się do tyłu.

- Czy to właśnie powinieneś robić? - wyszeptała.
- Czy jest ci to miłe? - zapytał, nie zmieniając pozycji.
- Bardzo.
- W takim razie powinienem.

Trevor zsunął z ciała żony koszulę, by ujrzeć ją w całej krasie. Eden miała ochotę się czymś przykryć. Tymczasem on zrzucił szlafrok, pod którym nie miał nic oprócz spodni. Eden dotknęła torsu męża. Przez warstwę twardych mięśni i delikatny meszek czuła wyraźnie bicie jego serca.

Gdy zsunął dłoń po jej brzuchu, krzyknęła, zaskoczona. Popatrzył jej w oczy.

- Zaufaj mi - poprosił, a ona pokiwała głową. Wtedy ją pocałował, a ona poczuła, jak krew w jej żyłach

rozpoczyna szaleńczy taniec. Gdy penetrował dłonią najin-tymniejsze zakątki jej ciała, poczuła, że bardzo go pragnie. Nieznane do tej pory iskry zapłonęły w jej wnętrzu.

- Proszę cię, Trevorze - szepnęła, nie mając pojęcia, o co właściwie prosi.
- Jeszcze nie, kochanie.

Wtulił głowę w jej piersi, po czym kontynuował wędrówkę po jej ciele.

- Jesteś już prawie gotowa, by mnie przyjąć - powiedział głębokim, zmysłowym głosem.

Eden poczuła, że traci kontrolę nad swym ciałem i nad swymi emocjami.

Gdy Trevor odsunął się niespodziewanie, natychmiast zatęskniła za jego ciepłem. Spostrzegła jednak, że on tylko zdejmuje spodnie. Zaniemówiła, gdy ujrzała go w całej okazałości.

W oczach Ryeburna zapłonęło rozbawienie i... coś jeszcze. Eden wstrzymała oddech, obezwładniona pożądaniem.

- Rozsuń uda - poprosił.

A gdy to zrobiła, poczuła na sobie ciepło jego dłoni.

- Jesteś już gotowa. Możesz mnie objąć nogami. Trevor uniósł jej uda i rozpoczął ostrożną – przez wzgląd na niewinność żony - wędrówkę w głąb jej czekającego nań ciała. Gdy napotkał na opór, zatrzymał się na chwilę, pieszcząc ją ze szczególną czułością, by ból zniknął pośród rozkoszy.

Eden mocniej zacisnęła uda na jego biodrach i zatonęła w cudownych doznaniach, których istnienia nie podejrzewała. Oczy jej męża jeszcze bardziej pociemniały. Odchyliła głowę do tyłu i przestała próbować cokolwiek rozumieć, zatracając się bez reszty w rozkoszy...

Dopiero później uzmysłowiła sobie, że Trevor przeżywał to samo, co ona, i że teraz trzyma ją tak mocno w ramionach, że bicie ich serc zlewa się w jedno.

Trevor przytulał żonę bez słowa. Nie był zresztą pewien, czy zdołałby cokolwiek wykrztusić. Obawiał się, że powie coś niewłaściwego, bo namiętność Eden poruszyła go do głębi. Nigdy przedtem nie doświadczył z nikim takiej jedności. Żadna z kobiet, które znał, nie dorównywała jej namiętnością, dowcipem, dumą. I tym bardziej nie nadawała się na hrabinę.

A jednak to właśnie ona została hrabiną Ryeburn.

Trevor odsunął się od żony. Zaprotestowała bez słów.

- Zaraz wrócę. - Gdy, idąc nago w stronę garderoby, poczuł na sobie jej spojrzenie, znów obudziła się w nim namiętność. Jakby na potwierdzenie podejrzania, że Eden mogłaby mieć nad nim nieograniczoną władzę, gdyby tylko zechciała. Po chwili wrócił z miską i ręcznikiem. - Pozwól, że cię umyję.

- Och, nie... - Eden spłonęła rumieńcem.

- Przeżyłaś właśnie swój pierwszy raz i powinnaś zostać potraktowana z szacunkiem i czułością. Przede wszystkim przeze mnie.

Trevor obmył jej uda ciepłą wodą i pospiesznie przykrył jej powabne ciało prześcieradłem, lękając się, by znów nie obezwładnił go jej czar.

- Dobranoc, Eden.

Eden usiadła, podtrzymując prześcieradło.

- Wychodzisz?

- Wracam do swojego pokoju. - Wstał i ruszył w stronę drzwi.

- Nie zostaniesz ze mną?

Trevor obrócił się i dojrzał błaganie w jej oczach. Niewiele brakowało, a wróciłby do łóżka, w porę się jednak powstrzymał.

- Powinnaś odpocząć.

- A jeśli ja nie chcę odpoczywać? - Posłała mu uśmiech pełen obietnic.

Trevor przełknął ślinę.

- Powinnaś odpocząć. - Nie czekając na jej reakcję, wyszedł z pokoju i zamknął drzwi nieco głośniejszym, niż zamierzał.

Pokojówka przygotowała mu łóżko, ale wcale nie wyglądało ono zachęcająco. Ryeburn zaczął krążyć po sypialni. I tak nie uda mu się zasnąć. Przeczesał włosy dłonią. W porządnych kobietach nie powinna drzemać taka namiętność. Porządne kobiety nie kuszą mężów powabem swego ciała. Porządne kobiety nie zakłócają myśli swoich małżonków.

Planował ożenić się z kimś, kto będzie budził jego ciepłe uczucia, spodziewał się spokojnej koegzystencji, wzajemnego szacunku i podziwu. I jednego albo dwóch potomków. Nie spodziewał się, że połowica będzie wzniecać w nim taki pożar krwi, że zapomni przy niej o tym, iż jest dżentelmenem, a ona damą.

Może to niedługo minie. Tak, na pewno. Wszystkie te emocje z czasem osłabną. Kochał się dziś z nią po raz pierwszy. W Londynie, gdy już powróci do swych obowiązków, jego pożądanie przybierze cywilizowaną formę. Można się było spodziewać takiej reakcji, skoro od kiedy spotkał Eden, myślał tylko o niej.

Trevor St. John zagłuszył w sobie głos, który mówił mu, że nie powinien się łudzić.

Eden patrzyła, jak za jej mężem zamykają się drzwi. A więc naprawdę zostawił ją samą po tak intymnych przeżyciach? Minęło parę minut, nim sobie uświadomiła, że on naprawdę nie wróci. Otuliła się prześcieradłem i ruszyła w stronę drzwi. Jeśli on nie przyjdzie do niej, to ona pójdzie do niego. Jej ręka

spoczęła na gałce, ale jej nie przekreśliła. Nie może tam wejść. Miał takie zimne oczy, gdy ją opuszczał.

Chciała wrócić do łóżka, ale jej wzrok spoczął na miejscu, w którym oboje przeżywali chwile rozkoszy. Obróciła się na pięcie i podbiegła do okna. Dlaczego odszedł tak nagle? Czyżby nie chciał z nią zostać?

Odpowiedź, która przysła jej do głowy, niemal zbiła ją z nóg. Eden z trudem oddychała. Spełnił swój obowiązek. Małżeństwo zostało skonsumowane. I nie ma znaczenia, że ona przeżyła najwspanialszą noc swego życia - jego zadanie już się skończyło.

Wciąż nie mogła złapać tchu. Łzy napłynęły jej do oczu i zaczęły toczyć się po policzkach. Otarła je gniewnym gestem. Jak mogła zapomnieć, że tylko przypadkiem została hrabiną Ryeburn? Że Trevor ożenił się z nią z poczucia obowiązku!

Jak zawsze miała pecha: wyszła za człowieka, któremu w gruncie rzeczy na niej nie zależy.

Popatrzyła w okno, w stronę zachodu. Mamo, dlaczego cię tu nie ma? Muszę z tobą porozmawiać. Tęsknię za tobą.

To by zresztą i tak niczego nie rozwiązało. Matka na pewno powiedziałaaby o wszystkim ojcu, a ojciec... no cóż, ojciec prawdopodobnie zabiłby Trevora. Ojciec strzegł jej jak oka w głowie. Jej małżeństwo będzie dla nich wielkim zaskoczeniem. Nie miała ochoty im mówić, że Trevor ożenił się z nią tylko z poczucia obowiązku.

Wpakowałaś się w niezłe tarapaty, Eden. Tym razem - na dobre.

Trevor stał nad swoim biurkiem w gabinecie. Niebo było wciąż niebieskoszare, bo noc walczyła jeszcze o panowanie nad horyzontem. Na szczęście niedługo wzejdzie słońce. I wtedy wyjadą.

Trevor wiedział, że wygląda okropnie. Oka nie zmrużył przez całą noc. Gdy się przekonał, że i tak nie zaśnie, wstał, ubrał się i zszedł do gabinetu. Dwie

godziny później borykał się z tymi samymi myślami, które prześladowały go w sypialni.

Sięgnął do kieszeni i wydobył monetę. Nosił ją zawsze przy sobie. Obracając ją w palcach, przeczytał inskrypcję na rewersie. *Numquam tuas spes dedisce*. W jego marzeniach nie było nigdy upartej hrabiny, na widok której on, hrabia Ryeburn traci głowę. Motto otaczało wizerunek łabędzia. Zabawne. Nigdy przedtem nie zwrócił na to uwagi. Często spoglądał na wizerunek łabędzia, który zdobił herb jego rodu.

Jeszcze raz obrócił monetę. Wenus wydała mu się szczęśliwsza niż poprzednio. Nie, to tylko zmęczenie. Jak można wyobrazić sobie, że postać wyryta na monecie może zmienić wyraz twarzy.

Moneta nie była chyba talizmanem. Nie potrafiła w każdym razie osłonić go przed ciosami losu. Szczęście przestało mu dopisywać wtedy, gdy spotkał Eden. To raczej ona, a nie moneta przynosi mu pecha.

Położył monetę na biurku i ruszył do wyjścia. Zatrzymał się jednak w drzwiach. Wrócił, by wziąć monetę i z uśmiechem na twarzy umieścić ją ponownie w kieszeni. Przyzwyczyił się już do tego, że zawsze ma ją przy sobie.

Obrócił się ponownie i zamarł bez ruchu. W drzwiach stała Eden. Oczy miała zaczerwienione, a jej cera nie lśniła zwykłym blaskiem.

- Wcześniej wstałaś.

- Ty także. Nie mogłam zasnąć. Przyszłam, żeby znaleźć coś do czytania przed śniadaniem.

- Dlaczego nie obudziłaś pokojówki? Przyniosłaby ci coś do jedzenia.

- To, że ja nie mogłam zasnąć, nie znaczy jeszcze, że ta biedna dziewczyna też musi wstać skoro świt.

- To jej obowiązek.

- Być może, ale ja nie lubię tyranizować ludzi.

- Rób, co chcesz. Jesteś hrabiną.

- A ty hrabią. - Eden poszła w stronę biblioteki.

Co ona miała na myśli? Trevor pokręcił głową. Oczywiście, że jest hrabią. Może zrozumiałby jej słowa, gdyby był trochę przytomniejszy. Chociaż nie, chyba nie.

Parę godzin później wszyscy domownicy i goście byli już po śniadaniu i pakowali swoje rzeczy przed powrotem do Londynu. Przed rezydencją czekały dwa powozy - jeden miał odwieźć do domu Lily, panią Roberts i lorda Toddingtona, drugi zaś hrabiego i hrabinę Ryeburn. Gdy goście już odjechali, Trevor pomógł Eden wspiąć się po schodkach i sam wsiadł za nią. Eden zaszyła się w najdalszy kąt, zwrócona twarzą do okna. Gdy Ryeburn zajął swoje miejsce, dał stangretowi znak do odjazdu. Powóz się zakołysał. Eden milczała, a Trevor nie ufał sobie na tyle, by się do niej odezwać.

Wyciągnął nogi i oparł głowę o poduchy. Może uda mu się zdrzemnąć trochę podczas podróży.

## 20

- Hrabia i hrabina Ryeburn.

Eden wstrzymała oddech, idąc u boku Trevora. Wszystkie spojrzenia się na nich skupiły, gdy tylko weszli do sali. Trevor ją zresztą ostrzegał. Dopiero przedwczoraj przyjechali do Londynu i po raz pierwszy występowali publicznie jako para małżeńska.

Po powrocie Trevor kazał przewieźć jej rzeczy do swego domu. Eden nie potrzebowała wiele czasu, by się zadomowić na nowym miejscu. Zabrała do Europy tylko część swojej garderoby. Reszta została w Massachusetts.

Hermes stał teraz w stajniach Ryeburna. Zmiana miejsca pobytu zupełnie na niego nie wpłynęła. Stajnie natomiast bardzo zyskały na pojawieniu się dwóch nowych koni, wałacha i deresza. Eden zastanawiała się nawet, czy fakt, iż hrabia dodał ją także do kolekcji swoich zdobyczy, napawa go równie wielką dumą.

Niezliczone kandelabry rzeźbiście oświetlały ogromną salę balową. Gdy Eden i Trevor pojawili się, pomruk na sali wzmógł się znacząco. Wszyscy szeptali coś do siebie nawzajem, przesłaniając usta dłońmi lub wachlarzami.

- Odwagi, Eden - szepnął Ryeburn. - Jesteś teraz hrabiną.

- Zapominasz, że jestem także Amerykańskim Słowikiem. Tłumy mnie nie przerażają - odparła Eden.

- Zdaje się, że powinienem raczej przestrzec tłumy - zachichotał Trevor.

Po chwili usłyszeli dudniący głos:

- Znakomite posunięcie, Ryeburn.

Eden odwróciła się i rozpoznała księcia Welkesa. Księżę uśmiechnął się do nich promiennie.

- Moja droga. - Ucałował jej dłoń. - Tak się cieszę, że jednak nie opuści nas pani. Już się obawiałem, że będę musiał jechać za ocean, żeby rozegrać porządną partyjkę wista.

- Nie wątpię, że mój ojciec byłby szczęśliwy, mogąc poznać waszą wysokość. - Eden odwzajemniła uśmiech. Przynajmniej ten człowiek szczerze się ucieszył na jej widok. - Powinien księżę zaplanować tę podróż.

- Kto wie, hrabino. Może zagramy w wista dziś wieczorem?

- O ile tylko księżę zechce być moim partnerem.

- Bardzo panią lubię, moja bezpośrednia Amerykanko. - Księżę huknął śmiechem. Poklepał hrabiego po plecach. - Od razu wiedziałem, że zdobyła twoje serce. Nie zaprzeczaj, Ryeburn. Wycieczka do Gretna Green. No, no. Gdybym był o trzydzieści lat młodszy, zrobiłbym to samo.

- Tak, wasza wysokość.

- Szczerze mówiąc, nie przypuszczałem, że będziesz miał dość oleju w głowie, żeby ożenić się z tą dziewczyną. Zawsze byłeś taki dystyngowany. - Księżę umilkł na chwilę, a potem znów się uśmiechnął. - A zresztą wszystko jedno. Pokazałeś, na co cię stać, gdy nadeszła odpowiednia chwila. Ha.

Książę znów się roześmiał. Eden mu zawtórowała, widząc pełen bóleści wyraz twarzy swojego męża. Zdaje się, że on wcale się dobrze nie bawił.

- Odwagi, Ryeburn - szepnęła.

- Ale zabawne - mruknął pod nosem.

Gdy książę odszedł, Trevor zaprowadził swą żonę na parkiet. Eden zapomniała na parę minut o wszystkich troskach i rozkoszowała się tańcem w jego objęciach. Walc był stanowczo za krótki. Gdy muzyka ucichła, mąż odprowadził ją na bok. Eden miała ochotę znów z nim zatańczyć, znów znaleźć się w jego objęciach, ale jego sztywna postawa zdradzała, że on tego wcale nie pragnie. Pochylił się do jej ucha i szepnął:

- Zdaje się, że zjawiała się panna Baylor. - Skinął głową, wskazując wejście.

Lily stanęła właśnie u szczytu schodów. Rozglądała się po sali, szukając znajomych twarzy. Pani Roberts stała koło niej.

- Mogę do niej podejść?

Trevor spojrzał na nią ze zdziwieniem.

- Oczywiście. To przecież twoja przyjaciółka. Eden ujęła spódnicę i pospieszyła w stronę schodów.

- Lily.

Panna Baylor obróciła głowę. Oczy jej zapłonęły na widok Eden. Zeszła po schodach i chwyciła przyjaciółkę za rękę.

- Jakże się cieszę, że tu jesteś. Miałam nadzieję, że uda nam się porozmawiać.

- Dziwne, że nie widzimy się codziennie. Pani Roberts objęła ją ramieniem.

- Lady Ryeburn. Świetnie pani wygląda. Napisałam już do pani rodziców o tym, co się wydarzyło.

- Dziękuję, pani Roberts. Ja zdążyłam tylko wysłać im króciutką wiadomość.

- Jestem pewna, że panie chcą swobodnie porozmawiać. - Pani Roberts skinęła głową i oddaliła się.

Eden pokręciła głową.

- Można by pomyśleć, że to ona zaaranżowała to małżeństwo.

Lily odsunęła się trochę i spojrzała badawczo na przyjaciółkę.

- Wyglądasz, jakbyś niewiele spała.

- Bo rzeczywiście niewiele spałam.

- Och, Eden.

- To nic takiego. Naprawdę. Czuję się świetnie. Czy pani Roberts dobrze cię traktuje?

- Nie ma innego wyjścia, ponieważ lord Toddington odwiedza nas codziennie.

- Jeszcze jeden hrabia i pani Roberts będzie łagodna jak baranek.

- Pani Roberts uważa, że powinniśmy jak najprędzej wrócić do domu.

- Dlaczego?

- Jej zdaniem nie możemy tak długo żyć na koszt twojego ojca.

- To bzdura. Papa zakładał, że zabawimy tu do końca sierpnia. Wiesz przecież, że traktuje cię jak członka rodziny. A nawet gdyby nie chciał zapłacić za dom, ja to zrobię. Lily, nie możesz mnie teraz opuścić.

- Dziękuję.

- Nie ma za co dziękować. Kierują mną wyłącznie egoistyczne pobudki. A poza tym, jeśli wyjedziesz teraz, to Toddington nie zdąży ci się oświadczyć.

- Eden! - Lily zachichotała. - Obiecał, że będzie tu dziś wieczorem.

Widziałaś go?

- Jeszcze nie, ale w tym tłumie można nie zauważyć nawet samego króla.

- Będziesz dzisiaj śpiewała?

- Nikt mnie o to nie prosił. Ale w razie czego, będziesz mi akompaniować, prawda?

- Przecież nigdy cię nie zawiodłam. Przyjaciółki wzięły się pod ręce i zniknęły w tłumie.

Trevor patrzył ze swego kąta, jak kawalerowie, jeden po drugim, tańczą z jego żoną. W rękę trzymał drinka, nieco mocniejszego niż lemoniada. Drugą dłoń zacisnął w pięść. Każdy łyk płynu palił go aż w żołądku. Chyba powinienem coś zjeść. Patrzył, jak jego żona uśmiecha się do partnera, wirując z nim dokoła sali.

- Zdaje się, że jesteś zły. - Toddington pojawił się u jego boku.

- Czy ci mężczyźni nie wiedzą, że ona jest mężatką?

- Jedni wiedzą, inni nie. Trevor spojrzał na przyjaciela. Toddington wzruszył ramionami.

- Przecież tylko z nią tańczą. -Uhm.

- Jeśli tak cię to martwi, to sam z nią zatańcz.

- Zdaje się, że to zrobię.

Trevor wcisnął swoją szklankę hrabiemu i ruszył na parkiet. Postukał młodzieńca w ramię.

- Przepraszam, ale chciałbym zatańczyć ze swoją żoną. Dzentelmen był wyraźnie zaskoczony, ale odsunął się. Eden uśmiechnęła się do niego przepraszająco, co jeszcze bardziej zirytowało Trevora. Wyciągnął ramiona i ruszyli do tańca.

Gdy sunęli po parkiecie, Eden milczała i tylko patrzyła mężowi w oczy, jakby pytała o jego intencje. Nie odpowiedział. Westchnęła i skoncentrowała się na tańcu. Ryeburn wiedział, że powinien się jakoś wytłumaczyć, ale nie potrafiłby tego zrobić. Rozkoszował się harmonią jej ruchów i tym, jak idealnie do siebie pasują.

Taniec się skończył. Hrabia spojrzał w oczy swojej żony. Do diaska, ten błękit wytrąca go z równowagi. Nieco oszołomiony nie zauważył zbliżającej się ku nim gospodyni balu. Oprzytomniał dopiero, gdy stanęła tuż obok.

- Czy wolno zapytać pańską małżonkę, czy nie zechciałaby dla nas zaśpiewać?

Tego jeszcze tylko brakowało. Ryeburn marzył tylko o tym, by zabrać ją natychmiast do domu, do swego łóżka...

- Z przyjemnością zaśpiewam, droga pani. Gospodyni wzięła Eden pod rękę.

- Tak się cieszę, że zdołali państwo do nas przyjść, pomimo swych ostatnich przygód.

Panie odeszły zbyt daleko, żeby Trevor mógł usłyszeć dalszy ciąg ich rozmowy. Zaprażył nagle odzyskać szklanekę ze swym drinkiem.

Hrabia Ryeburn cierpiał na ból głowy. Stanowczo za dużo wypił poprzedniego wieczoru. A dlaczego? Śmiał się sam z siebie. Pił za dużo, ponieważ obawiał się, że żona go skompromituje. Tymczasem Eden zachowywała się nienagannie i oczarowała wszystkich, którzy ją spotkali po raz pierwszy. To przecież nie jej wina, że przyciąga uwagę. Zapewne przyzwyczała się już do tego i dlatego znosi to z zimną krwią.

On także się do tego z czasem przyzwyczai.

Przeciągnął się i skrzywił. Od lat tak sobie nie pofolgował. Ból głowy przypominał mu, jak do tego doszło. Jak ojciec mógł spędzać w ten sposób każdy wieczór? Trevor z wielką ostrożnością postawił stopę na podłodze. W porządku. Jakoś się udało. Gdy wstawał, serce powędrowało mu natychmiast w stronę głowy. Zamknął oczy, by nieco ukoić ból głowy, i chwycił się kolumny, by utrzymać równowagę. Gdy kołatanie serca trochę się uspokoiło, ruszył w stronę garderoby. Pochlapał twarz wodą, ale niewiele mu to pomogło. Może lepiej zadzwonić po lokaja, by pomógł mu się ubrać.

Duma mu na to nie pozwoliła.

Ubierał się powoli, poważniejsze kłopoty miał jedynie z zawiązaniem fularu. Palce wcale nie chciały go słuchać.

Pukanie do drzwi znów przyprawiło go o potworny ból głowy.

- Proszę.

W drzwiach pojawił się Finch.

- Przepraszam, milordzie. Ma pan gościa.

- O tej porze? - Trevor skrzywił się, słysząc dźwięk własnego głosu.

- Hrabina wdowa.

- Proszę powiedzieć, że za chwilę do niej zejdem. Finch skinął głową i wyszedł.

Trevor domyślał się, po co przyszła Vanessa. Fatalnie sobie wybrała godzinę. Włożył buty i zszedł na dół, by przywitać się z macochą.

Vanessa czekała na niego w bibliotece. Wyjęła jakąś książkę z półki, ale Trevor wiedział, że zrobiła to tylko na pokaz. Nigdy nie widział, by naprawdę coś czytała.

- Dzień dobry, Vanesso.

Odłożyła książkę i obróciła się ku niemu.

- A, jesteś. Czy ty wiesz, co zrobiłeś?

- Nie, Vanesso. Ale liczę, że mi powiesz.

- Ożeniłeś się z tą... artystką. Czy ty nie masz szacunku dla swego nazwiska?

Hrabia nie podniósł głosu, ale słychać było, że ledwo hamuje wściekłość.

- Nie waż się nigdy więcej stawiać pod znakiem zapytania mego szacunku dla własnego nazwiska.

Macocha pobladła i przycisnęła dłonie do piersi.

- Ona jest Amerykanką. Musisz unieważnić to małżeństwo.

- Na to jest już za późno. Ona jest moją żoną i tak właśnie zostanie.

- Ależ ona jest prostytutką...

Trevor zaśmiał się szyderczo, nie zważając na dotkliwy ból głowy.

- Nigdy nie określiłbym w ten sposób Eden. Prędeż -ciebie.

Vanessa otworzyła usta.

- Jak śmiesz?

- Twoje tyrady śmiertelnie mnie nudzą. Moja siostra zawsze będzie mogła mieszkać w moim domu, ale ty nie zagrzejesz tam miejsca, jeśli ośmielisz się wypowiedzieć jeszcze jedno słowo przeciwko mojej żonie. Miłego dnia. -  
Hrabia obrócił się, by wyjść z biblioteki.

- Widzę, że nie jesteś dziś sobą - pisała Vanessa. - Odwiedzę ciebie i twoją miłą żonę kiedy indziej.

Ryeburn nawet się nie odwrócił, tylko rzucił:

- Teraz już lepiej. - I wyszedł.

Poszedł prosto na śniadanie. Na stole stały jajka, bażancie mięso, szynka, owoce i krem jajeczny, ale Trevorowi wystarczył rzut oka na jedzenie, by czym prędzej opuścił pokój. Poprosił, by Finch przyniósł dzbanek kawy do gabinetu.

Gdy kamerdyner przyniósł mu kawę, powiedział:

- Nie ma mnie w domu dla gości, Finch.

- Tak, proszę pana. Czy mam tak powiedzieć lordowi Toddingtonowi?

Trevor wsparł głowę na dłoniach i jęknął.

- Co on tu robi tak wcześnie?

- Nie wiem. Czy mam go odesłać, sir?

- Nie. Wprowadź go tutaj.

- Oczywiście, sir.

Finch postawił dzbanek z kawą na stole i wyszedł. Po chwili zjawił się Toddington.

- Dzień dobry, Ryeburn. Trevor przymrużył oczy.

- Nie taki dobry. Christopher zachichotał.

- Przypuszczałem, że tak właśnie będziesz się czuł. Próbowalesz już klina?

- Co za okrutny pomysł, człowieku. Wystarczy mi kawa. - Hrabia nalał sobie filiżankę gorącego płynu.

- Słyszałeś coś o Sterlingu?

- Nic. Ale minęło zaledwie parę dni. Wynająłem człowieka, który ma zdobyć jakieś informacje. - Kawa palila Trevora w usta, ale przynajmniej nie musiał pędzić do najbliższej miski.

Toddington odchrząknął.

- Potrzebuję twojej rady.

- Na temat? - Trevor uniósł brew.

- Na temat panny Baylor. - Christopher zarumienił się lekko. - Rozumiem, że jest za wcześnie na takie pytania, ale czy sądzisz, że mogą mnie spotkać jakieś niechętne reakcje, jeśli ożenię się z Amerykanką?

- Rozważasz małżeństwo z tą dziewczyną? - Hrabia z wrażenia zapomniał o bólu głowy. - Przecież prawie jej nie znasz.

- Mógłbym to samo powiedzieć o tobie.

- To była zupełnie inna sytuacja.

- Być może. Zastanawiałem się, czy nie mógłbym porozmawiać z twoją żoną o pannie Baylor. Dowiedzieć się czegoś na temat jej pochodzenia, rodziny.

- Co za pomysł? Eden przyjaźni się z panną Baylor. Z pewnością powie jej o twoim pytaniach.

- Nie możesz jej tego zabronić? - Toddington spojrział ze zdziwieniem na przyjaciela.

- Zabronić? Nigdy tego nie próbowałem. Udzieliłem jej natomiast tysiąca dobrych rad, które kompletnie zignorowała.

- Przecież jest twoją żoną.

- Wiem o tym.

Panowie patrzyli na siebie w milczeniu przez chwilę. Toddington odezwał się pierwszy.

- Zapomniałbym zupełnie. - Postukał palcem w wewnętrzną kieszeń i wydobyl z niej kopertę.

- Co to jest?

- Twoja nagroda za hrabinę.

- Nagroda?

- Pieniądze, które ci jestem winien. Wygrałeś zakład, choć pomógł ci w tym zbieg okoliczności. - Toddington podał przyjacielowi kopertę.

Ryeburn wyjął z koperty dwieście funtów.

- Ciekawe, skąd Sterling wziął te pieniądze?

- Pewnie wydusił je od jakiejś mężatki, która nie chciała, by mąż dowiedział się o jej rozrywkach.

Trevor położył pieniądze na stole.

- Chyba masz rację. To brudne pieniądze.

- Kup za to żonie jakieś świecidełko. W końcu to dzięki niej wygrałeś. Ożeniłeś się przed upływem miesiąca.

- Owszem, ale i tak bym wygrał. Podjąłem wszelkie stosowne kroki.

- W to nie wątpię.

- Mogę ci przekazać listę odpowiednich kandydatek, jeśli chcesz.

Christopher roześmiał się.

- Zatrzymaj ją sobie.

Eden nie miała zamiaru podsłuchiwać, gdy jednak przechodziła obok gabinetu w drodze na śniadanie, usłyszała, że panowie rozmawiają o niej. Ciekawość zwyciężyła, teraz jednak Eden żałowała, że nie trzymała się zasad dobrego wychowania. Wolałaby nie wiedzieć, że jej mąż założył się, iż ożeni się z nią lub z kimkolwiek innym w ciągu miesiąca. Jak mógł być tak gruboskórny?

Człowiek, który uważa, że małżeństwo można dokładnie zaplanować.

Człowiek, który tworzy listy odpowiednich kandydatek. Człowiek, który stawką w zakładzie czyni własną i cudzą przyszłość.

Jak mogła zakochać się w człowieku bez serca?

Eden otworzyła usta. Wielkie nieba, taka jest przecież prawda. Zakochała się w Trevorze.

Lily będzie się z niej śmiała.

## 21

- Nie zamierzam tu zostać, jak gdyby nic się nie stało. -Eden wepchnęła kolejną suknię do walizy i wróciła do garderoby.

- Nie możesz tak po prostu wyjechać. Co ludzie powiedzą? - Lily wyjęła suknię, wygładziła wszystkie fałdy i złożyła ją starannie.

- Nic mnie to nie obchodzi. Niech się Ryeburn o to martwi. - Wrzuciła kolejny strój do walizy i otworzyła szufladę. Uklękła i wyjęła całe naręczce bielizny.

- Dokąd się wybierasz? - Lily złożyła kolejną suknię zdenerwowanej przyjaciółki.

Eden przykucnęła.

- Obawiam się, że nie ma mowy o powrocie do domu. Wysłałam za męża za zimnego gada. Nie sądzę, by chciał mnie ścigać aż do Massachusetts.

- A chciałabyś, żeby cię ścigał?

- Tak, do diabła! Jak mogłam być tak głupia, żeby się w nim zakochać? - Eden upuściła bieliznę i sięgnęła po chusteczkę, by otrzeć łzy.

- Przestań płakać. I tak masz już zaczerwienione oczy. -Panna Baylor zaczęła szlochać z przyjaciółką. - Nie mogę na ciebie patrzeć, gdy jesteś taka nieszczęśliwa.

Eden starała się powstrzymać łzy. Powróciła do pakowania, przerywając je od czasu do czasu, by osuszyć oczy.

- Czy chciałabyś, żebym pojechała z tobą?

Eden pokręciła głową, próbując uspokoić rwący się oddech.

- Wolałabym, żebyś tu została i zdobyła swego lorda Toddingtona.

- Z przyjemnością bym z tobą pojechała.

- Nie, Lily. Wystarczy, że jedna z nas ma złamane serce. - Eden włożyła ostatnią rzecz do walizy.

- Nie powiedziałaś mi jeszcze, dokąd jedziesz.

- Do Concordii. W końcu to jest teraz mój dom. - Eden wstała i chwyciła bagaże. - Finch zaraz wynajmie mi powóz.

- Gdzie jest lord Ryeburn?

- U Toddingtona. Muszą omówić jakieś interesy. Gdy Eden zeszła na dół, natychmiast podbiegł do niej zatroskany kamerdyner.

- Czy życzy pani sobie czegoś, milady?

- Tak, Finch. Proszę, byś wynajął dla mnie powóz. Wracam do Concordii.

- Czy pan hrabia o tym wie?

- Nie, Finch. Możesz go o tym poinformować po moim wyjeździe.

- Przepraszam, pani hrabino, ale służba się pani nie spodziewa. Część z nich może mieć wolne.

- Nic nie szkodzi. Potrafię się o siebie zatroszczyć. Wiem, że tutaj nie jest to przyjęte, ale nie zamierzam czekać na powrót służby. Wyjeżdżam.

- Milady...

- Finch, czy mógłbyś wezwać powóz?

Eden skrzyżowała ramiona na piersiach i rzuciła mu groźne spojrzenie.

- Oczywiście, milady. - Kamerdyner uklonił się i pospieszył spełnić rozkazy.

Lily spojrzała na zamykające się za nim drzwi.

- Dobrze się wczuwasz w rolę hrabiny.

- Nie lubię tego robić. Biedny człowiek. Rozdarty między lojalnością wobec hrabiego i obowiązkiem wobec hrabiny - Eden westchnęła. - Każę stangretowi, by cię odwiózł do domu. Pani Roberts przyjdzie tu po ciebie dopiero za godzinę.

- Dziękuję, ale wolę się przejść. Przyda mi się łyk świeżego powietrza.

- Pani Roberts zrugą cię za to, że spacerujesz bez towarzystwa.

- Wiem, ale zaryzykuję. - Lily uściskała przyjaciółkę. - Poślij po mnie, jeśli poczujesz się samotna.

- Do widzenia, Lily.

Panna Baylor naciągnęła rękawiczki i narzuciła szal na ramiona. Jeszcze raz pomachała Eden i wyszła.

Eden powiewała chusteczką, póki Lily nie zniknęła za rogiem. Później jeszcze przez chwilę stała w drzwiach i patrzyła w ślad za nią. Czowała się rzeczywiście bardzo osamotniona, ale nie była tak samolubna, by zniweczyć szansę przyjaciółki na szczęście. Miała nadzieję, że Lily trafi trochę lepiej niż ona.

Biblioteka Toddingtona nie była tak obszerna jak jego własna. Christopher nigdy, nawet za czasów szkolnych, nie czytał wiele. Teraz szukał jakiejś książki na półkach.

- Ożenił się z nią i złożył przysięgę.

- Ale przecież jest królem. - Toddington szukał czegoś wytrwale.

- To jeszcze nie znaczy, że może rozwieść się dla kaprysu.

- Nie sądzę, by to były kaprysy i fanaberie. Od lat mieszkają w różnych krajach i teraz, gdy ona chce zostać królową...

Do biblioteki wszedł lokaj.

- Przepraszam, milordzie. Niejaka panna Baylor chciałaby się z panem zobaczyć. - Lokaj nie ukrywał swej dezaprobaty.

Toddington prawie się potknął.

- Panna Baylor? Tutaj?

- Najprawdopodobniej pani Roberts depta jej po piętach - zauważył

Trevor.

- Młoda dama... przyszła sama. - Służący uniósł nieco brodę.

Christopher posłał znaczące spojrzenie przyjacielowi, a potem zwrócił się do lokaja.

- Proszę ją wprowadzić.

- Oczywiście, milordzie.

Po chwili do biblioteki weszła Lily.

- Dzień dobry, panno Baylor. - Toddington uśmiechnął się i podszedł, by się z nią przywitać. Dziewczyna uniosła brodę i zignorowała jego powitanie.

- Zechce pani usiąść? - Uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nie, dziękuję. - Lily spoglądała na obu dżentelmenów z surową miną.

Ci wymienili zdziwione spojrzenia. Toddington zapytał:

- Czym mogę służyć?

- Niczym. - Lily otworzyła usta, by mówić dalej, ale szybko je zamknęła.

Jej pierś unosiła się w rytm przyspieszonego oddechu. - Przyszłam, żeby powiedzieć obu panom... och, gdy tylko pomyślę o biednej Eden...

- Co się stało z Eden? - Trevor wstał, przerażony nie na żarty.

- Po tym, co pan jej zrobił, nie zdziwiłabym się, gdyby nie chciała z panem rozmawiać. - Panna Baylor wybuchnęła płaczem.

Toddington podbiegł natychmiast i podał jej chusteczkę.

- Wielkie nieba, Lily. Co się stało?

- I pomyśleć, że pan brał w tym udział. Nigdy bym się tego po panu nie spodziewała. - Lily otarła łzy i wydmuchała nos. Rzuciła Christopherowi oskarżycielskie spojrzenie osoby zdradzonej.

- Gdzie jest Eden? Czy jest zraniona?

- Oczywiście, że jest zraniona. Nie obchodzi mnie pański tytuł. Jest pan nadętym potworem - szlochała Lily.

Trevor chwycił ją za ramiona.

- Proszę mi powiedzieć, co się stało. Toddington zdjął jego ręce z ramion gościa.

- Ryeburn, uspokój się. Niczego się nie dowiemy, jeśli ją wystraszysz.

- Nie jestem przestraszona. Jestem wściekła i rozczarowana. - Panna Baylor szlochała w chusteczkę. - Jak mógł pan być tak okrutny?

- O czym pani mówi? - Hrabia przeczesał dłonią czuprynę, by zaraz nie udusić tej dziewczyny.

- Eden wie już, dlaczego pan się z nią ożenił. - Lily spojrzała na niego płomiennym wzrokiem.

- Oczywiście, że wie. To żadna tajemnica. Z powodu Sterlinga.

- Z powodu zakładu. - Lily znów załkała, zerknęła na Toddingtona i zaląła się łzami. - Jak pan mógł?

- Z powodu zakładu? - powtórzył Toddington. Na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

- Tak, z powodu zakładu. Jak można zakładać się o małżeństwo?

Trevor miał ochotę krzyknąć na Lily. W głowie mu się kręciło od jej nieskładnych wypowiedzi.

- Czy Eden jest ranna?

- Nie. Skąd to panu przyszło do głowy? Odetchnął z ulgą.

- Gdzie ona jest?

- Nie wiem.

Znów ogarnął go niepokój.

- Co to znaczy, że pani nie wie?

- Postanowiła wyjechać. Nie zamierza zostać w Londynie i być celem pośmiewiska. - Panna Baylor pociągnęła nosem.

Toddington poklepał ją po dłoni.

- Wcale nie jest tak źle. Lily cofnęła rękę.

- A pan nie widzi w tym nic niestosownego, prawda? Przecież, gdy wszyscy się dowiedzą o tym zakładzie, Eden stanie się obiektem drwin.

Trevor przypomniał sobie krążące w towarzystwie plotki o błazeństwach swego ojca i pociemniało mu w oczach.

- Nikt się nie ośmieli żartować z hrabiny Ryeburn. A poza tym nikt oprócz mnie i Christophera nie słyszał o tym zakładzie. Wie jeszcze Sterling, ale on nie waży się przyjechać do Londynu. - Zaczął krążyć po pokoju. - To nie był poważny zakład. Zaledwie coś w rodzaju głupiego kaprysu. Eden z pewnością wie, że nie ożeniłem się z nią, żeby wygrać sto funtów.

- Dwieście - mruknął Toddington. Hrabia spiorunował go wzrokiem.
- To bez znaczenia. Czy domyśla się pani, dokąd ona mogła pojechać?
- Do Concordii.

Dlaczego od razu tego nie powiedziała?

- Całe szczęście, że nie wpadła na to, by wyjechać do Massachusetts.
- Myślała o tym.

Ryeburn zaniemówił na chwilę.

- Dlaczego tego nie zrobiła?
- Musi pan sam ją o to zapytać. - Wzruszyła ramionami Lily.

Finch czekał na hrabiego w holu.

- Przepraszam, milordzie. Lady Ryeburn wyjechała.
- Wiem o tym, Finch. O której?
- Godzinę temu. Powiedziała, że jedzie do Concordii.
- To także wiem. Proszę mnie spakować.
- Czy mam przygotować powóz, sir?
- Lady Ryeburn nie zabrała powozu?
- Nie, milordzie. Wynajęła inny.
- Zapewne z twoją pomocą. Kamerdyner miał zboląłą minę.
- Ostrzegałem panią, że w Concordii nie będzie całej służby, ale nie

chciała słuchać.

- Nie dziwię się. - Trevor pokręcił głową. - Umówiłem się z lordem Wellesleyem na balu u Greyfolke'ów, by przedyskutować jego propozycje legislacyjne. Do diaska! Muszę tam być. Powóz ma być gotowy do drogi jutro rano.

- Oczywiście, sir. W gabinecie czeka na pana stos korespondencji. - Finch ukłonił się i odszedł.

Trevor poczuł, że dom ogarnęła dziwnie melancholijna atmosfera, jakby mury też czuły, że jej tu nie ma. Sam zapragnął usłyszeć jej śpiew i odgłosy jej kroków.

Cóż za bzdury. Eden mieszkała w tym domu zaledwie dwa dni. Trevor miał nadzieję, że te fantazje przestaną go prześladować po ślubie. Tymczasem z każdym dniem żona fascynowała go coraz bardziej.

Spojrzał na stertę kopert leżącą na biurku. Nie mógł od razu za Eden pojechać, skoro tylu ludzi na niego liczyło. Westchnął ciężko i otworzył pierwszą kopertę. Gratulacje od lorda i lady Lockwood. W drugiej i trzeciej kopercie znalazł także życzenia. Autorka czwartego listu zapraszała jego i hrabinę Ryeburn na swój bal.

We wszystkich listach znalazł słowa uznania pod adresem swej żony. Przepęłniła go duma. Eden przyjechała do Anglii tak niedawno, a już zdążyła oczarować tylu bywalców londyńskich salonów. Na biurku leżała otwarta gazeta. Trevor zwrócił uwagę na wzmiankę o swoim małżeństwie z Amerykańskim Słowikiem. Wspomniano o ich romantycznej ucieczce do Szkocji. Spodziewał się, że dotkną go te pogłoski o skandalu. Ze zdziwieniem stwierdził jednak, że wcale o to nie dba. Opinia towarzystwa nie ma dla niego żadnego znaczenia. Z tej notatki wszyscy wywnioskują, że uwiódł pannę Grant i musiał się z nią ożenić. Wcale go to jednak nie obeszło.

Podniósł się z krzesła. Nie bardzo rozumiał, dlaczego niczym się nie przejmuje. Dlaczego nie interesują go cudze opinie? Eden była jego żoną, pragnął o nią dbać, pragnął ją uwielbiać, pragnął jej bronić - i czuł, że wszystkie swe powinności wypełni z największą przyjemnością. Powie jej to przy najbliższej okazji.

Z lżejszym sercem zostawił resztę korespondencji na biurku.

Eden stała na schodach z walizą w ręku. Nic dziwnego, że stangret zaczął się śmiać, gdy mu powiedziała, że jest hrabiną. Sama czuła się raczej jak włóczęga. Stangret czekał koło niej, aż ktoś otworzy drzwi. Eden zastanawiała się, czy pani Byrd jest w domu, czy też wzięła wolne.

Lokaj wychylił głowę przez drzwi.

- Lady Ryeburn! - wykrzyknął i otworzył drzwi na oścież. - Proszę wybaczyć, milady. Nikt mnie nie uprzedził o przyjeździe pani hrabiny.

- Nikt o tym nie wiedział.

- Czy to naprawdę jest hrabina Ryeburn? - Stangret podrapał się w czoło.

- Oczywiście. Proszę pójść do kuchennych drzwi. Dostaniecie coś do zjedzenia. - Lokaj odsunął stangreta i wziął bagaże Eden.

- Dziękuję... przepraszam, ale chyba nie wiem, jak masz na imię.

Lokaj ukłonił się.

- John, milady.

- Dziękuję, Johnie. Czy pani Byrd jest w domu?

- Tak, milady.

Ochmistrzyni pojawiła się właśnie w holu i otworzyła usta ze zdziwienia.

- Lady Ryeburn. Nikt nas nie uprzedził o pani przyjeździe. - Kobieta pospieszyła, by powitać przybyłą. - Proszę zanieść bagaże pani hrabiny do jej pokoju.

- Tak, pani Byrd.

Eden uśmiechnęła się do ochmistrzyni.

- Cieszę się, że panią zastałam. Finch uprzedził mnie, że większość służby ma wolne.

- Niektórzy rzeczywiście wyjechali, ale większość jest na miejscu.

- Mam nadzieję, że mój przyjazd nie sprawi za wiele kłopotów.

- Kłopotów?

Eden zdjęła rękawiczki i szal.

- Nie mam wielkich wymagań. Potrzebny mi tylko kąt do spania i pianino. No i może jeszcze coś do zjedzenia od czasu do czasu.

Pani Byrd patrzyła na nią ze zdziwieniem. Eden przewiesiła sobie szal przez ramię.

- O rety. - Ochmistrzyń wzięła szal i rękawiczki od Eden. - Proszę o wybaczenie, pani hrabino. Zaraz się tym zajmę. Czy pokojówka pani hrabiny zjawi się tu wkrótce?

- Nie wiem. Nie uprzedziłam jej o swym przyjeździe.

Eden spostrzegła wyraz niepokoju na twarzy ochmistrzyń.

- Zdaje się, że zaniepokoiłam panią. Zjawiłam się bez uprzedzenia i na dodatek nie wiem, jak należy się zachowywać w Anglii.

- Ależ nie, milady. To znaczy... no tak... och... Hrabinę Ryeburn ogarnęła wesołość, jakiej nie odczuwała już od wielu dni.

- Pewnego dnia opowiem pani o naszej gospodyni z Fairlawne, domu moich rodziców.

- Z przyjemnością posłucham. - Pani Byrd uśmiechnęła się dość powściągliwie. - Jeśli pani wybaczy, to upewnię się, czy pokój pani hrabiny jest już przygotowany.

Eden rozejrzała się po holu. Znów została sama. Zaczęła się powoli przyzwyczajać do tego uczucia. Ruszyła przed siebie, zaglądając do każdego pomieszczenia. Gdy była tu poprzednio, nie starczyło jej czasu, by zwiedzić dom. Teraz ma po temu doskonałą sposobność.

Gdy dotarła do biblioteki, zdecydowała się wejść do środka. Wszystkie ściany pokrywały półki z książkami. Eden zerknęła na tytuły. Liwiusz, Tacyt, Cezar... o nie, tylko nie łacina. Po chwili natknęła się na Bacona, Marlowe'a, Smitha. Wreszcie, w jakimś zakamarku znalazła tom, który zwrócił jej uwagę. „Duma i uprzedzenie” Jane Austen. Czytała już tę książkę, ale z przyjemnością sięgnie po nią po raz drugi.

Znalazła wygodny fotel, podkurczyła nogi w sposób, który z całą pewnością nie przystoi damie, i zatoneła w lekturze. Natychmiast zapomniała o swych zmartwieniach.

Podniosła wzrok znad książki dopiero wówczas, gdy zaczęło jej doskwierać mrowienie w okolicy karku. Nie miała pojęcia, ile czasu mogło

upłynąć. W drzwiach biblioteki stała jakaś dziewczynka. Na nosie miała okulary, a jej rude włosy ściągnięte były ciasno w koński ogon. Zza szkieł spoglądały bystre zielone oczy.

- Pani jest pewnie nową hrabiną - powiedziała dziewczynka.

- Owszem. - Eden zamknęła książkę. - A na imię mi Eden.

- Mama mówiła mi o pani. Powiedziała, że jest pani głupia i pospolita. I że jest pani Amerykanką.

Eden uniosła brwi.

- Doprawdy? A kim jest twoja mama?

- Hrabinią wdową. Nienawidzi, gdy się o niej w ten sposób mówi, więc robię to przy każdej okazji. Ale ja jej nie wierzę. Prawie nigdy nie wierzę w to, co mówi.

- W co nie uwierzyłaś?

- Że jest pani głupia i pospolita. Mama zawsze przesadza, a mój brat w ogóle ze mną nie rozmawia. Lubię mieć własne zdanie. - Dziewczynka odsunęła się trochę i zmierzyła nową hrabinę wzrokiem.

Czyżby Trevor miał siostrę? Nigdy o tym nie wspominał.

- Na pewno jest pani ładna, ale co do reszty, to muszę najpierw lepiej panią poznać.

- Jak masz na imię?

- Do licha! Zawsze zapominam o dobrych manierach. Panna Dunfield twierdzi, że to największa luka w mojej edukacji. Nie powie jej pani, prawda?

- Nie powiem, jeśli się dowiem, jak masz na imię. Dziewczynka zarumieniła się.

- Lorane.

- Miło mi cię poznać, Lorane. - Eden odłożyła książkę. Dziewczynka weszła do biblioteki. Stała przed Eden

i spojrzała jej prosto w twarz.

- Panna Dunfield nie pozwala mi tak siadać.

- Pani Roberts też mi nie pozwalała, ale teraz jej tu nie ma.
- Pani także miała guwernantkę?
- Owszem. Przez wiele lat oboje z bratem mieliśmy wspólną guwernantkę.
- Mój brat jest na to za stary.
- A ja mam brata bliźniaka. Lorane szeroko otworzyła oczy.
- Naprawdę?
- Jestem starsza od niego o kilka minut.
- To musi być bardzo przyjemne, mieć brata w swoim wieku.
- Nie zawsze. - Eden przypomniała sobie, ile razy Nicholas próbował ją strofować.

Lorane wskoczyła na sąsiedni fotel.

- Ja nie lubię swojego brata.
- Dlaczego? - zdziwiła się Eden.
- Bo on mnie nie lubi. - W jej głosie nie było urazy. Eden nie mogła zaprzeczyć. Trevor nigdy nie wspominał o siostrze.

- Pani go też za bardzo nie lubi.

Dorosłość tonu dziewczynki bardzo ją zdziwiła.

- Dlaczego tak sądzisz?
- Uciekła pani od niego, prawda?
- Uciekłam, ale nie dlatego, że go nie lubię. - I tym gorzej dla niej.

Lorane pokręciła głową.

- Mama mówi, że nikt nie wyjeżdża z Londynu podczas sezonu towarzyskiego. Chyba że przed czymś ucieka. Moje obserwacje potwierdzają, że w tym wypadku można jej wierzyć. Podczas sezonu mogę się cieszyć spokojem i samotnością. Z wyjątkiem tego weekendu, kiedy odbywa się ta okropna maskarada.

- Gdzie byłaś podczas maskarady?
- Na górze. W pokoju dziecięcym. Panna Dunfield przynosiła mi jedzenie.

Nie nudziłaś się?

- O nie. Mam swoje książki. - Lorane znów się przyjrzała Eden i podkuiliła nogi w ten sam sposób. - Tak jest rzeczywiście wygodniej. Co pani czyta?

- „Dumę i uprzedzenie”

- Bardzo mi się podobają powieści panny Austen. Eden spojrzała uważniej na dziewczynkę.

- Ile masz lat, Lorane?

- Jedenaście.

- Czy twoja mama wie, że czytałaś „Dumę i uprzedzenie”?

- Oczywiście, że nie. Ona nie interesuje się tym, co czytam. Gdyby się zainteresowała, to z pewnością w ogóle by mi tego zakazała. Panna Dunfield też o tym nie wie. Uważa, że to frywolna książka i że nie zawiera żadnych umoralniających treści. Sama nigdy jej nie czytała.

Do biblioteki weszła koścista kobieta o surowym wyrazie twarzy.

- Tu jesteś, młoda damo. Zamiast ćwiczyć deklinację. I cóż to za pozycja?

Lorane natychmiast się wyprostowała i spuściła nogi.

- Znacznie lepiej. - Kobieta spojrzała na Eden. - A kim pani jest?

- Eden St. John, hrabina Ryeburn. Guwernantka otworzyła usta ze zdziwienia.

- A pani jest zapewne panną Dunfield. Lorane opowiadała mi o pani.

- Proszę mi wybaczyć, lady Ryeburn. Nie miałam pojęcia, że przyjechała pani z wizytą.

- Nie przyjechałam z wizytą. To jest mój dom.

- Tak, oczywiście. - Na bladym obliczu panny Dunfield wykwitł rumieniec.

Eden zwróciła się do Lorane.

- Czy nauczyłaś się już deklinacji? Dziewczynka pokiwała głową.

- Świetnie. Panno Dunfield, jestem pewna, że zwolni pani Lorane z jej pozostałych dzisiejszych obowiązków i pozwoli mi pani poznać bliżej moją nową siostrę.

- Oczywiście, lady Ryeburn. - Guwernantka wyszła z pokoju i po chwili na schodach rozległy się jej pospieszne kroki.

- Zrobiła to pani dla mnie? - Lorane spojrzała na Eden podejrzliwie.

- Pamiętam, że gdy byłam w twoim wieku, zawsze się cieszyłam z nieoczekiwanych wakacji. - Eden wyprostowała się. - Na co masz ochotę?

- Nie wiem. Nigdy mnie nikt o to nie pytał.

Eden walczyła ze współczuciem wobec tego dziecka. Lorane nie potrzebowała współczucia, ale trochę uwagi i zainteresowania.

- Hmm. Czy nie boli cię głowa w tej fryzurze? Lorane dotknęła włosów.

- Nawet bardzo.

- W takim razie musimy znaleźć szczotkę i coś z tym zrobić.

Eden wyciągnęła rękę do dziewczynki. Lorane popatrzyła na jej dłoń, jakby nie bardzo wiedziała, jak się zachować. W końcu podała swą rękę.

- Ale jeśli ja ciebie uczeszę, to ty musisz uczesać mnie. Żeby było sprawiedliwie.

- Nie jestem pewna, czy...

- Zaufaj mi. - Eden wyprowadziła dziewczynkę z biblioteki.

Pół godziny później obie zeszły na dół. Gęste rude włosy Lorane zostały splecione w gładki warkocz. Jasne włosy Eden były także zaplecione w warkocz, tyle że nieco zwichrzony i nierówny. Eden to jednak nie przeszkadzało. Radość Lorane z okazanego jej zaufania znaczyła dużo więcej niż doskonała fryzura.

Lorane zabrała swą bratową do oranżerii, w której było mnóstwo donic z palmami i drzewkami owocowymi. Na środku pluskała wesoło fontanna, w której pływały ryby. W sadzawce rosły lilie i inne rośliny wodne. Tu i ówdzie ustawiono ławeczki i kamienne stoliki. Lorane zaprowadziła Eden w ką

oranżerii, gdzie w siedmiu donicach rosło siedem różnych orchidei. Trzy z nich zakwitły już, podczas gdy cztery miały na razie pączki.

- Jakie piękne. - Eden zachwyciła się cudownymi kwiatami.

- Dziękuję. Sama je wyhodowałam.

- Naprawdę?

- Rośliny mają w sobie coś niezwykłego. Uwielbiam je rysować. Proszę nie mów o tym pannie Dunfield, ale gdy tylko mam wolną chwilę, przychodzę tu z ogrodnikiem, by dowiedzieć się jak najwięcej o roślinach. Od czasu do czasu pozwala mi się nimi zajmować.

- Wspaniale.

- Nie uważasz, że mam dziwne upodobania?

- Ależ skąd! Wydaje mi się, że masz wielki talent do botaniki, jeśli sędzić po tych kwiatkach. A każdy talent trzeba pielęgnować.

- Naprawdę tak sądzisz?

- Oczywiście! Nie pozwól, by ktokolwiek sterował twoimi upodobaniami.

Ciesz się z tego daru, jakim jest talent.

Lorane przekrzywiła głowę.

- To ty jesteś Amerykańskim Słowikiem, prawda?

- Gdzie o tym słyszałaś?

- Codziennie rano podkradam gazetę pannie Dunfield. Eden roześmiała się serdecznie.

- Jesteś stanowczo za mądra. Chodź, pokażesz mi resztę domu. Powinnaś go dobrze poznać, jeśli mam odgrywać rolę hrabiny.

Trevor obudził się, gdy powóz zakołysał się na wertepach. Chciał zatrzymać wehikuł, by rozprostować nogi, ale gdy wyjrzał przez okno, zorientował się, że są już prawie na miejscu. Poczł dziwne podniecenie. Już wkrótce ją zobaczy.

Wyobraził sobie, jak Eden czeka na niego w drzwiach, jak rzuca mu się na szyję i przytula się do jego piersi. Tre-vor jęknął. Musi nauczyć się

kontrolować swoje emocje, żeby nie narobić sobie ambarasu. Ilu mężczyzn podnieca się tak bardzo na samą myśl o swojej żonie? Wyraźnie zaczynał tracić kontrolę nad sobą.

Na balu u Greyfolke'ów nudził się śmiertelnie. Rozmawiał z dżentelmenami, z którymi powinien porozmawiać, tańczył z damami, na których mężów zamierzał wpływać w Parlamencie, ale uważał wieczór za stracony. Nawet proponowane ustawy go nie zainteresowały. Gospodyni pytała o Eden i wyglądała na zmartwioną, kiedy usłyszała, że lady Ryeburn się nie pojawi. Czy przykro jej było z powodu nieobecności Eden, czy też dlatego, że Amerykański Słowik nie zaśpiewa dla jej gości? Po raz pierwszy Ryeburn zrozumiał, że talent jego żony może być przekleństwem.

Wyskoczył z powozu, nim wehikuł zatrzymał się przed wejściem. Nie czekając na lokaja, otworzył drzwi i omal nie zderzył się ze służącym.

- Przepraszam, milordzie.

- To moja wina. - Trevor rozejrzał się za żoną. Ogarnęło go rozczarowanie, że się nie pojawiła. - Gdzie jest hrabina?

- Poszła do wsi z lady Lorane.

Trevor stłumił jęk rozczarowania. Przed chwilą przejeżdżał przez wieś.

- Dziękuję, Johnie. Zadbaj o to, by wniesiono moje bagaże.

- Tak, proszę pana.

Powinien się przebrać, zanim wyruszy do wsi. Podróżne ubranie było pogniecione i pokryte warstwą kurzu.

Gdy wreszcie dotarł do wioski, zrobiło się już tak ciepło, że pożałował, iż zawiązał fular. Zdjął więc niewygodną ozdobę i wcisnął ją do kieszeni.

Wieśniacy, którzy go spostrzegli, kłaniali się albo pozdrawiali go skinieniem głowy.

Zatrzymał się przed piekarnią i zsiadł z konia. Nigdzie nie było widać ani Eden, ani Lorane. Wstąpił do piekarni.

- Dzień dobry, panie White, dzień dobry pani White.

- Witamy, lordzie Ryeburn. Miło widzieć pana hrabiego. Trevor skinął głową. Na początku wieśniacy mu nie ufali. Tryb życia jego ojca dał się im nieźle we znaki. Jednak wysiłki Trevora, by przywrócić posiadłości dawną świetność, zaskarbiły mu ich szacunek.

- Czy była tu hrabina albo moja siostra? Podobno wybrały się dziś do wsi.

- Ano tak, milordzie. Były tu. Pani hrabina przyszła, żeby się przedstawić. Jaka ona śliczna, a jaka miła, milordzie - odparła piekarczowa, odmierzając mąkę na jutrzejsze wypieki. - Widziałam, jak wzięła się z dziećmiakami za ręce i poszła w stronę strumienia.

- Dziękuję.

Trevor wyszedł i odwiązał konia. Postanowił jednak nie wsiadać na jego grzbiet, ale poprowadzić go za uzdę. Szedł drogą, pozdrawiając napotkanych ludzi. Na końcu wsi zostawił konia i ruszył w stronę strumienia.

Po chwili usłyszał szum wody oraz śmiechy i radosne okrzyki dzieci.

- Spróbuję jeszcze raz, ale musicie mi pomóc. - Głos Eden przebił się przez ten hałas.

I wówczas rozległ się jej śpiew. Towarzyszyły jej dzieci. Jej czysty, jasny głos na tle radosnego śpiewu dzieciaków zaparł Trevorowi dech w piersiach. Na początku nie rozpoznał pieśni. Po chwili zmarszczył jednak brwi. „Green Bushes” - piosenka o dziewczynie, która śpiewa dla ukochanego, a potem opuszcza go dla innego.

Eden pomieszała słowa, a dzieci zachichotały.

- Nie, to nie tak - zaśmiała się. - Spróbujmy jeszcze raz. - I znów zaczęła śpiewać razem z maluchami.

Hrabia podszedł bliżej, żeby ją zobaczyć.

Eden stała w strumieniu. Podciągnęła suknię i związała ją tak, że utworzyła coś w rodzaju spodni. Jej pończochy i buty leżały na brzegu. Włosy miała splecione w długi, niedbały warkocz. Chlapała wodą na dzieci, a one chlapały w jej stronę. Było ich chyba dwanaścioro.

Ryeburn zauważył jeszcze jedno dziecko siedzące na brzegu. Wielkie nieba! To Lorane. Także bosa, tak jak jego żona. Lorane rysowała coś w szkicowniku, ale to nie przeszkadzało jej śmiać się i śpiewać ze wszystkimi. Trevor zapatrzył się na swoją siostrę. Nigdy nie widział jej tak szczęśliwej.

Gdy dzieci go spostrzegły, zaczęły milknąć jedno po drugim. Wpatrywały się w swego pana, aż któreś przypomniało sobie, że trzeba się uklonić. Pozostałe poszły w ślady tamtego. Wtedy obróciła się ku niemu Eden. Radość natychmiast zniknęła z jej twarzy. Jej miejsce zajęła czujność.

- Przyjechałeś.

Nie podobał mu się ton jej głosu.

- Przyjechałem.

Zaskoczył ją posępny wyraz twarzy dzieci. Zerknęła na Lorane. Dziewczynka zamknęła szkicownik i sięgnęła po buty i pończochy. Eden spojrzała na męża. Czy wszyscy zawsze tak reagowali na jego pojawienie się? Po raz pierwszy zrozumiała, jak wielkim ciężarem może być arystokratyczny tytuł. Nic dziwnego, że Trevor jest tak bardzo przywiązany do reguł dobrego tonu. Nic dziwnego, że nie ma dla niej miejsca w jego życiu.

- Dziękuję wam dzieci za to, że nauczyłyście mnie takiej ślicznej piosenki. - Eden wdrapała się na brzeg. Doprowadziła do porządku spódnice. - Mam nadzieję, że uda nam się to kiedyś powtórzyć.

- Tak, proszę pani - odpowiedziały dzieci chórem. Westchnęła ciężko. Obawiała się, że dzieci nie będą już tak otwarte po tym, jak przypomniano im, z kim się bawiły tego popołudnia.

- Śpiewając „Green Bushes”, będę zawsze myśleć o was i o tym miłym spotkaniu. Do widzenia.

Dzieci rozpierchły się błyskawicznie. Eden usiadła na kępie trawy i sięgnęła po swoje pończochy. Lorane spojrzała na nią i zarumieniła się.

- Trevorze, gdybyś mógł się na chwilę odwrócić...

- Dlaczego?

- Dlatego że chciałabym włożyć pończochy. - Eden skinęła głową w stronę Lorane.

- Widziałem cię przecież... - Trevor urwał i odwrócił się posłusznie.

Eden miała wciąż wilgotne stopy, nie mogła więc naciągnąć pończoch. Schowała je do kieszeni i włożyła tylko trzewiki.

- Gotowe.

- Szybko poszło. - Hrabia odwrócił się do pań. Lorane ukryła uśmiech.

- Szszsz... - Eden mrugnęła do niej okiem.

Trevor popatrzył to na jedną, to na drugą i wzruszył ramionami.

- Wracamy do Concordii?

- Jak najbardziej. - Eden wyciągnęła do niego rękę, czekając, aż mąż pomoże jej wstać.

- Potrafiłaś wejść do strumienia bez żadnej pomocy.

- Owszem, ale teraz mam ciebie pod ręką - odparła, nie cofając dłoni.

Trevor ujął ją za rękę i podniósł do góry.

- Dziękuję. Teraz pomóż swojej siostrze.

- Eden...

- Jeśli ktoś musi cię uczyć dobrych manier, to któż się lepiej do tego nadaje niż żona?

Trevor spiorunował ją wzrokiem, ale Eden nie zamierzała się wycofać.

Podszedł więc do siostry i pomógł jej wstać.

- Nie przywitałeś się z nią jeszcze.

- Witaj, Lorane. - Hrabia uklonił się.

- Miło cię widzieć, Trevorze. - Lorane dygnęła grzecznie.

- Wspaniale. Teraz możemy wrócić do domu. - Eden wzięła dziewczynkę pod ramię.

- Gdzie jest dwukółka?

- Nie przyjechałyśmy dwukółka.

- To jak się dostałyście do wioski? - W głosie Ryebur-na słychać było niedowierzanie.

- Przyszłyśmy piechotą. W domu - to znaczy w Massachusetts - często odbywam takie przechadzki. Uznałam, że szkoda wsiadać do bryczki w taki piękny dzień.

- Przyszłyście piechotą? Eden uśmiechnęła się do męża.

- Skoro już tu jesteś, to może weźmiesz torbę Lorane?

Lorane oddała mu torbę ze szkicownikiem. Trevor popatrzył na siostrę. Zachowywała się tak, jakby przewidywała, co zrobi Eden, i świetnie się przy tym bawiła. Wolałby, żeby i jego dopuściły do tajemnicy.

- Przyjechałem konno.

- Nic ci się nie stanie, jeśli się przespacerujesz, prowadząc konia. A poza tym możesz przecież przewiesić torbę Lorane przez siodło, gdyby było ci za ciężko.

Hrabia przysiągł sobie w duchu, że będzie niósł tę nieszczęsną torbę przez całą drogę, nawet gdyby ramię miało mu odpaść.

Pół godziny później ujrzeli przed sobą Concordię. Trevor nigdy nie czuł się tak szczęśliwy na widok tego domu. Kurz pokrył jego świeże ubranie. Będzie musiał znowu się przebrać. Torba Lorane, choć lekka, z każdym krokiem wydawała mu się coraz cięższa. Eden nie spojrzała na niego ani razu od chwili, w której ruszyli w drogę. Oddał konia stajennemu i patrzył, jak żona i siostra wchodzi do domu.

Potem ruszył za nimi. Lorane gdzieś zniknęła, ale Eden wciąż stała w holu. Rozmawiała z panią Byrd, która kiwała głową w odpowiedzi na każde słowo swej pani.

Gdy ochmistrzyni odeszła, Eden zwróciła się do męża.

- Po co tu przyjechałeś?

- Naprawdę nie wiesz? - Trevor przybliżył się do niej.

Jak to możliwe, by po tak długim spacerze wciąż pachniała lawendą?

- Najprawdopodobniej chcesz mnie zabrać z powrotem do Londynu.

Hrabia bez swej hrabiny budzi pewnie jakieś podejrzenia. - Jej głos był lodowaty, podobnie zresztą jak spojrzenie. - Nie chcę wracać.

- Jak sobie życzysz.

Odpowiedź Trevora wprawiła ją w zdumienie, co odmalowało się na jej twarzy. Podrapała się w nos.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, że masz siostrę?

- Nie pomyślałem o tym. - Wzruszył ramionami. Nie był szczególnie dumny z tej odpowiedzi, ale taka była prawda.

- Jak mogłeś zapomnieć, że masz siostrę? Hrabia westchnął ciężko.

- Lorane jest prawie dwadzieścia lat młodsza ode mnie. Mój ojciec umarł tuż po jej narodzinach. Byłem... byłem zbyt zajęty, by przejmować się swoją siostrą.

- To dziecko, któremu nikt nie poświęca uwagi. Spodziewałam się tego po Vanessie, ale nie spodziewałam się tego po tobie.

Trevor był coraz bardziej zdenerwowany. Nie przywykł do tego, by ktokolwiek podawał w wątpliwość słuszność jego postępowania.

- Zapewniłem jej dach nad głową i poczucie bezpieczeństwa.

- Ale nie ofiarowałem jej miłości.

- Dlaczego miałbym to robić? Nie mam nawet pewności, że naprawdę jest moją siostrą.

Eden wytrzeszczyła oczy.

- Vanessa nigdy nie była wierną żoną. Miała wielu kochanków. Nawet mnie próbowała kiedyś uwieść. Ojciec był zdziwiony, że pomimo podeszłego wieku począł dziecko, ale cieszył się, że Vanessa jest w błogosławionym stanie. - Trevor przeczesał włosy dłonią. - Nikt w naszej rodzinie nie miał nigdy rudych włosów. A w okresie, w którym Lorane została poczęta, Vanessa romansowała z jakimś Szkotem. Lorane ma takie same włosy jak ten człowiek.

Eden nawet nie mrugnęła powieką.

- Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie dla dziewczynki potrzebującej tylko trochę uwagi ze strony brata, którego podejrzewa o to, że jej nie lubi? - Lady Ryeburn obróciła się na pięcie i pobiegła na górę.

Trevor nie spuszczał z niej wzroku. Prawda bywa bolesna. Eden zbyt często mu to udowadniała.

## 23

Słońce rozświetlało jeszcze horyzont na różowo, ale na wschodzie cienie nocy już kładły się na ziemię. Powóz podskakiwał na wybojach wiejskiej drogi, potęgując irytację pasażerów.

- Nie chciałem się zgodzić na ten wyjazd - mruzczał Stuart Grant. - Gdyby została w domu, tak jak proponowałem...

- Powinna była wyjechać, Stuarcie. - Corinna Grant poklepała męża po dłoni. - I nic złego się nie stało.

- Jak możesz tak mówić? Eden wyszła za męża. Nienawidzę tego człowieka.

- Przecież go nie znasz.

- Nie muszę go znać, żeby wiedzieć, że go nienawidzę.

- Bądź sprawiedliwy. - Pani Grant pochyliła się nad ramieniem męża i pogłaskała go po kamizelce.

- Nic z tego, Corinno. Nie uda ci się sprawić, bym zapomniał, jaki jestem na niego wściekły.

Corinna westchnęła.

- On ma imię i nazwisko.

- Harpia Ryeburn. Co to za nazwisko?

- Hrabia, nie harpia - zachichotała pani Grant.

- Przecież wiem.

- A nie wydaje ci się, że powinieneś się gniewać także na Eden?

- I gniewam się. Ale to przede wszystkim jego wina. -Stuart odwrócił się od żony.

Ta znów się do niego przysunęła. Przesiadł się więc na drugą stronę. Jego małżonka westchnęła raz jeszcze.

- Nie ma sensu się tym gryźć.

- A ciebie to wcale nie gryzie - oskarżył żonę, celując w nią palcem. - Ty tego oczekiwałaś.

- Nie bądź śmieszny.

- Dałaś jej tę monetę. Miałaś nadzieję, że właśnie to się wydarzy.

- Wydawało mi się, że nie wierzysz w moc monety.

- To nieważne. Ty chciałaś, żeby to się tak skończyło. -Stuart skrzyżował ramiona na piersiach i spiorunował żonę wzrokiem.

- To moje najstarsze dziecko. Mnie także będzie jej bardzo brakowało, Stuarcie. - Corinna zamrugła powiekami, by powstrzymać łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. Gdy mimo wszystko zalśniły na jej policzkach, otarła je dłonią.

Grant podał żonie chusteczkę. Gdy się znów odezwał, mówił całkiem innym, łagodnym głosem.

- A mnie już jej brakuje.

Wrócił na swe miejsce koło żony i wziął ją w ramiona.

- Gdy planowaliśmy, że zrobimy jej niespodziankę, ktoś by przypuścił, iż ona bardziej nas zaskoczy. Wytrzymaj oczy. Już dojeżdżamy. Nie chcesz chyba, żeby Eden pomyślała, że coś jest nie tak.

Corinna wydmuchała nos.

- Obiecujesz, że będziesz się poprawnie zachowywał?

- Obiecuję, że się postaram. Nic więcej obiecać nie mogę. Corinna pomyślała o tym, jak Stuart dba o swoją rodzinę, i uśmiechnęła się ciepło.

- O nic więcej nie proszę.

Eden zmagiała się ze splątanymi włosami. Przez dwa dni pozwalala się czesać Lorane. Niestety dziewczynka lepiej się znała na matematyce niż na pleceni warkoczy. Eden rozplątała kolejne pasmo i skrzywiła się z bólu. Uśmiech, który zakwitł na twarzy dziewczynki, gdy skończyła swoje dzieło, wart był jednak tej odrobiny bólu.

Skoro hrabia zjawił się w domu, obiad będzie z pewnością uroczysty. Eden uważała wprawdzie, że to trochę śmieszne zasiadać do tak wielkiego stołu we trójkę, ale nie znała się przecież na obyczajach angielskiej arystokracji. Postanowiła zagłuszyć w sobie wątpliwości i niepokój. Może z czasem zdoła lepiej wczuć się w rolę hrabiny.

Upięła włosy w prosty, ale elegancki kok i pospiesznie dokończyła swej toalety. Poprawiła suknię i wymknęła się z pokoju. Dzwonek na obiad miał wprawdzie zadzwonić dopiero za pół godziny, ale Eden nie mogła już usiedzieć w swoim pokoju.

Ruszyła w stronę biblioteki. Parę minut nad książką powinno ją trochę uspokoić. Weszła do pokoju i zatrzymała się w pół kroku. W fotelu siedział Trevor.

Jeszcze jej nie zauważył. Może mogłaby się jakoś wymknąć...

Hrabia podniósł się z miejsca i podszedł do żony.

- Dobry wieczór. Zdaje się, że wpadliśmy na ten sam pomysł.

Delikatny zapach mydła stał się dla Eden źródłem katuszy. Trevor wykapał się przed obiadem. Oczami wyobraźni ujrzała męża w kąpielu. Wyobraziła sobie, jak bierze do ręki mydło i masuje mu plecy i biodra, i... Serce zabiło jej mocniej. Przełknęła ślinę, by opanować emocje, i spojrzała mu w oczy. Czy ucieszył się na jej widok? Jego ciemne oczy były stanowczo zbyt tajemnicze.

- Źle się czujesz? Masz dziwne rumieńce. - Trevor położył dłoń na jej czole.

- Nic mi nie jest. - Eden starała się, by jej głos brzmiał normalnie.

- Nie wyglądasz najlepiej, ale masz chłodne czoło. -Ryeburn cofnął dłoń.

- Nie chciałam ci przeszkadzać. - Eden podeszła do stołu, by zwiększyć dystans między sobą a mężem.

- Wcale mi nie przeszkadzasz. Czekam tu na obiad. -Hrabia odłożył książkę, którą przed chwilą czytał, z powrotem na półkę. - Myślałem o Lorane.

-Tak?

- Czy ona naprawdę sądzi, że jej nie lubię? Eden pokiwała głową.

- Dlaczego? Nie zrobiłem niczego, co by ją do tego upoważniało.

- A co zrobiłeś?

- Zapewniłem jej dach nad głową, edukację, ubrania, bezpieczeństwo...

- A co z miłością? Lorane jest dzieckiem. Straciła ojca. Można powiedzieć, że w gruncie rzeczy straciła także matkę, bo Vanessa prawie jej nie widuje. Jak możesz odmawiać jej braterskiej czułości i uwagi?

- Nic mnie z nią nie łączy.

- Skąd wiesz?

Po tym pytaniu zapadła cisza. Eden położyła dłonie na biodrach.

- Czy wiesz, że Lorane wyhodowała prześliczne kwiaty? Trevor zmarszczył brwi.

- Kwiaty? W tym celu trzymamy ogrodnika.

- Ale ona lubi hodować kwiaty. Potrafi też pięknie rysować i czyta książki, których zwyczajne dzieci w jej wieku w ogóle by nie zrozumiały. Nigdy nie spotkałam tak inteligentnego dziecka.

- To tylko potwierdza moje wątpliwości co do ojcostwa - mruknął Trevor.

Eden rozgniewała się nie na żarty.

- Dlaczego to ma dla ciebie aż takie znaczenie? Przecież nic nie odziedziczyła. Twój ojciec uznał ją za swą córkę, a ty za swą siostrę, pozwalając jej mieszkać w tym domu.

- Jeśli ja nie doczekam się dziedzica, a ona tak, to tytuł przejdzie na jej potomka. - Ryeburn nie spuszczał wzroku z twarzy żony.

- Dlaczego zakładasz, że nie będziesz miał dziedzica? -Eden zarumieniła się, wypowiadając te słowa.

- Nie powiedziałem, że nie będę go miał, ale to się przecież często zdarza. Możemy nie doczekać się syna.

- I co na to powiedzą w londyńskich salonach? - Ironia zaostrzyła jej głos. Trevor przymrużył oczy.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Chcę powiedzieć, że nie miałeś żadnych oporów, gdy narażałeś na szwank moją reputację z powodu zakładu, ale niech Bóg broni, aby zniesławiono twoje nazwisko.

- Teraz ty także nosisz moje nazwisko.

- Chociaż wcale tego nie chciałam.

Powóz zatrzymał się przed Concordią, gdy słońce chowało się za horyzontem. Stuart wysiadł, podał dłoń żonie i zaczął przyglądać się siedzibie swego zięcia. Po pewnym czasie pokiwał głową.

- Wygląda na to, że ten człowiek ma środki na utrzymanie Eden. Ale dom jeszcze o niczym nie świadczy.

Corinna pokręciła głową. Ujęła spódnice i weszła po schodach, nie czekając na męża. Zwróciła uwagę na starannie przystrzyżony trawnik i wypielegnowane rabatki. Schody były idealnie czyste.

Gdy dotarła na górę, drzwi się otworzyły i stanął w nich lokaj w liberii.

- Czym mogę służyć?

- Przyjechałam, by zobaczyć się ze swą córką.

- Z pani córką, madam? Stuart stanął u jej boku.

- Tak, z naszą córką.

Lokaj spojrział na przybysza, który górował nad nim wzrostem.

- Proszę nas zaanonsować. - Stuart spojrział na lokaja z góry.

- Strzelanie piorunami z powiek niewiele tu pomoże - zadrwiła Corinna.

Zmiażdżyła męża wzrokiem i uśmiechnęła się do służącego. - Proszę wybaczyć

mojemu mężowi. On bardzo troszczy się o swoje dzieci. Powiedziano nam, że nasza córka tu zamieszkała. Została żoną lorda Ryeburna.

Lokaj uklonił się w pas.

- Proszę o wybaczenie, madam. Nie wiedziałem, że państwo są rodzicami hrabiny. Lord i lady Ryeburn są w tej chwili w bibliotece. Czy mam państwa zaanonsować?

- A gdybyśmy tak zrobili jej niespodziankę? Nie spodziewa się nas.

Lokaj skinął głową.

- Zajmę się państwa bagażami. Do biblioteki prowadzą czwarte drzwi po prawej stronie.

- Bardzo dziękujemy. - Corinna posłała służącemu piękny uśmiech.

Lokaj stał przez chwilę jak zamurowany, a potem nisko się uklonił.

Stuart wziął żonę za łokieć i poprowadził w głąb korytarza.

- Nie musisz go oczarowywać - szepnął jej do ucha. - Już się wszystkiego dowiedział.

- Gdybym cię tak dobrze nie znała, pomyślałabym, że jesteś zazdrosny.

Stuart zatrzymał się i pociągnął żonę w tył, żeby wziąć ją w ramiona.

- Staram się tylko ochronić biednego człowieka przed twoim czarem.

Najprawdopodobniej nieprędko wróci do siebie. - Pocałował żonę.

Po minucie Corinna z trudem złapała oddech i spojrzała w przepastne, błękitne oczy męża. Na jej policzkach zakwitły rumieńce.

Stuart zaśmiał się delikatnie.

- Wciąż się rumienisz pod moim spojrzeniem. - Pocałował ją jeszcze raz. - Kocham cię.

Corinna oparła się o niego, by odzyskać równowagę.

- I ja także cię kocham. A teraz chodźmy zobaczyć się z naszą córką.

Gdy ruszyli w głąb korytarza, zaczęła liczyć drzwi. Raz, dwa, trzy... Zza kolejnych dobiegały jakieś głosy. Corinna Grant natychmiast rozpoznała głos swojej córki.

- Chociaż wcale tego nie chciałam.

- Jest trochę za późno, by lamentować nad utratą swego nazwiska -  
odpowiedział jej jakiś niski głos.

Corinna poczuła, że Stuart zeszywniał.

- Nie lamentuję nad utratą swojego nazwiska. - Eden poczuła, że oczy ją  
strasznie pieką. - Lamentuję nad tym, że zostałam potraktowana instrumentalnie.

- Ja nigdy... - Trevor nerwowo przeczesał włosy dłonią.

- Przyznaj to przynajmniej - przerwała mu. - Twoja duma nie zniosłaby  
jakiegokolwiek skandalu związanego z rodzowym nazwiskiem. Wolaleś się ze  
mną ożenić, niż pozwolić, by plotki nadszarpięły twoją reputację. Gdybym nie  
została całkowicie skompromitowana, nigdy byś się ze mną nie ożenił.

Jakiś ruch w okolicy drzwi przyciągnął jej uwagę. Eden obejrzała się  
przez ramię i otworzyła usta ze zdziwienia na widok ojca, który wtargnął nagle  
do biblioteki.

- Papa?

Trevor także się obrócił, słysząc jej krzyk, i w tym właśnie momencie  
poczuł pięść Granta na swojej twarzy. Cios teścia powalił go na podłogę.

- Papo! - krzyknęła Eden i rzuciła się w stronę męża. Chciała położyć jego  
głowę na swych kolanach, ale on zerwał się na równe nogi. Eden podniosła  
wzrok i spostrzegła wchodzącą do pokoju matkę.

- Mamo, zrób coś!

Obaj panowie patrzyli na siebie, zaciskając pięści.

- Stuarcie, coś ty zrobił? - Pani Grant spochmurniała.

- Czy ten człowiek jest naprawdę twoim ojcem? - zapytał Ryeburn, a jego  
nozdrza drgały nerwowo.

- Tak - odparła Eden.

- W takim razie nie uderzę go ze względu na jego wiek.

- Tylko spróbuj, szczeniaku. 2 przyjemnością nauczyłbym cię odrobiny respektu dla starszych. - Na dźwięk głosu ojca Eden poczuła dreszcze na plecach.

- Papo, daj spokój. - Stała między mężczyznami, zwrócona twarzą do męża. - Och, Trevorze, twoje oko. - Skóra wokół jego oka zaczerwieniła się i zaczęła już puchnąć. - Musimy przyłożyć coś zimnego. - Podbiegła do dzwonka.

- Nic mi nie jest, Eden. - Hrabia wciąż patrzył na teścia.

- Niechże się pan tak nie upiera, młody człowieku - wtrąciła Corinna Grant.

Po chwili w drzwiach stała pani Byrd.

- Wielkie nieba!

- Proszę przygotować zimny okład dla lorda Ryeburna.

- Wielkie nieba! - powtórzyła ochmistrzyni i czym prędzej wybiegła.

- Czy panowie mogliby się odsunąć trochę od siebie? Wyglądacie jak dwa psy, które pilnują swego terytorium - zauważyła Corinna.

- Papo, proszę cię... - błagała Eden.

Grant odsunął się od hrabiego. Obrócił się w stronę córki i otworzył ramiona. Eden przytuliła się do ojca. Dłużej nie mogła już opanować łez, które popłynęły po jej policzkach strumieniami. Stuart osuszył jej twarz.

- Płaczesz przez niego.

- Nie... to znaczy tak, ale nic się nie martw. - Do oczu Eden napłynęła kolejna porcja łez.

- Zabiję go. - Grant zwrócił się do żony. - Teraz nie możesz już powiedzieć, że się myliłem.

- Na razie niewiele wiemy - próbowała uspokoić go Corinna.

Pani Byrd wróciła z miską wody i białym płótnem. Postawiła miskę na stole. Eden wysunęła się z ramion ojca. Zanurzyła płótno w wodzie i otarła sobie twarz. Potem raz jeszcze zmoczyła płótno.

- Usiądź tu, Ryeburn - powiedziała.

Trevor zacisnął zęby. Zdążył się już zorientować, że zwraca się do niego w ten sposób, gdy jest na niego zła. Usiadł na wskazanym krześle. Eden wyjęła płótno i przyłożyła mu okład.

- Jak się czujesz?

- Boli. - Popatrzył na nią jednym okiem, a potem skierował spojrzenie na jej ojca. Teraz już wiedział, po kim Eden ma te zadziwiające błękitne oczy. - A zatem to są twoi rodzice.

- Tak. Mówiłam ci przecież, że papa trochę za bardzo się o mnie troszczy.

- Mhm. - Trevor zdjął okład z oka i spojrzał na teścia. - Trevor St. John, hrabia Ryeburn - przedstawił się, ale nie wyciągnął ręki.

Eden wzięła od niego płótno i ponownie zanurzyła je w wodzie.

- Trzymaj to na oku.

Corinna podeszła do zięcia. Teraz Trevor już wiedział, po kim Eden odziedziczyła urodę.

- Nazywam się Corinna Grant, a to mój mąż, Stuart. Ale panowie się już poznali.

Corinna Grant nie patrzyła na niego przyjaznym wzrokiem i hrabia nie mógł jej za to winić. Nie wiadomo przecież, co usłyszeli państwo Grant.

Do biblioteki weszła Lorane. Spojrzała na gości i podeszła do Eden.

- Kto to jest?

- Moi rodzice - szepnęła Eden.

Lorane spojrzała na brata. Wpatrywała się w okład, póki Trevor nie zdjął go z oka. Wtedy zamarła ze zdumienia.

- Co się stało?

- Później ci powiem. - Eden wzięła płótno i ponownie umieściła je na oku męża.

Trevor odkrył, że jej zabiegi są mu całkiem miłe. Delikatnie poruszył głową, by płótno znów się zsunęło z oka. Eden je pochwyciła, zamoczyła i znów ułożyła z wielkim pietyzmem na zranionym miejscu. Niewiele brakowało, a

byłby się uśmiechnął, nim przypomniał sobie, że nie jest z nią sam na sam. Zerknąwszy na swą teściową, stwierdził, że Corinna Grant przygląda mu się z dość dziwnym wyrazem twarzy. Jej oblicze nie zdradzało jednak wszystkich emocji, jak twarz jej córki.

W drzwiach pojawił się lokaj.

- Podano do stołu.

Niewzruszona mina lokaja świadczyła o tym, że wieść o przygodzie hrabiego już się rozniosła wśród służby. Trevor zdjął więc okład z oka i wstał.

- Pani Byrd z pewnością przygotowała dwa dodatkowe nakrycia. Idziemy do jadalni?

## 24

Podczas obiadu panowała cisza. Stuart piorunował wzrokiem Trevora, Trevor - Stuarda, a Corinna to jednego, to drugiego. Eden wbiła spojrzenie w swój talerz. Słysząc było tylko uprzejme podziękowania służących.

Gdy służba sprzątnęła talerze, pani Grant wstała.

- Panowie, myślę, że możecie wyjść na kieliszek brandy. Wierzę, że się nie pozabijacie.

Stuart spojrział na żonę i już chciał coś rzec, ale Corinna mu nie pozwoliła.

- Chcę porozmawiać ze swoją córką. Nie powiedziałam, że musisz z nim konwersować, tylko że nie wolno ci go zabić.

Hrabia podniósł się z miejsca.

- Jeśli pozwoli pan za mną, to wskażę drogę do mego gabinetu, w którym będziemy mogli rozkoszować się kieliszkiem brandy i swoim towarzystwem.

Eden rzuciła mężowi ostrzegawcze spojrzenie. Ironiczny wyraz twarzy Trevora wcale jej nie uspokoił. Ojciec podniósł się z krzesła w milczeniu, gotów ruszyć za zięciem. Eden zauważyła, że są podobnego wzrostu i podobnej postury. Narastała w niej potrzeba, by pójść za nimi i chronić Trevora.

Wiedziała, że ojciec zastosuje się do polecenia matki. Gdyby tylko mogła mieć

pewność, że Trevor będzie się poprawnie zachowywał. Gdy odwróciła wzrok od drzwi, zorientowała się, że Lorane wpatruje się w nią uporczywie.

- Czy chcesz coś powiedzieć, Lorane? Dziewczynka ściągnęła brwi.

- Tylko tyle, że jeśli to był typowy posiłek dorosłych, to od tej pory będę jadła w pokoju dziecięcym, z dobrą książką w rękę.

Eden roześmiała się serdecznie.

- Następnym razem nie będzie tak źle. Lorane skrzywiła się nieco.

- Skoro tak twierdzisz. Czy mogę odejść? -Tak.

Dziewczynka wybiegła w podskokach, przypominając sobie w ostatniej chwili, że powinna iść spokojnie. Tupot jej nóg wskazywał jednak na to, że gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, znów zaczęła podskakiwać.

- Jakie pogodne dziecko - stwierdziła Corinna. - Kim ona jest?

- To siostra Trevora. Siostra przyrodnia. To naprawdę mądra dziewczynka. - Eden podeszła do matki.

Matka i córka patrzyły na siebie przez chwilę, po czym rzuciły się sobie w objęcia.

Eden poczuła, że nie jest już samotna.

- Skąd się tu wzięliście?

- Zamierzaliśmy się do ciebie przyłączyć na ostatnim etapie podróży. Chcieliśmy ci zrobić niespodziankę.

- I zrobiliście - roześmiała się Eden, choć wcale nie było jej wesoło.

- A ty zaskoczyłaś nas. Możesz sobie wyobrazić minę ojca, gdy pani Roberts poinformowała nas o twoim zamążpójściu?

- Chyba się cieszę, że mnie przy tym nie było.

- Ale z ciebie tchórz - roześmiała się matka. - Gdy tylko biedna pani Roberts odpowiedziała na pytania twojego ojca, wynajęliśmy powóz.

Eden skrzywiła się.

- Mogę sobie wyobrazić, co papa myśli o Trevorze, skoro już zna szczegóły.

- Jakie szczegóły? Pani Roberts opowiadała tylko o romantycznej ucieczce. - Pani Grant uważnie przyjrzała się twarzy córki. - Czy to nie wszystko?

- Nie mówiła nic o porwaniu?

- O porwaniu? Eden Grant, musisz mi natychmiast o wszystkim opowiedzieć.

- Nazywam się teraz lady Ryeburn.

- Nie zamierzam się bawić w gry słowne, moja droga. Tak czy inaczej jesteś wciąż moją córką.

- Usiądźmy gdzieś wygodnie. - Eden zaprowadziła matkę do salonu, w którym czekała już na nie herbata. Lady Ryeburn skinęła głową pani Byrd. - Herbaty?

- Zmieniasz temat, Eden.

- Wiem. Ale czy chcesz herbaty? Corinna roześmiała się i usiadła.

- Możesz zacząć opowiadać, nalewając.

Eden westchnęła, wiedząc, że dłużej nie zdoła zwodzić matki.

Opowiedziała o swoich sukcesach towarzyskich, o stosach zaproszeń, o Lily i Toddingtonie, o zalotach Sterlinga i o tym, jak ją w końcu porwał z maskarady. Zakończyła opowieść na szczegółach ślubu w Gretna Green.

Matka pokręciła głową.

- Aż trudno uwierzyć, że hrabia ożenił się z tobą w takich okolicznościach.

- Nie znasz Trevora. On chciał po prostu uniknąć skandalu. - Oczy ją piekły i coś ją dławiło w gardle. Nie będę płakać, nie będę płakać.

- Kochasz go, prawda?

- Och, mamo, kocham go. - Przestała nad sobą panować i wybuchła płaczem. Gniewnym gestem otarła łzy. -

Nigdy w życiu tyle nie płakałam. Wszystko się zmieniło, gdy zgubiłam monetę. Corinna Grant zamarła.

- Co takiego?

- Zgubiłam monetę. Przykro mi, mamó. Przynosiła mi szczęście.

- To była zwykła moneta. - Corinna poklepała córkę po dłoni. - Wcale nie przynosiła szczęścia.

- Ale odziedziczyłaś ją po matce...

- To nieważne. Ważne jest to, że nie jesteś szczęśliwa. - Corinna podniosła się z miejsca. - Zaraz przyślę tu twego ojca. Ogromnie za tobą tęsknił. Ale najpierw musisz osuszyć oczy. Nie chcesz chyba, by jeszcze bardziej znienawidził twojego męża.

- Dokąd idziesz?

- Muszę porozmawiać z moim zięciem. Eden ogarnęła panika.

- Mamó, nie możesz mu powiedzieć...

- Nie zamierzam. Nie będę wtrącać się w twoje sprawy, chyba że sama mnie o to poprosisz. - Matka zatrzymała się w drzwiach i popatrzyła na Eden. - Może zechciałabyś wskazać mi drogę do gabinetu?

Hrabia wpatrywał się w kieliszek jedynym zdatnym do użytku okiem. Ojciec Eden miał dość mocne uderzenie jak na swój wiek. Trevor nie wątpił wprawdzie we własne siły, ale czuł, że nie powinien wdawać się w bójkę z teściem. Popatrzył na gościa. Grant nie zmienił pozycji, od kiedy weszli do gabinetu.

- Jeszcze trochę brandy? -Nie.

Lakoniczna odpowiedź nie zdziwiła Trevora. Zdziwiłby się natomiast, gdyby usłyszał podziękowanie.

- Tu jesteście. W końcu udało mi się znaleźć gabinet. -Do pokoju weszła Corinna Grant.

Ryeburn wstał i uklonił się teściowej. Nigdy się nie zdarzyło, by kobieta przerwała dżentelmenom poobiednie spotkanie, ale Corinna była przecież matką Eden. W tej rodzinie niekonwencjonalne zachowanie jest pewnie dziedziczne.

- Pani Grant.

Na twarzy teściowej odmalowało się szczere zatroskanie.

- Pańskie oko nie wygląda najlepiej. Doprawdy, Stuarcie, powinieneś nauczyć się kontrolować swój temperament. Masz szczęście, że hrabia nie oddał ci tego ciosu.

- Szczęście? Ten szczeniak...

- Ten szczeniak, jak go nazywasz, jest dorosłym mężczyzną i choć pewnie nie zauważyłeś, dorównuje ci wzrostem.

Uśmiech pani Grant wprowadził Trevora w zdumienie. Hrabia Ryeburn zdziwił się jeszcze bardziej, gdy ujrzał, jak twarz teścia łagodnieje pod wpływem tego uśmiechu. Nie było już na niej śladu gniewu. Póki jej właściciel ponownie nie spojrzał na gospodarza.

- Idź do swej córki. Chciałabym porozmawiać z hrabią. Stuart podniósł się i pocałował żonę w policzek. Trevor nie mógł się oprzeć wrażeniu, że gdyby nie jego obecność, ten pocałunek trwałby znacznie dłużej.

- Gdzie jest Eden?

- W salonie. Pójdiesz korytarzem i skrećisz w prawo. Pierwsze drzwi po prawej stronie.

- Ten dom to istne mauzoleum.

Gdy Grant wyszedł z pokoju, Ryeburn odstawił kieliszek. Corinna uśmiechnęła się uroczo.

- W tym momencie nie powiedziałaby nic miłego, nawet gdyby spotkał samego króla.

- Rozumiem, co on czuje.

Jej śmiech zadziwił Trevora. Nie spodziewał się żadnej miłej reakcji ze strony któregośkolwiek z rodziców Eden. Przynajmniej na razie.

- Pani chciała ze mną rozmawiać?

-Eden opowiedziała mi o tym, jak doszło do małżeństwa. To wiele wyjaśnia.

- Naprawdę?

- Proszę się nie zachowywać tak sceptycznie. Zapewne jest jeszcze parę innych problemów, o których nie mam pojęcia, ale tym musicie się zająć we dwoje. W zasadzie chciałam pana tylko zapytać, czy niczego pan ostatnio nie znalazł?

Eden była nieodrodną córką swojej matki. W głowie mu się kręciło od tego przeskakiwania z tematu na temat.

- Przepraszam?

- Czy znalazł pan coś ostatnio? Na przykład jakąś monetę?

Cóż za dziwne pytanie.

-Nie.

Ręce pani Grant opadły.

- Nie? Byłam przekonana...

- Zaraz, chwileczkę. - Trevor wydobył z kieszeni monetę. - Prawie o tym zapomniałem. Przywykłem już, że zawsze mam to przy sobie.

Pani Grant wzięła pieniądze i obejrzała go z obu stron. Hrabiego zadziwił uśmiech na jej twarzy.

- Wiedziałaam. Gdzie pan to znalazł?

- W Londynie. Podniosłem to z ziemi. Czy pani wie, co to takiego?

- Piękna stara moneta z wizerunkiem Wenus na awersie. Czy czytał pan napis na rewersie?

- *Numquam tuas spes dedisce*. Nigdy nie zapominaj o swoich marzeniach. Urocza, ale niezbyt praktyczna sentencja.

- Nie byłabym tego taka pewna. Czy ma pan jakieś marzenia?

Ryeburn zawahał się.

- Proszę wybaczyć. Nie mam prawa zadawać takich pytań. - W jej oczach rozbłysły iskry. - Jeszcze nie.

Trevor potarł czoło i skrzywił się, dotknąwszy oka. Nie mógł się oprzeć wrażeniu, że matka Eden wybaczyła mu, choć nie bardzo rozumiał dlaczego. Nie posiadał się ze zdziwienia.

Pani Grant oddała mu monetę.

- Proszę tego pilnować. Mam wrażenie, że ten pieniążek przynosi jednak szczęście.

Trevor położył monetę na biurku.

- Nie wierzę w talizmany szczęścia.

- Podobnie jak ja. Ale wierzę w przeznaczenie. - Co-rinna poklepała go po ramieniu. - Nie ma pan chyba nic przeciwko naszej wizycie?

- Oczywiście, że nie. Państwo są przecież rodzicami mojej żony.

- Nie każde młode małżeństwo chętnie przyjmuje ojca panny młodej w swoim domu.

Wcale się nie dziwię.

- Jeśli pan wybaczy, to wrócę do córki. Nie widziałam jej od tyłu miesiący. - Pani Grant zatrzymała się w drzwiach. - Jak mam się do pana zwracać? Lordzie Ryeburn - brzmi zbyt oficjalnie.

Trevor zaniemówił. Myśli kłębiły mu się w głowie po tej dziwnej rozmowie.

- Może po prostu po imieniu.

- Dobranoc, Trevorze. Zapewne dziś się już nie zobaczymy. I uważaj na oko. - Pani Grant skinęła dłonią i wyszła.

Trevor zapatrzył się na drzwi. Przez chwilę zastanawiał się, co mogą znaczyć jej tajemnicze słowa. Skąd wiedziała o monecie? Spojrzał na leżący na biurku pieniążek. *Numquam tuas spes dedisce*. Czy on ma jakieś marzenia?

Położył monetę na dłoni. Chciał mieć rodzinę, dzieci, syna, który nigdy nie będzie się musiał wstydzić swego ojca. Chciał przywrócić godność swemu nazwisku w taki sposób, by nikt nigdy nie wspominał o hulankach jego ojca. Chciał...

Następna myśl umknęła mu niespodziewanie. Im usilniej starał się do niej powrócić, tym bardziej tracił wątek. W poczuciu frustracji rąbnął pięścią w biurko.

- Jeśli nie będziesz ostrożny, trzeba będzie opatrywać także twoją rękę.

Trevor obrócił się do tyłu. W drzwiach stała Eden. Podbiegła do męża i ujęła jego twarz w dłonie.

- Twoje oko wygląda okropnie. - Opuściła ręce i sięgnęła po dzwonek.

- Nie rób tego.

- Musimy zrobić zimny okład.

- Pani Byrd już o tym pomyślała. - Wskazał miskę z wodą, stojącą na skraju biurka.

- W takim razie usiądź, a ja się tobą zajmę. - Przysunęła miskę i postukiwała niecierpliwie stopą, czekając, aż mąż zajmie miejsce.

Ryeburn nawet nie drgnął, gdy robiła mu okład.

- Gdzie są twoi rodzice?

- Byli zmęczeni po podróży. Posłałam ich do łóżka. -Eden zdjęła opatrunek i ponownie zamoczyła płótno.

- To dość oryginalne - zaśmiał się Trevor.

- Co jest takie oryginalne?

- To, że dziecko wysłała swoich rodziców do łóżka.

- Może istotnie zabrzmiało to trochę dziwnie. - Eden zajrzała pod okład i głośno syknęła. - Zdaje się, że to będzie kiepsko wyglądało przez jakiś czas.

- Na razie nigdzie się nie wybieram. Eden przekrzywiła głowę.

- Sądziłam, że spieszysz się do Londynu, do Parlamentu czy do innych pilnych zajęć.

Trevor St. John uświadomił sobie właśnie, że wcale mu nie spieszno do Londynu.

- I tak nie mógłbym się nigdzie pokazać.

- Nie. Niechże ręka boska broni przed tym, by ktoś zobaczył lorda Ryeburna w takim stanie. - Znów zamoczyła płótno. Tym razem przyłożyła okład mniej delikatnie.

- Hej! Ostrożnie. - Trevor odchylił głowę. Na jej twarzy pojawił się wyraz smutku.

- Nie chciałam... Czy cię zabolalo?

- Tak. - Spojrzał na nią spode łba.

- Co powinnam zrobić?

- Pocałować. - Skąd mu to przyszło do głowy? Eden cofnęła się nieco i popatrzyła na niego przez chwilę. Potem pochyliła się i musnęła wargami jego skroń.

-Tak?

- Nie. Tak. - Trevor posadził ją sobie na kolanach i pocałował prosto w usta. Płótno opatrunkowe opadło na podłogę.

Znów mu się zakręciło w głowie, ale tym razem z całkiem innych powodów. Eden obudziła wszystkie jego zmysły. Jej pocałunki były źródłem iskier, które wnikały w głąb jego ciała i budziły w nim pożądanie.

Trevor spojrzał w rozplomienione oczy żony, a ona zwilżyła wargi językiem, jakby go zapraszała, by ich znowu dotknął. Jej usta rozchyliły się i poczuł ciepły oddech Eden na swych palcach.

Głęboko wycięty dekolt sukni ułatwił mu zadanie. Po chwili Trevor napawał się widokiem pełnych piersi żony. Gdy zanurzył w nich swą twarz, Eden odchyliła się do tyłu, wzdychając z rozkoszy, a on omal nie stracił kontroli nad swym ciałem. Wsunął dłoń pod jej spódnicę i natrafił na ciepłą, gładką skórę jej ud.

- Jesteś już gotowa, żeby mnie przyjąć - orzekł, cofając dłoń i rozpinając spodnie.

Po chwili kołysali się w rytmie, który wyznaczyła Eden. W momencie kulminacji rozkoszy, hrabina krzyknęła, przywierając do męża całym ciałem. Jej przyspieszony oddech zdradzał intensywność doznań. Trevor podniósł ją tak, by suknia opadła na swoje miejsce.

- To było... - Eden urwała i uśmiechnęła się do niego. Hrabia zaśmiał się cicho.

- Mogę się tylko z tobą zgodzić. - Posadził ją sobie na kolanach. Oboje czekali, aż ich oddechy się wyrównają i uspokoją.

Eden spojrzała na męża.

- Może powinniśmy podbić ci jeszcze drugie oko.

## 25

Eden zjawiła się na śniadaniu pierwsza. Nałożyła na talerz porcję szynki i trochę jajecznicy i usiadła przy stole. Nie ruszyła jednak jedzenia, tylko je rozgrzebała. Trawił ją niepokój i zły humor. Po wczorajszym wieczorze miała nadzieję, że spędzi noc u boku męża, ale Trevor odprowadził ją do pokoju i zostawił. Rozczarowanie szybko przerodziło się w gniew, że tak łatwo mu przyszło ją porzucić. Przez całą noc wierciła się w swym wielkim łóżku.

Do jadalni wkroczyła Corinna. Podeszła do córki i pocałowała ją w czubek głowy.

- Dzień dobry, Eden. - Popatrzyła na jej talerz, ale nic nie powiedziała.

- Dzień dobry, mamó. Czy dobrze spałaś?

- Całkiem dobrze, dziękuję. Nic lepiej nie robi na sen niż spokojny umysł.

- Pani Grant nałożyła sobie trochę pieczonego bażanta i jajecznicy.

Eden patrzyła na matkę ze zdumieniem. Matka była najwyraźniej w wyśmienitym humorze.

- Jedz. Nie chciałabym cię oglądać wychudzonej. - Corinna podniosła kawałek mięsa do ust. - Mmm. Macie tu znakomitego kucharza.

Nie spuszczać wzroku z matki, Eden nabrała na widelec trochę jajecznicy, ale nie podniosła do ust. Zachowanie Corinny za bardzo ją wytrąciło z równowagi. Po kłótni ojca z Trevorem matka powinna być zmartwiona, a przynajmniej pełna powagi. Tymczasem jadła z wielkim apetytem, jakby nie miała żadnych trosk.

Zanim Eden zdążyła coś powiedzieć, przyłączył się do nich Trevor. Oko miał wciąż spuchnięte, otoczone sińcem we wszystkich kolorach tęczy.

- Dzień dobry paniom. - Wziął talerz i podszedł do bocznego stołu.

- Dzień dobry, Trevorze. - Corinna pozdrowiła go z uśmiechem.

Eden upuściła widelec, który spadł z brzękiem na jej talerz. Nie bardzo rozumiała przyjacielski ton matki. Corinna Grant naprawdę się ucieszyła na widok swego zięcia.

Wreszcie do jadalni wszedł Stuart Grant.

- Dzień dobry - mruknął.

- Dzień dobry, papo.

Ojciec nałożył sobie jedzenie na talerz i obrócił się w stronę stołu. Koło Trevora było wolne miejsce. Stuart spiorunował jednak wzrokiem zięcia i zajął miejsce przy przeciwległym końcu stołu.

Zachowanie ojca wcale nie zdziwiło Eden.

Podczas śniadania nie panowała już śmiertelna cisza. Pani Grant wciąż zadawała pytania na temat Concordii, ignorując posępne spojrzenia męża. Matczyzna dociekliwość wzmogła jeszcze zdziwienie Eden. Ryeburn także odbierał ze zdumieniem przyjacielskie gesty swej teściowej. Eden była szczęśliwa, że matka stara się uznać Trevora za członka rodziny, ale zarazem poczuła się zdradzona. Wypłakiwała się przecież na ramieniu matki nie dalej jak wczoraj wieczorem. Czyżby nie dotarło do niej, jak nieszczęśliwa jest jej córka?

Stuart Grant pierwszy wstał od stołu.

- Wybieram się na spacer. - Spojrzał znacząco na żonę.

- Idę z tobą. - Corinna uśmiechnęła się promiennie do hrabiego. - Tak pięknie opisałeś ten majątek, że mam ochotę zobaczyć jak najwięcej. Stuart chrząknął.

- Idziesz, czy nie?

Eden zawsze podziwiała matkę za to, że nigdy nie lękała się ojca. Kiedy Stuart Grant miał tak posępną minę, wszyscy z wyjątkiem żony bali się go. Eden

nie lubiła być przyczyną pojawienia się tej miny - tylko matka nigdy się tym nie przejmowała.

- Idę, kochanie. - Pani Grant wzięła męża pod rękę i oboje wyszli z pokoju.

W jadalni zapadła cisza. Eden odetchnęła z ulgą. Nie zdawała sobie sprawy z tego, w jak nerwowy nastrój wprowadziła ją przyjacielska pogawędka matki.

- Mam nadzieję, że dobrze spałaś. Zdziwiła się, słysząc głos męża.

- T-tak, dziękuję - skłamała.

- Twoja matka mnie zaskoczyła. Po wczorajszym wieczorze nie spodziewałem się tak przyjaznego zachowania. Znacznie lepiej rozumiem reakcję twojego ojca.

Eden spojrzała na męża.

- Czy oko cię jeszcze boli?

- Tylko wtedy, gdy się uśmiecham.

- W takim razie, nie powinno cię za często boleć. Trevor zachichotał.

- To był żart. Boli mnie tylko, gdy go dotykam. - Wstał od stołu. - Mam parę spraw do załatwienia. Może poszła-byś na spacer z rodzicami. Ty także nie zwiedzałaś jeszcze majątku.

- Myślę, że tak zrobię.

Hrabia odsunął jej krzesło, by ułatwić wstawanie.

- Jeśli będziesz czegoś potrzebowała, zwróć się do Fin-cha albo do pani Byrd.

Eden pokiwała głową, choć jego odprawa rozdarła jej serce. Zachowywał się tak, jakby zupełnie zapomniał o wczorajszym wieczorze. A nawet tak, jakby nie życzył sobie jej obecności. Czyżby zrobiła coś złego?

Łzy zakręciły się jej w oczach. Wybiegła z jadalni, nie mówiąc już ani słowa.

Trevor patrzył za nią. Zachowanie żony zaskoczyło go równie mocno, jak zachowanie teściowej. Przeczesał włosy dłonią. Śniadanie w jej towarzystwie było trudną lekcją samokontroli. Gdy tylko na nią spoglądał, miał przed oczami jej uda. Wczorajsza namiętna reakcja Eden przeraziła go nie na żarty. Nie ufał sobie na tyle, by spędzić z nią noc w jednym łóżku. Nie ufał sobie nawet teraz. Dzięki Bogu, że przy śniadaniu była pani Grant. Gdyby zabrakło jej nieustannych pytań, mógłby zupełnie stracić panowanie nad sobą.

Zasiadł przy swoim biurku w gabinecie i próbował skoncentrować się na lekturze gazety. Jego spojrzenie wędrowało od czasu do czasu w kierunku fotela, który był niemyim świadkiem ich namiętnych uścisków. Zniecierpliwiony własnym zachowaniem, zerwał się i obrócił fotel. Wrócił na miejsce i znów starał się skoncentrować. Czytał artykuł o sesji Parlamentu, ale nie wzbudził on jego zainteresowania. Odłożył więc gazetę i zajął się rachunkami. Liczby interesowały go jeszcze mniej. Usiadł wygodniej na krześle.

Kochanki, które miewał od czasu do czasu, nigdy nie oddawały mu się z taką pasją, jaką objawiła Eden poprzedniego wieczoru. On sam zaś nigdy nie doświadczył rozkoszy w tak cudowny sposób wypełniającej również duszę. Co się z nim dzieje? Nie powinien myśleć o własnej żonie w ten sposób. Większość jego znajomych z Parlamentu szukała satysfakcji w ramionach kochanek, podczas gdy żony służyły im do podtrzymania rodu. Miał zamiar pójść ich śladem. Kiedy doszedł do wniosku, że wystarczy mu Eden?

Trevor wstał i zaczął krążyć po pokoju. Własne myśli zaczęły go przerażać. Krążył więc coraz szybciej. Nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by nie był pewny własnego zdania. Chaos, który zapanował w jego umyśle, zupełnie wytrącił go z równowagi.

Nagle zatrzymał się przy oknie. Dojrzał Eden spacerującą razem z rodzicami. Stuart szedł w środku, Corinna po jego lewej stronie, Eden przytulała się do prawego ramienia ojca. Cała trójka rozmawiała z ożywieniem, konwersację przerywały czasem wybuchy śmiechu. Trevora ogarnęła fala

zazdrości na widok tej szczęśliwej rodziny. Jego własny ojciec zawsze go zupełnie ignorował. A gdy już zwracał na niego uwagę, to tylko po to, by go zwymyślać i poniżyć.

Trevor z czasem znienawidził ojca.

Znów zerknął przez okno na rodzinę, w której wszyscy się szanowali. Nawet w gniewie mogli być pewni wzajemnego oddania. I miłości.

Hrabia usiadł ciężko. Zazdrość gdzieś zniknęła. W jego znękany umyśle pozostała jedna, jasna myśl. Pragnął, by jego rodzina była podobna do tej, którą widział przez okno. Chciał mieć rodzinę, w której wszyscy się kochają i wspierają. Zbyt wielu znajomych wynajmowało liczne bony, które miały dbać o to, by potomstwo nie zakłócało im życia. Zbyt wiele znanych mu rodzin było w istocie grupkami obcych ludzi, złączonych jedynie więzami krwi.

On sam był niedawno gotów rozpocząć takie właśnie życie.

Przebiegł go lodowaty dreszcz, gdy o tym pomyślał.

Tymczasem pachnąca lawendą kobieta wstrząsnęła jego życiem tak, że nie potrafił sam siebie rozpoznać. Rzuciła mu w twarz niczym obelgę to, co uważał za nobilitujące i szlachetne. Lekceważyła wszelkie konwenanse, idąc za głosem swego serca. Miał wiele szczęścia, że została jego żoną.

Oddech uwiązał mu w gardle. Zakręciło mu się w głowie.

Zrozumiał, że kocha Eden.

Gdy po raz pierwszy spojrziała na niego z wyrzutem swymi chłodnymi, błękitnymi oczami, wtargnęła do jego serca i już w nim pozostała. Tymczasem on dopiero teraz uświadomił sobie, że nie wyobraża sobie życia bez niej.

Trevor wyjrzał przez okno. Eden nie było już widać.

W pierwszej chwili chciał ją natychmiast odszukać, zanieść do swego pokoju i trzymać tam tak długo, aż usłyszy, że i ona coś wobec niego czuje. Pokręcił głową. Wystraszyłby ją tylko takim zachowaniem. Nie, trzeba dokładnie zaplanować, w jaki sposób przezwycięży jej dumę.

Uwagę Ryeburna przyciągnął jakiś ruch w oddali. Po chwili ujrzał Lorane szukającą cienia. Dziewczynka trzymała pod pachą swój szkicownik.

Obezwładniło go poczucie winy. Jego siostra cierpiała przecież znacznie bardziej niż on. On szybko zrozumiał, że ojciec go nie kocha. Lorane była jeszcze w tym wieku, w którym mogła mieć nadzieję na czyjeś uczucie. Matka nigdy jej tego nie zapewni, on zaś odsunął się od siostry z tak głupiego powodu, jak podejrzenia o jej pochodzeniu z nieprawego łoża. Powróciły do niego słowa Eden. Nie ma znaczenia, czy w żyłach Lorane płynie ta sama krew. Przecież i tak może być jego siostrą.

Trevor chciał wprawdzie zobaczyć żonę, ale oto nadarzała się okazja, by naprawić stosunki z Lorane. Eden i tak za nim nie tęskni. Całą uwagę poświęca teraz rodzicom. Wyszedł z gabinetu.

W ciągu paru minut dotarł do Lorane, która zdziwiła się na jego widok. Usiadł na trawie obok siostry.

- Mogę zobaczyć, co rysujesz?

Dziewczynka przycisnęła szkicownik do piersi i spojrzała na niego przymrużonymi oczami.

- Dlaczego?

- Chciałbym się przekonać, jak utalentowana jest moja siostra. -

Wyciągnął rękę.

Popatrzyła na niego przez szkła okularów, po czym z pewnym wahaniem podała mu szkicownik.

Ryeburn zaczął go przeglądać. Jego wzrok przyciągnęła piękna, narysowana z detalami orchidea. Linie były tak wyraziste, że choć szkic został wykonany węglem, można było sobie bez trudu wyobrazić barwę kwiatu.

Trevor obrócił kartkę i oniemiał z wrażenia. Ujrzał portret Eden, stojącej po łydki w wodzie. Lorane musiała go narysować wtedy, nad strumieniem.

Uśmiech Eden opromieniał stojące wokół niej dzieci. Lorane nie dokończyła rysunku, ale udało jej się uchwycić nastrój chwili.

- Nie do wiary - szepnął.

- Nie dokończyłam tego rysunku. Wiem, że jest nieudany.

- Mylisz się. Dziewczynka zmarszczyła brwi.

- Oddaj mi mój szkicownik.

- Nie, nie. Źle mnie zrozumiałaś. Masz niewiarygodny talent. Nie miałem pojęcia, że potrafisz tak rysować.

- Pokazał jej obrazek, wskazując Eden. - Spójrz tylko na tę wygiętą szyję. Udało ci się uchwycić atmosferę zabawy. Z tego rysunku emanuje szczęście Eden i radość dzieci.

- Ale większość twarzy jest pozbawiona wyrazu. -W głosie Lorane było mnóstwo wątpliwości.

- To nie ma znaczenia. Ten rysunek już teraz świeci prawdziwym blaskiem. - Hrabia przeczesał włosy dłonią.

- Nie sądzę, bym umiał to wszystko wyrazić, nie jestem przecież artystą. Wiem tylko, że to jest rysunek nie tylko do oglądania, że on budzi uczucia.

- Naprawdę tak myślisz? - Zielone oczy Lorane rozbłysły.

- Naprawdę. Myślę też, że powinienem wynająć ci nauczyciela.

Lorane znów spochmurniała.

- Już wynająłeś pannę Dunfield.

- Czy panna Dunfield uczy cię rysunków? -Nie.

- W takim razie muszę znaleźć kogoś, kto się tym zajmie. Nauczyciela sztuki. - Uśmiechnął się do siostry.

- Naprawdę chcesz to zrobić? - Na twarzy dziewczynki odmalowała się niekłamana radość.

- Jak najbardziej. - Trevor zaczął przerzucać kartki szkicownika, w którym dominowały rysunki roślin. -Zdaje się, że lubisz rośliny.

- O, tak. - Przerwała na chwilę. - Mogę ci coś powiedzieć?

- Bardzo proszę.

- Rośliny są dla mnie jak rodzina. Patrzą, jak rosną. Pomagam im, by stały się silne, by zakwitły i wydały owoce. Tyle się można od nich nauczyć.

- To pięknie brzmi. Ale rośliny nie są twoją rodziną. Ja jestem twoim bratem.

Lorane przyglądała mu się przez chwilę, zanim zmarszczyła brwi.

- Pewnie myślisz, że jestem głupia.

- Wcale nie. Kiedy byłem chłopcem, nie mogłem się doczekać, aż wrócę do szkoły, do swoich książek. Książki były moją rodziną. - Trevor ujął Lorane pod brodę, by skierować na siebie jej spojrzenie. - Wiem, że nie byłem najlepszym bratem. Ale mam nadzieję, że dasz mi szansę, bym mógł to nadrobić.

Oczy dziewczynki wypełniły się łzami.

- Nie wiem...

- Obiecuj przynajmniej, że pozwolisz mi spróbować. Lorane przełknęła ślinę.

- Tyle mogę obiecać.

Hrabia zaśmiał się i pocałował siostrę w czubek głowy.

- Eden miała rację. Jesteś niezwykłym dzieckiem.

- Lubię Eden. - Lorane uśmiechnęła się nieśmiało. - Wybrałaś sobie dobrą żonę.

- Ja też tak uważam. - Trevor oddał siostrze szkicownik. - Skoro rysujesz tak znakomicie już teraz, nie chcę nawet myśleć, co się stanie, gdy zaczniesz brać lekcje.

- Czy myślisz, że mogłabym też dostać jakieś książki na temat botaniki?

- Dlaczegoż by nie?

Siostra znów otworzyła usta, ale hrabia powstrzymał ją gestem dłoni.

- Mam wprawdzie parę lat zaniedbań do nadrobienia, ale to jeszcze nie znaczy, że zamierzam cię od razu rozpuścić.

Lorane miała przez chwilę niepewną minę, ale zaraz się roześmiała.

- Jesteś sprytniejszy, niż sądziłam. Trevor śmiał się razem z nią.

- Muszę ci jakoś dotrzymać kroku. - Podniósł się z ziemi. - Czy widziałaś, w którą stronę poszła Eden z rodzicami? Z nią także muszę porozmawiać.

Wyraz twarzy Lorane upewnił go w przekonaniu, że ona doskonale rozumie tę potrzebę. Trevor uzmysłowił sobie, że jego mała siostrzyczka już niedługo przestanie być dzieckiem. Niewiele brakowało, a byłby się spóźnił.

- Poszli do ogrodu. - Lorane otworzyła szkicownik i wzięła do ręki węgiel.

- Dziękuję. - Ryeburn ruszył do przodu, ale po chwili znów przystanął. - Czy panna Dunfield wie, że tu jesteś?

- Nie. - Lorane zarumieniła się.

- W takim razie znajdź sobie lepszą kryjówkę - poradził z uśmiechem hrabia. - Jeśli wyjrzy przez okno, na pewno cię zauważy.

Nieco zaskoczona dziewczynka wzięła szkicownik i oddaliła się jeszcze bardziej.

- Dziękuję ci, Trevorze - krzyknęła jeszcze przez ramię.

- Tylko nie rób tego za często - odkrzyknął. Zaczekał, aż Lorane zniknie mu z oczu, i ruszył w stronę ogrodu.

Najpierw ich usłyszał, a potem zobaczył. Eden śpiewała, jej ojciec klaskał, a matka wspierała się na jego ramieniu. Wszyscy byli tak szczęśliwi, że Trevor poczuł, iż nie powinien przeszkadzać.

Jeszcze nie teraz. Ale już niedługo, przyrzekł sobie.

Wycofał się i wrócił do gabinetu. Dokumenty wprawdzie wciąż budziły jego niechęć, ale usiadł przy biurku, żeby załatwić parę spraw. Jego twarz rozjaśnił uśmiech. Wiedział już, czego pragnie, i zamierzał o to zabiegać. Nie miał wątpliwości, że zdobędzie serce Eden.

## 26

Mrok zaczynał powoli ogarniać Concordię. Nadszedł zmierzch.

Krzaki nieopodal bramy zaszeleściły, gdy Sterling wydostawał się ze swojej kryjówki. Otrzeptał ubranie z pyłu i przystanął. Wkrótce będzie mógł kupić sobie nowe ubranie, a to spalić. Ta myśl poprawiła mu humor.

Mężczyzna przeciągnął się i popatrzył na lewo i na prawo. Na drodze nie dostrzegł nikogo. Ruszył w stronę oświetlonego dworu i natychmiast zazgrzytał zębami. Nogi odmawiały mu posłuszeństwa po tylu godzinach spędzonych w krzakach. We wszystkich członkach czuł piekący ból, gdy tylko próbował się poruszyć. Cholerny Ryeburn! To także wina tego drania. Ależ on go nienawidzi.

W brzuchu mu zaburczało. Dzień spędzony w krzakach odbił się na stanie jego organizmu. Postanowił, że najpierw zatrzyma się w kuchni. To spowoduje wprawdzie kolejne opóźnienie, ale za to jakże rozkoszne. Dobry posiłek na koszt Ryeburna. Może nawet trochę brandy. Sterling zganił sam siebie. Lepiej nie przesadzać. Łatwiej mu będzie zrealizować plan na trzeźwo. Później przyjdzie czas na brandy.

Mimo że mrok zapewniał dyskrecję i nikogo nie było widać w zasięgu wzroku, mężczyzna przemykał się od drzewa do drzewa. Nadmierna pewność siebie mogła zniweczyć szanse na zemstę. Lepiej kryć się w cieniu, niż ryzykować, że ktoś go zdemaskuje.

Fasada ogromnego dworu zamajaczyła wreszcie w ciemnościach. Światła z okien padały na trawnik. Story w gabinecie nie zostały zaciągnięte. Co za głupota. Sterling widział wewnątrz pokoju, jakby to był dzień. Za biurkiem ktoś siedział. Ryeburn. Jak zwykle - przy pracy. Ten człowiek nie ma prawa do swego majątku, jeśli nie potrafi z niego korzystać.

Sterling spoglądał na swego wroga przez chwilę spod przymrużonych powiek, a potem ruszył przed siebie. Jeszcze nie nadeszła pora konfrontacji. Jego plan był zbyt doskonały, by go niszczyć pod wpływem impulsu. Poza tym

nie zamierzał zrezygnować z przyjemności ujrzenia wyrazu twarzy Ryeburna, gdy tamten uświadomi sobie, że traci wszystko właśnie na rzecz Sterlinga. Gratulując sobie cierpliwości i mądrości, zachichotał w kułak.

Ostrożnie, by nie znaleźć się w snopie światła, przemknął się jeszcze bliżej domu. Teraz usłyszał jakieś głosy. Wiedział wprawdzie, że to głosy służących, ale na wszelki wypadek oddalił się nieco. Na tyłach domu, w ogrodzie łatwiej mu było się ukryć. Z tej strony w niewielu oknach paliło się światło. Krzaki ułatwiały mu przemieszczanie się, kryjąc każdy jego krok i ruch. W ten sposób dotarł do oranżerii. Drzwi się otworzyły z delikatnym skrzypnięciem. Okazało się, że dobrze wszystko pamiętał z maskarady. Wybrał idealną drogę.

Wszedł do środka. W oranżerii wciąż było gorąco. Rośliny i drzewa roztaczały świeżą woń. Sterling wciągnął głęboko powietrze. Co za cudowne uczucie. Wypełniła go radość. Wkrótce swym bogactwem przyćmi fortuny ojca i Ryeburna razem wzięte.

W holu rozległy się czyjeś kroki. Szybko skrył się za palmą i przylgnął do ściany. Odgłosy kroków zaczęły się oddalać.

Znów zaburczało mu w brzuchu. Do diaska! Najlepiej od razu rozwiązać ten problem.

Sterling znów wymknął się do ogrodu i skierował w stronę kuchennego wejścia. Jeśli szczęście mu dopisze, nie zastanie nikogo ze służby. Powinni właśnie jeść obiad. Zajrzał do kuchni. Pusto.

Od razu nabrał otuchy. Los mu najwyraźniej sprzyja. Jeśli zapomnieć o całym dniu spędzonym w krzakach i o bólu mięśni, to trzeba przyznać, że bez trudu przedostał się na teren Concordii. Jego plan się powiedzie. Opatrzność wynagrodzi mu wszelkie niesprawiedliwości i cierpienia ostatnich dni. Na razie zaś czeka go niezły posiłek.

Wziął talerz z półki i ukroił sobie dwa plastry pieczonej wołowiny, dorzucił kawałek przepiórki i trochę tarty morelowej. Jeszcze szynka z

groszkiem. Rybę ominął. Zrobił natomiast trochę miejsca na talerzu, by umieścić tam garść truskawek, polał je śmietaną i wymknął się z kuchni. Znalazł dobrze zakamuflowaną ławkę i rozpoczął ucztę. Na deser zjadł truskawki ze śmietaną.

Przydałby się kufel piwa, ale cóż, trzeba się zabrać do roboty. Eden przyniesie mi później piwo. Uśmiechnął się triumfalnie. Miał wielką ochotę rozbić talerz o kamienną ławkę, ale dźwięk tłuczonego szkła mógłby wywołać alarm. Zostawił więc talerz na ławce i wrócił do oranżerii. Okrążył fontannę i bezszelestnie zbliżył się do drzwi prowadzących do holu.

Wiedział, że Ryeburn jest w swoim gabinecie. Poklepał kieszeń surduta. Pistolet był na swoim miejscu. Pozostało mu tylko odszukać Eden.

Wysunął głowę przez drzwi. W holu nie było nikogo. Ruszył więc przed siebie, uważnie nasłuchując, gotów w każdej chwili skryć się za kolejnymi drzwiami.

Gdzie ona się podziewa? O tej porze nie powinna leżeć jeszcze w łóżku, choć nie miałby nic przeciwko temu. Potrafi wszak uczyć się na błędach. Tym razem szybko potwierdziłby swoje prawa do niej.

Usłyszał dźwięki fortepianu dobiegające z salonu muzycznego. Doskonale. Z krzywym uśmieszkiem zmienił kierunek. Zajrzał do pokoju i zobaczył, że Eden właśnie zbiera nuty z instrumentu. Była sama.

Z lekkim sercem wkroczył do pokoju.

- Dobry wieczór, lady Ryeburn.

Eden otworzyła usta ze zdumienia. Jej dłoń opadła na klawiaturę, wydobywając dysonansowy akord.

- Sterling.

Nim zdążyła się ruszyć, intruz wyciągnął z kieszeni pistolet.

- Proszę zachować spokój, lady Ryeburn. Wolałbym nie robić użytku z tego pistoletu.

Eden pokiwała głową na znak, że będzie mu posłuszna, i zapatrzyła się w czarną lufę. Serce podeszło jej do gardła, nogi się pod nią ugięły.

- Czego pan chce?

- Tylko tego, co i tak już dawno powinno należeć do mnie.

- Nie rozumiem.

- Wkrótce, pani.

- Co pan tu robi?

- Zamierzam przywrócić właściwy porządek. Ryeburn musi zapłacić za to, co zrobił. Powinna pani być moją żoną. Byłoby znacznie prościej, gdyby od razu wyszła pani za mnie. Bo teraz Ryeburn będzie musiał umrzeć.

Serce Eden ścisnęło się trwogą, nie mogła złapać tchu. On chce zabić Trevora! Trzeba go jakoś powstrzymać. Tylko jak?

Sterling wyciągnął jakiś papier z kamizelki.

- Proszę. - Podał kartkę hrabinie. Eden obróciła ją w palcach.

- Ta kartka jest pusta.

Sterling spojrzał na nią z niechęcią.

- Wiem o tym. Proszę. - Tym razem podał jej przenośny zestaw do pisania. - Napisze pani do Ryeburna.

- Co miałabym napisać? - Im więcej czasu zyska, tym większa nadzieja, że ktoś tu przyjdzie.

- Czekam na ciebie w oranżerii.

Eden położyła kartkę na pianinie i napisała, co jej kazano. Gdy skończyła, popatrzyła na swego prześladowcę.

- Powinam napisać, dlaczego go o to proszę. W przeciwnym razie będzie się dziwił.

- Jeśli będzie ciekaw, to przyjdzie - zaśmiał się Sterling. - Ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Eden przebiegł lodowaty dreszcz. Sterling oszalał. Może uda jej się przemycić jakieś ostrzeżenie... Sterling wyrwał jej kartkę i przymrużył oczy.

- Myśli pani, że zwariowałem, ale to nieprawda. Jestem zdesperowany, a tym samym równie niebezpieczny, jak szaleniec. Proszę o tym nie zapominać. - Spojrzał na kartkę. - Świetnie. Wiedziałem, że jest pani za mądra, by próbować jakichś sztuczek.

Schował atrament i pióro jedną ręką, bo w drugiej wciąż trzymał pistolet. Potem złożył kartkę i podał ją hrabinie.

- Proszę zadzwonić na służbę i kazać doręczyć to Rye-burnowi. Radzę nie wpuszczać służącego do pokoju i nie próbować go w żaden sposób ostrzec. Jestem gotów strzelić w razie potrzeby, a wtedy zginie pani albo służący. Proszę pamiętać, że mam panią cały czas na muszce.

Sterling stanął za drzwiami i wskazał jej sznurek dzwonka.

Serce tłukło się jak oszalałe w jej piersi. Starła się oddychać spokojnie, ale nie na wiele się to zdało. Ciągnąc za sznurek, zastanawiała się gorączkowo, czy mogłaby dać jakiś znak służącemu. Rzut oka na twarz prześladowcy wystarczył, by zrezygnowała z tego pomysłu. Patrzył na nią jak kot, który czyha na mysz.

W drzwiach stanął Finch. Eden przypomniała sobie w ostatniej chwili, że miała go nie wpuszczać do pokoju. Podbiegła więc do drzwi.

- Czy mógłbyś przekazać to lordowi Ryeburnowi?

- Zawsze do usług, milady. - Kamerdyner uklonił się i wziął kartkę.

- Dziękuję, Finch - powiedziała głosem drżącym ze strachu.

Finch uniósł brew ze zdziwienia, ale nic nie rzekł. Wyszedł z pokoju.

Gdy tylko lokaj zniknął, Sterling wyskoczył zza drzwi. Chwytał ją za ramię i przytknął jej lufę do szyi.

- Popęłniła pani błąd, droga lady Ryeburn. Pani piękny głos omal pani nie zdradził. Idziemy.

Popchnął ją w stronę drzwi i wyjrzał na korytarz. Eden miała nadzieję, że ktoś się będzie kręcił po holu, ale nikogo nie było. Sterling szarpnął ją tak gwałtownie, że aż jęknęła.

- Cicho - syknął, ciągnąc ją za sobą w stronę oranżerii. Kiedy się potknęła, nawet nie zwolnił.

W oranżerii unosił się zapach ziemi zroszonej deszczem, ale Eden nie mogła się nim rozkoszować. Sterling pociągnął ją za fontannę, posadził na ławce, a sam usiadł naprzeciwko. Nie mogła więc nawet dojrzeć, czy ktoś się pojawił w holu. Lufa pistoletu była wciąż wymierzona w jej twarz.

Eden postanowiła spróbować pertraktować.

- Nie wiadomo, czy Trevor przyjdzie.

- Przyjdzie. Nie może zignorować takiej prośby, jeśli nie chce być niegrzeczny.

- Ale nie wiadomo, jak długo zabawi. - Szukała jakiejś luki w planie swego prześladowcy.

- Lady Ryeburn - urwał nagle. - To bez sensu. Już niedługo nie będzie przecież żadnej lady Ryeburn. Będę ci mówił po imieniu. Przecież wkrótce zostaniesz moją żoną.

- Najpierw będzie pan musiał mnie zabić. - Pomimo przerażenia Eden uniosła brodę.

- Nie. Najpierw zabiję Ryeburna. A potem się z tobą ożenię.

- Nie wyjdę za pana.

- Nie zaczynajmy tego od nowa. Nie będziesz miała wyboru.

- Jest pan nikczemnikiem. - Eden była równie przerażona, jak wściekła.

Nie wiedziała, na jak długo starczy jej trzeźwości umysłu.

Sterling zerwał się na równe nogi i wymierzył jej policzek.

- Trzymaj język za zębami, ty suko! Nie masz pojęcia, co to znaczy stracić wszystko, na co się ciężko zapracowało.

Eden chwyciła się za policzek.

- Pan też nie ma o tym pojęcia. Nigdy pan na nic nie zapracował.

- Czy ty wiesz, co ten sukinsyn, Ryeburn, zrobił z moją reputacją? Moja reputacja jest w strzępach. Wszystkie drzwi się przede mną zamkną. I z czego

będę żył? - Sterling zaczął nerwowo spacerować. - Ryeburn nasłał na mnie policję. Wyobrażasz sobie, jak mój ojciec zareagował, gdy panowie z Bow Street zapukali do jego drzwi? Nie powiedział im, że jestem w domu, ale tej samej nocy wyrzucił mnie na bruk. Moja własna rodzina się mnie wyrzekła. Ojciec dał mi trochę pieniędzy, żebym mógł wyjechać z kraju, i kazał mi się osiedlić w jakimś skromnym miejscu. W skromnym miejscu! Podczas gdy on może wybierać między trzema wiejskimi posiadłościami i londyńskim pałacem. I dlaczego? - Sterling wycelował pistolet w twarz hrabiny, by podkreślić swoje słowa. – Ponieważ cię uprowadziłem. Jakbyś była kimś znaczącym. A przecież jesteś Amerykanką.

Eden patrzyła na Sterlinga z coraz większym przerażeniem. Na jego ustach pojawiła się piana. Wymachiwał pistoletem, a jego twarz stała się jeszcze bardziej odpychająca.

- Ale jeszcze nie wszystko stracone. Zrozumiałem to, gdy przyszedł mi do głowy wspaniały plan. Będziesz bez wątpienia bogatą wdową. A zresztą jest jeszcze twój ojciec. Gdyby zaś on nie chciał nas utrzymywać, będziemy żyć z twojego głosu. Obawiam się, że w tym wypadku trzeba by przeprowadzić się do Ameryki. To barbarzyński kraj, no, ale nic na to nie można poradzić. - Sterling przestał się miotać. Uspokoił się w jednej chwili i usiadł na ławce. - Zdaje się, że uprzedziłem wypadki.

Jego uśmiech przyprawił Eden o mdłości. Sterling przestał jednak wymachiwać pistoletem.

- Chcę, żebyś zaśpiewała.

- Mam zaśpiewać?

- Tak. Chcę usłyszeć twój głos. W ten sposób skrócimy sobie oczekiwanie. Po ślubie będziesz musiała się nauczyć wykonywać moje polecenia bez zbędnych pytań.

Eden próbowała oddychać spokojnie, ale paliło ją w gardle. Nie może przecież zaśpiewać dla tego człowieka. On zamierza zabić Trevora. Jak można w tej sytuacji śpiewać?...

Wówczas przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Spojrzała na lufę wycelowanego w jej twarz pistoletu i poczuła przyływ nowych sił. Jej plan może się powieść. Oby tylko Trevor pamiętał. I oby dotarł tu w porę, by usłyszeć jej śpiew.

- Proszę wybaczyć, jeśli głos mi trochę zadrży. Nie zwykłam śpiewać, gdy jestem przerażona.

- Jak zawsze masz niewyparzony język - zaśmiał się Sterling. - Zajmę się tym z przyjemnością w swoim czasie.

- A jak tam pańskie oko?

Sterling zerwał się z krzesła. Eden patrzyła w lufę pistoletu z dziwnym spokojem. Jeśli teraz rozlegnie się strzał, wszyscy zostaną zaalarmowani i Trevor będzie bezpieczny.

Naciśnij spust - poprosiła w duchu.

Wściekłość wykrzywiła twarz prześladowcy, ale ponownie usiadł na krześle.

- Tak. Z przyjemnością cię poskromię. A teraz śpiewaj. Eden pokiwała głową.

- Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że wybiorę jedną z moich ulubionych piosenek?

- Nie ma sprawy. - Machnął ręką. Eden wzięła głęboki oddech.

*Tam strumyk płynął z wolna, a nad nim drzewa rosły, a jego lśniące fale ślicznego pstrąga niosły.*

## 27

- Dziękuję, Finch. - Trevor wziął kartkę z tacy. Gdy kamerdyner wyszedł, przeczytał: „Czekam na ciebie w oranżerii”.

Przez chwilę wpatrywał się w zdanie, które tak dziwnie wyglądało na tle prawie pustej strony. Dlaczego Eden przysłała mu taką tajemniczą wiadomość? Jeśli chciała z nim porozmawiać, mogła przecież przyjść do gabinetu. Nie ma czasu...

Hrabia spojrział na swoje dokumenty. Jeszcze parę minut i upora się z rachunkami. Zerknął jeszcze raz na wiadomość od żony i podniósł się z biurka.

Wsunął kartkę do kieszeni kamizelki. Róg kartki zahaczył o brzeg monety. *Numquam tuas spes dedisce*. Uśmiechnął się i wyszedł z gabinetu. Miał zamiar kierować się marzeniami, a nie rozumem, i już się z tego cieszył.

Coś go jednak niepokoiło. Dlaczego Eden wysłała mu tę wiadomość? Mogła równie dobrze przekazać ją Finchowi. Trevor pokręcił głową, zbliżając się do oranżerii. Już dawno przestał starać się zrozumieć postępowanie swej żony.

Gdy był już niedaleko oranżerii, usłyszał śpiew Eden. Uśmiechnął się. Jej śpiew brzmiał, jak zwykle, wspaniale. Po paru krokach nagle przystanął.

*Ma miłość jest jak ten pstrąg, co pragnie, by siła twych rąk i by blask twej urody wyłowiły go z wody.*

To ta okropna rybia piosenka, której nawet jej głos nie mógł upiększyć.

*Ach, wyłów mnie, wyłów, najmilsza ma,*

*dla ciebie ja jestem stworzony.*

*Nie pragnie chyba dusza twa,*

*bym w wodach tych zginął strapiony.* Eden nie cierpi tej piosenki.

Dlaczego ją śpiewa?

- Dość - warknął męski głos. - Ta piosenka jest okropna. Zaśpiewaj coś, co jest warte twojego głosu.

Kto to taki? Niewiele brakowało, a hrabia wpadłby z impetem do oranżerii, powstrzymały go jednak słowa żony:

- Ależ ja bardzo lubię tę piosenkę.

Eden kłamała. Ryeburn wiedział doskonale, że nie znosi tego utworu.

- Napisał ją dla mnie jeden z konkurentów. Bardzo miło go wspominam. Kolejne kłamstwo.

- Tym bardziej nie powinnaś jej śpiewać. Nie będziesz mi tu wyśpiewywała treli swoich poprzednich kochanków.

Trevor zamarł. Rozpoznał wreszcie męski głos. To głos Sterlinga.

Niech go wszyscy diabli porwą. Hrabiego ogarnęła prawdziwa furia. Powinien był przewidzieć, że Sterling będzie szukał zemsty. Wziął głęboki oddech, usiłując zapanować nad swoimi emocjami. Nie chciał, by zaślepiła go nienawiść, nie chciał narazić Eden na niebezpieczeństwo nieprzemyślanym zachowaniem.

- Zaśpiewaj coś innego.

- Nie. Chcę zaśpiewać...

- Zrobisz, co ci każę! - krzyknął Sterling.

Ryeburn zakradł się pod drzwi i zajrzał do środka. Po drugiej stronie oranżerii stał Sterling z pistoletem. Trevor zadrżał z gniewu.

- Dlaczego Ryeburn jeszcze tu nie przyszedł? Męczy mnie to czekanie. - Sterling popatrzył w stronę drzwi. Hrabia cofnął się natychmiast do holu. Czego tamten od niego chce?

- Mówiłam panu, że może wcale nie przyjść. - W głosie Eden nie było śladu strachu.

- Przyjdzie. Zaśpiewaj coś innego. Coś lepszego.

Trevor postanowił, że jeszcze raz zaryzykuje. Gdy wsunął głowę przez drzwi, Eden, która się właśnie obróciła, spojrzała na niego z przerażeniem i nieznacznie pokręciła głową.

- Obróć się - rozkazał Sterling. - Zasłaniasz mi drzwi. Eden odwróciła się posłusznie.

- A teraz śpiewaj. Tylko żadnych numerów o rybach. Nie zapomnij o tym, moja mała. - Uniósł nieco wyżej pistolet.

- Nie strzeli pan do mnie, bo przecież wówczas nie zobaczyłby pan moich pieniędzy. A poza tym, jeśli straci pan kulę, to jak pan strzeli do Trevora?

Hrabia wiedział, że to on jest właściwym adresatem tych słów. Eden mówiła, że nic jej nie grozi, i ostrzegała, że intruz zamierza go zabić.

- Jesteś stanowczo za sprytna. Jeśli ładnie dla mnie Zaśpiewasz, obiecuję, że okażę trochę miłosierdzia Ryeburnowi, gdy już się tu zjawi.

Eden wzięła oddech, tak, że słychać to było w holu, i zaczęła śpiewać prześliczną, ludową piosenkę.

Trevor tymczasem usiłował wymyślić, jak uratować swą żonę. Wiedział już, że Sterling chce zabić jego, a nie ją, wszystko się w nim jednak gotowało na samą myśl o tym, że zostawia ją w towarzystwie tego podstępного węża. Jeśli jednak wejdzie tam teraz, może się zdarzyć, że oboje zostaną ranni. Trzeba wezwać kogoś na pomoc. Nie miał wątpliwości, do kogo należy się zwrócić.

Popędził do biblioteki i gwałtownie otworzył drzwi. Corinna siedziała Stuartowi na kolanach. Zerwała się na równe nogi, a jej mąż spiorunował zięcia wzrokiem.

- Czy pan nigdy nie puka?

- Cicho, Stuarcie, przecież to jego dom. - Pani Grant wygładziła suknię, rumieniąc się nieznacznie.

Nie zwracając uwagi na teściową, Ryeburn podszedł od razu do teścia.

- Potrzebuję pańskiej pomocy.

Pan Grant podniósł się z miejsca, ale nic nie powiedział. Trevor zacisnął pięści.

- Do diaska, człowieku, nie mam czasu, by pana prosić. Eden potrzebuje pańskiej pomocy.

Wyraz twarzy Granta zmienił się natychmiast.

- Co się stało z Eden?

- Człowiek, który ją porwał, powrócił. Trzyma ją teraz w oranżerii.

- Kto porwał Eden? - Oczy Stuarta Granta zrobiły się jeszcze chłodniejsze.

- Nie mam czasu na tłumaczenia.

- Później ci wszystko wyjaśnię, Stuarcie, obiecuję - dodała Corinna.

Hrabia rzucił teściowi pełne zniecierpliwienia spojrzenie. Piorunujący wzrok tamtego nie robił na nim wrażenia. Trevor myślał wyłącznie o Eden.

- Gdy my tu tracimy czas na kłótnie, Sterling celuje z pistoletu w głowę pańskiej córki.

- Och, Stuarcie. - Głos Corinny się załamał.

- Wierzę, że nic się jej nie stanie. On zamierza strzelić do mnie. Chce mnie zabić, żeby ożenić się z Eden dla pieniędzy. - Ryeburn wciąż patrzył w błękitne oczy teścia. Takie same jak oczy jego żony.

- Czy ona kocha tego Sterlinga?

- Stuarcie! - krzyknęła Corinna.

- Nie. - Hrabia nawet nie mrugnął pod spojrzeniem teścia.

- Gdybym podejrzewał, że go kocha, sam bym pana zabił, byle uczynić ją szczęśliwą.

- Wiem. - Trevor rzeczywiście spodziewał się takiej odpowiedzi.

Pani Grant pociągnęła męża za ramię.

- Eden jest w niebezpieczeństwie. Nasza córka potrzebuje twojej pomocy. Jej mąż potrzebuje twojej pomocy. Jeśli twój upór ją zabije, nigdy ci nie wybaczę.

Ryeburn obrócił się do teściowej.

- Nic się jej nie stanie. - Nic się jej nie może stać. Złapał Stuarta Granta za ramię. - Czy pan mi pomoże?

- Co mam zrobić?

- Do oranżerii prowadzą jeszcze jedne drzwi, z ogrodu. Sterling spodziewa się, że ja wejdem z holu - i rzeczywiście, tak właśnie zrobię.

Trevor znów stanął w holu przed drzwiami do oranżerii. Eden prawie już skończyła ludową piosenkę. Wziął głęboki oddech i wszedł do środka.

- Chciałaś się ze mną zobaczyć?

Eden otworzyła usta i zasłoniła je dłonią. Pieśń urwała się w pół słowa.

Sterling skoczył na równe nogi.

- Tak, tak, przyłącz się do nas. - Zarechotał z własnego dowcipu. Chwycił zakładniczkę za ramię i przyciągnął do siebie. Przystawił jej lufę do skroni.

Eden zeszywniała, ale nie dała żadnego innego sygnału niepokoju.

Hrabia zatrzymał się na chwilę, a potem zdecydowanym krokiem wszedł do oranżerii. Uzbroił się wewnętrznie, by znieść widok pistoletu dotykającego skroni ukochanej kobiety. Dziękował w duchu za to, że lata żelaznej dyscypliny nauczyły go samokontroli.

- O, Sterling. Właśnie się zastanawiałem, kiedy się znowu pokażesz. - Podszedł do stojącego pod ścianą stolika, na którym znajdowała się taca z karafkami i kieliszkami. - Kieliszek brandy?

-Nie.

-Jak sobie życzysz. - Trevor nalał sobie drinka i przełknął trochę alkoholu. Potem ruszył w stronę Sterlinga i Eden, minął fontannę i usiadł na ławce. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Czy ty jesteś ślepy, człowieku? Mam tu twoją żonę. -Sterling popchnął Eden. Ta skrzywiła się, bo przy okazji wykręcił jej rękę.

- Owszem, widzę. - Trevor znów przelknął trochę brandy, mając nadzieję, że to mu pomoże ukryć furję, jaka nim owładnęła. Miał ochotę zabić Sterlinga za to, w jaki sposób traktuje Eden.

Sterling zauważył spuchnięte oko Ryeburna i zaśmiał się.

- Kto ci to zrobił? Chętnie bym mu pogratulował.

- No cóż, mogę w każdym razie powiedzieć, że zrobił to mężczyzna. A jak twoje oko?

- Nie będę tęsknił za twoimi dowcipami. Jestem pewien, że niejeden mi podziękuje za uwolnienie świata od twego sarkazmu - warknął Sterling.

Eden wlepiła pełne przerażenia spojrzenie w męża. Co on robi? Czyżby nie zrozumiał jeszcze, że Sterling zamierza go zabić? Dlaczego się z nim drażni? Nie powinien tu wchodzić. Sterling nic jej nie robi. Jak Trevor może siedzieć tak spokojnie i pić brandy?

- Jesteś pewien, że nie masz ochoty na drinka? - Hrabia uniósł swój kieliszek. - Niezła.

- Nie, do diaska! - Sterling popchnął hrabinę tak, że się przewróciła.

Eden spostrzegła, jak rysy Trevora tężeją. Jednak nie ruszył się z miejsca. Najwyraźniej coś zaplanował. Zrozumiała, że jej mąż jest w pełni świadom niebezpieczeństwa.

Podniosła się i odsunęła na bok. Gdyby tylko udało jej się stąd wymknąć...

- Ani kroku dalej, Eden. Zamarła bez ruchu.

- Siadaj. - Sterling popchnął ją tak, że wylądowała na kamiennej ławce. Przez chwilę brakowało jej tchu.

- Wiesz, dlaczego tu jestem? - zapytał Sterling gospodarza szyderczym tonem.

- Podejrzewam, że chcesz się na mnie zemścić. - Trevor znów łyknął trochę brandy. Mówił spokojnym, jakby znudzonym głosem. Eden podziwiała jego opanowanie. - Wyobrażasz sobie zapewne, że to ja jestem przyczyną

wszystkich twoich kłopotów. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że sam spowodowałeś własną katastrofę.

- Ty bezczelny psie! Zdaje ci się, że to nie ty zniszczyłeś moją reputację?

- Sterling podniósł pistolet, celując w twarz Ryeburna.

Eden krzyknęła. Sterling obrócił się w jej stronę, jakby nagle sobie przypomniał, że ona wciąż tu jest. Chwycił ją za ramię i znów popchnął.

- Może mina ci trochę zrzędnie, jak się z nią zabawię na twoich oczach.

Hrabia uniósł brwi.

- Doprawdy, chyba już się z nią zabawiałeś?

Eden spojrzała na męża. Trevor wiedział przecież, że to nieprawda. W jego ciemnych oczach nie dojrzała współczucia.

Sterling otworzył usta ze zdziwienia.

- Ja nigdy... - urwał i spojrzał na swego wroga. Po chwili zarechotał. - Myślałeś, że została splugawiona, a mimo to się z nią ożeniłeś? Dlaczego? Nie, nie musisz odpowiadać. Wiadomo, że chodziło ci o reputację. O jej reputację i o twoją własną. No, no. Nieźle. Albo nie skonsumowałeś jeszcze swojego małżeństwa, albo okazało się, że wcale nie była taka niewinna, jak sądziłeś. - Sterling zaśmiewał się do łez. - Chyba jednak napiję się tej brandy. Twoja ładacznicą mi przyniesie. Eden spostrzegła, że dłoń, w której Trevor trzymał kieliszek, pobieliała, ale jego twarz nie zdradzała żadnych emocji. Podeszła do stolika i naląła kieliszek brandy. Nie chciała, żeby mąż stracił panowanie nad sobą.

- Miałem ją, i owszem. - Sterling pochylił się w stronę swego wroga. - Tak słodko się wiała pode mną. I znów ją będę miał, gdy tylko się ciebie pozbędę.

Eden poczuła, że coś jej rośnie w gardle, na samą myśl o tym, że Sterling mógłby jej dotknąć. Podała mu kieliszek brandy, a on chwycił ją za rękę i polizął ją po wierzchu. Eden wyrwała dłoń i otarła ją o spódnicę.

- Ona jest hrabiną Ryeburn, Sterling. Muszę więc cię prosić, byś nie mówił o niej w ten sposób. - Tylko pobielające usta świadczyły o tym, jaka wściekłość targa Trevorem.

- Zawsze hrabia pełną gębą, prawda Ryeburn? Nie cierpisz swojej żony, ale będziesz jej bronił, tylko dlatego, że jest twoją hrabiną. Z przyjemnością obedrę cię z twojej godności, powoli i konsekwentnie.

Kątem oka Eden spostrzegła jakiś ruch w tylnej części oranżerii. Spojrzała w tamtą stronę. Ujrzała ojca, który, trzymając palec na ustach, przybliżył się o kolejny krok do obu mężczyzn.

Eden popatrzyła na Sterlinga, który stał odwrócony plecami do jej ojca.

- Zaczę od tego, że ci przyprawię rogi na twoich oczach. - Sterling rzucił kieliszkiem o ścianę. - Chodź no tu, ty ladacznico.

- Nie waż się mówić w ten sposób o mojej córce. - Grant był już za plecami Sterlinga.

Gdy zdezorientowany mężczyzna obejrzał się do tyłu, Trevor rzucił się na niego. Pistolet wypalił z hukiem, kiedy jego właściciel padał na ziemię. Trevor siadł na Sterlingu okrakiem i bez opamiętania zaczął okładać go wściekle pięściami.

Sterling zdołał jakoś strząsnąć z siebie przeciwnika i wstać, ale tylko po to, by hrabia znów się na niego rzucił od tyłu. Sterling wpadł twarzą do sadzawki. Wynurzył głowę z wody, plując i prychając.

Ryeburn wskoczył do sadzawki, nie troszcząc się o swoje buty, i pociągnął tamtego za kark.

- Chodź no tu. Pokaż mi, czego to chciałeś mnie nauczyć. - Rąbnął przeciwnika pięścią prosto w nos.

Sterling chwycił się za nos obiema rękami, ale i tak pomiędzy jego palcami wypływała krew.

- Jeśli choć jedna moja ryba zdechnie od twojej krwi, każę cię powiesić. Choć równie dobrze mogę cię kazać powiesić tylko dla zabawy. - Trevor wyciągnął intruza z wody i cisnął nim o ziemię.

- Niezła robota, panie harpio. Tutaj jest lina, którą kazał mi pan przynieść. Chętnie bym pomógł związać tego nędznika.

- Będzie mi bardzo miło.

- Ma pan niezłe uderzenie. Cieszę się, że nie poczułem go na własnym nosie podczas naszego pierwszego spotkania.

Trevor dotknął oka, które wciąż go bolało.

- Zdaje się, że mógłbym się sporo od pana nauczyć, sir. Stuart związał Sterlingowi ręce na plecach.

- Ma pan ochotę dokończyć dzieła?

- Nie, proszę samemu dokończyć. Chcę się zająć moją żoną.

Hrabia odwrócił się w stronę Eden, która siedziała na ławce, trzymając się rękami za brzuch.

- Przepraszam, że musiałaś na to patrzeć.

- Nic ci się nie stało. - Głos Eden drżał, z jej twarzy zniknął mglisty uśmiech. Z jej oczu płynęły łzy.

- Dzięki tobie. Postąpiłaś bardzo mądrze, śpiewając tę rybią piosenkę. - Trevor otarł łzę z jej policzka i poczuł, że jej skóra jest bardzo chłodna. - Zmarzłaś. Pozwól, że przyniosę ci trochę brandy.

- Nie - szepnęła. - Obejmij mnie.

Trevor przytulił ją i poczuł, jak drży w jego ramionach.

- Musimy cię jakoś rozgrzać.

- Nie pozwól mi umrzeć, Trevorze. Chyba jestem ranna. Ryeburn cofnął się, by na nią spojrzeć.

- To tylko szok. Byłaś bardzo dzielna i dopiero teraz daje o sobie znać przerażenie.

Eden pokręciła głową i zamknęła oczy.

- Nie, Pistolet... - Odsłoniła swój brzuch.

Hrabia spojrział na jej zakrwawione dłonie, a potem na czerwoną plamę na jej sukni koloru kości słoniowej. Patrzył z przerażeniem, jak plama się powiększa.

- O Boże, nie...

## 28

- Eden. - Trevor popatrzył na bladą twarz swej żony. -Eden!

Wieść o dramatycznych wydarzeniach szybko obiegła cały dom. Lokaje biegli na pomoc Stuartowi, który wiązał Sterlinga, pokojówki tłoczyły się w drzwiach. Oranżerię wypełniał szum głosów.

Trevor nic jednak nie słyszał. Wziął żonę na ręce. Eden jęknęła.

- Finch! - krzyknął. - Finch!

Kamerdyner stanął natychmiast u jego boku. Na widok swej pani zawołał.

- Och, sir!

- Wezwij natychmiast chirurga. Pospiesz się. Grant podniósł wzrok i skoczył na równe nogi.

- Eden...

Związany Sterling patrzył na to wszystko z przerażeniem.

-Ja jej nie zastrzeliłem! Nie chciałem jej nic zrobić. Nie możecie mnie o to obwiniać.

Hrabia zlekceważył go.

- Ryeburn, ja nie chcę zawisnąć za to na szubienicy. Nie miałem zamiaru do niej strzelić!

Stuart przyklęknął obok Sterlinga. Więzień zaczął się wić pod pełnym nienawiści spojrzeniem mężczyzny. Ten zaś chwycił go za gardło.

- Lepiej módl się, żeby ona nie umarła, ty nędzniku, bo inaczej zabiję cię gołymi rękami. - Grant puścił szyję Ster-linga, który zaczął kaszleć i parskać.

Na jego skórze zostały wyraźne, czerwone ślady palców. - Proszę wezwać

władze i zamknąć gdzieś tego drania, póki jeszcze nie wyszarpałem mu serca własnymi paznokciami.

Stuart podszedł do zięcia. W drzwiach oranżerii stanęła Corinna. Gdy Trevor zbliżył się do niej, zakryła usta dłonią.

- Eden, moje dziecko - szepnęła.

- Daj mi ją, człowieku. - Grant stanął przed zięciem.

- Proszę mi zejść z drogi. - Trevor ominął teścia bez wahania.

- Ona jest moją córką. - Stuart znów zastąpił mu drogę.

- Ona jest moja żoną. - Hrabia spiorunował wzrokiem Granta, ominął go i pospieszył w stronę schodów.

Corinna położyła dłoń na piersi męża.

- Później będziecie się kłócić. Pozwól, by zaniósł ją do łóżka. - Uniosła spódnicę i pobiegnęła za zięciem.

Trevor szedł tak szybko, jak tylko mógł, jednocześnie starając się nie narażać żony na wstrząsy. Cały czas tulił ją do serca. Nie umieraj. Nie możesz umrzeć.

Nogą otworzył drzwi do swego apartamentu, a potem do sypialni. Położył Eden na łóżku i wziął ją za rękę. Ona nie otworzyła jednak oczu, nie wydała żadnego dźwięku. Była taka blada, taka zimna. W oczy biła tylko jaskrawa czerwień krwawej plamy, coraz większej plamy.

Jej pierś zapadła się, jakby jakiś kamień wydusił z niej życie. Drżącymi palcami Trevor rozwiązał szarfę jej sukni. Nie mógł rozpiąć guzików bez odwracania rannej, chwycił więc tkaninę obiema dłońmi i rozerwał. Plama na koszuli była jeszcze większa.

Strach wypełnił jego duszę. Rozpacz i gniew targwały nim na przemian. Mógł tylko patrzeć, jak życie ucieka z jego ukochanej. I czuł, że jego także opuszcza wola życia.

Z okrzykiem przerażenia na ustach chwycił prześcieradło i przycisnął do rany, pragnąc zatamować krew.

Corinna stanęła koło niego.

- O Boże! - Poglaskała córkę po czole i wzięła ją za rękę. -Eden, czy ty mnie słyszysz? - Jej głos załamywał się od łez.

Eden nie poruszyła się.

Dłonie, w których Trevor ścisnął prześcieradło, pobielaly. Znów otworzyły się drzwi. Hrabia popatrzył na wchodzącą panią Byrd. Serce mu się krajało z rozpaczy. Gdzie się podziewa ten przeklęty chirurg?

Ochmistrzyni wniosła miskę i kilka zwojów płótna.

- Musimy zdjąć koszulę.

Ryeburn nie wahał się ani chwili. Rozerwał cieniutką tkaninę bez trudu. Dziura w ciele jego żony wyglądała skandalicznie na tle jej nieskazitelnej skóry. Pani Byrd zanurzyła płótno w misce i wytarła krew.

- Niech pan lepiej stąd wyjdzie, panie hrabio. Nie wypadalby pan tu zostać.

- To moja żona.

- Tak, proszę pana. - Ochmistrzyni nie odrywała wzroku od rany.

Corinna dotknęła jego ramienia.

- Trevorze, proszę cię. Stuart jest sam.

- W takim razie proszę pójść do niego. Ja nie opuszczę mojej żony. -

Pochylił się nad łóżkiem i odgarnął włosy z jej twarzy.

Pani Byrd położyła płótno na ranie i przykryła Eden kocem.

- Nie mogę zrobić nic więcej.

Znów otworzyły się drzwi. Trevor dojrzał stojącego w drzwiach Stuarta. Teść wyglądał tak, jakby w ciągu godziny postarzał się o parę lat. Do sypialni wszedł chirurg i zamknął za sobą drzwi. Podszedł do łóżka, stawiając czarną torbę z instrumentami na podłodze. Odchylił koc i zapytał:

- Co się stało?

- Rana postrzałowa. - Ryeburn nie mógł opanować irytacji, wiedząc, że obcy mężczyzna patrzy na jego żonę.

Chirurg wskazał palcem panią Byrd.

- Potrzebuję mnóstwo czystej wody. Trochę ręczników i płótna na szarpie.

Rozpalcie tu ogień. W tym pokoju powinno być bardzo ciepło.

Ochmistrzyni wybiegła z sypialni.

Lekarz pochylił się nad pacjentką i odsłonił ranę.

- Wszyscy muszą stąd wyjść.

- Nie. - Trevor nie ruszył się ze swego miejsca.

- Nie będę mógł jej pomóc, jeśli wszyscy będą nade mną wisieć i zasłaniać światło. Proszę wyjść. Jeśli potrzebna mi będzie pomoc, na pewno zawołam. - Lekarz dotknął skóry Eden.

- Chodź, Trevorze. - Corinna pociągnęła za sobą zięcia, który tym razem zrezygnował z protestów. Wychwycił nutę niepokoju w głosie chirurga.

Stuart krążył niespokojnie po drugim pokoju apartamentu pana domu. Zatrzymał się na widok żony.

- Co z Eden?

- Jeszcze nic nie wiemy. - Corinna pokręciła głową, zamykając drzwi.

Hrabia popatrzył na drewno oddzielające go teraz od żony. Drzwi wydały mu się nagle nieprzeniknioną barierą odcinającą go od źródła ciepła.

- Przepraszam, sir - zagadnął go Finch. - Przygotowałem panu czystą koszulę i spodnie w sąsiednim pokoju. Może się pan trochę umyje? Swój wyglądem mógłby pan przestraszyć panią hrabinę, gdy się już obudzi.

Trevor spojrzał po sobie. Uniósł dłonie. Miał krew Eden na palcach i na nadgarstkach. Kamizelkę i koszulę pokrywały czerwone smugi. Zamknął oczy. Eden, och, Eden.

- Tędy, proszę pana. - Finch otworzył przed nim drzwi.

Niczym w transie Trevor poszedł za służącym do sąsiedniego pokoju. Do apartamentu żony. Czekala tam na niego miska wody. Nie czuł guzików pod zdrtwiałymi palcami, gdy rozpinał kamizelkę i koszulę. Rzucił ubranie na

podłogę. Gdy Finch podniósł poplamione części garderoby, z kieszeni kamizelki coś wypadło. Kamerdyner podniósł monetę i położył ją koło miski.

Trevor mył się jak automat. Wiedział, że woda jest ciepła, ale wcale tego nie czuł. Mydło wciąż wyślizgiwało mu się z rąk. Szorował skórę ostrą szczotką, ale nie czuł bólu. Woda zrobiła się różowa.

Jego spojrzenie padło na monetę. Wziął ją w palce. Dlaczego spodziewał się, że na twarzy Wenus ujrzy łyżę? Na rewersie pływał spokojnie łabędź. Hrabia przypomniał sobie motto. *Numquam tuas spes dedisce.*

Jego marzenia umierały właśnie w sąsiednim pokoju.

Krzyknął gniewnie i rzucił monetą. Pieniążek uderzył w wazon stojący na kominku. To nie był talizman szczęścia. Jakieś przekleństwo zawisło nad nim w dniu, w którym to znalazł.

Ryeburn ubrał się i wrócił do swego apartamentu, by dalej czekać.

Chirurg wyszedł wreszcie z sypialni, ocierając dłonie ręcznikiem. Trevor wstał, ale nic nie powiedział.

Corinna szukała w powietrzu dłoni męża, ale jej nie znalazła. Ani ona, ani Stuart nie odrywali wzroku od lekarza.

- Zrobiłem wszystko, co mogłem. - Chirurg zwrócił się do pana domu. - Kula przeszła tuż pod żebrami. Nie naruszyła ani żołądka, ani płuc. Oczyszczyłem ranę i zszyłem ją najlepiej, jak potrafię.

- Czy to znaczy, że ona będzie żyła? - wyszeptała pani Grant.

- Jest jeszcze za wcześnie, by coś powiedzieć. Straciła mnóstwo krwi, jej puls jest słaby. Na to wszystko nakłada się szok. Trzeba jej zapewnić ciepło. Powinna poradzić sobie z utratą krwi, ale szczerze mówiąc, obawiam się zakażenia. Proszę dbać o to, by rana była czysta. Nic więcej nie mogę powiedzieć.

- Czy naprawdę nic więcej nie możemy zrobić? - zapytała Corinna jeszcze cichszym głosem.

- Tylko czekać. I modlić się. - Chirurg położył dłoń na ramieniu Trevora. A potem skinął głową ze współczuciem i wyszedł.

Ryeburn opadł na krzesło. Wsparł głowę na dłoniach. Nie myślał o niczym. Odrętwienie odcięło go od całego świata, także od własnych uczuć i doznań.

Stracił poczucie czasu. W pewnej chwili uświadomił sobie, że Corinna zajrzała do Eden i że wróciła, kręcąc głową. Pani Byrd przyniosła jedzenie, które stygło na stoliku, przy którym siedział.

O świcie w pokoju zrobiło się trochę jaśniej, ale hrabia nie ruszył się z miejsca. Nie wiedział, na co właściwie czeka. Zaglądał do żony dwa razy i choć nic nie usprawiedliwiało nadziei na jej ozdrowienie, on czekał na cud. Teściowa usiadła przy łóżku córki. Teść został z nim w drugim pokoju. Nie odzywali się do siebie. Trevor czuł oskarżycielskie spojrzenia starszego pana, ale nie próbował się bronić, bo wiedział, że tym razem Grant miał rację. Zawiódł swoją żonę. Jeśli Eden umrze, to właśnie on będzie temu winien.

Skrzypnęły drzwi prowadzące do holu. Lorane wsunęła do pokoju rudą głowę, nieuczesaną jeszcze po nocy.

- Trevorze? - Podbiegła do brata.

Ryeburn spojrzał na dziewczynkę. W jej zielonych oczach lśniły łzy.

- Czy to prawda? Panna Dunfield powiedziała mi, że ktoś strzelił do Eden. Czy to prawda?

Trevor przełknął ślinę i pokiwał głową.

Lorane zalała się łzami. Zarzuciła mu ręce na szyję i szlochała rozpaczliwie. Po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że inni także cierpią. Przytulił siostrę.

- Szsz, malutka. - Z trudem dobył z siebie głos po nocy spędzonej w pełnym napięcia milczeniu.

- Ona nie może umrzeć. Ja ją kocham. - Lorane szukała u niego pocieszenia.

- Ona także cię kocha. Możesz być tego pewna. - Przypomniał sobie, jak Eden rozgniewała się na niego za to, jak traktuje swą siostrę. Eden zburzyła mur, który zbudował pomiędzy sobą a tym dzieckiem. Zburzyła także mur, który oddzielał go od własnego serca.

- Chcesz ją zobaczyć? - Nie był pewien, czy powinien pozwolić Lorane na tę wizytę, ale nie miał dla niej żadnej innej propozycji.

Dziewczynka pokiwała głową. Trevor wziął ją za rękę i poprowadził do pokoju chorej.

Eden nie poruszyła się, od kiedy położył ją na łóżku. Oddychała spokojniej, ale kolor nie wrócił na jej policzki.

Corinna Grant odwróciła głowę. Miała zaczerwienione oczy, ale nie zaprotestowała, gdy ich zobaczyła.

- Wygląda tak, jakby spała - szepnęła Lorane.

- Wiem. - Hrabia spojrzał na swą ukochaną. Znów poczuł w sercu ból, ale tym razem nie próbował powstrzymać łez. Ukląkł przy łóżku.

Dwie małe rączki dotknęły jego policzków. Lorane obróciła ku sobie twarz brata.

- Możesz się rozplakać, Trevorze. Zawsze czuję się lepiej, gdy mogę się wyplakać.

Ryeburn przytulił siostrę i poczuł łzy na policzkach.

- Dziękuję ci, Lorane. Ktoś musiał mi to powiedzieć. Corinna wyciągnęła rękę do dziewczynki.

- Chodź ze mną, Lorane. Myślę, że Trevor powinien zostać z Eden sam.

Dziewczynka podała dłoń pani Grant.

- Pani jest jej matką?

- Tak i bardzo ją kocham.

- Eden ma szczęście. - Lorane wyszła z pokoju w towarzystwie Corinny, a Trevor zamyślił się nad tym, co powiedziała.

Czy Eden ma szczęście? Przyjrzał się twarzy żony. Na bladych policzkach wciąż nie było śladu życia. Niemniej Lorane miała rację. Eden znała miłość rodzinną, podziw obcych i wolność ducha. A jeśli szczęście dopisze, pozna też miłość mężczyzny. Trevor postanowił, że spędzi resztę życia na okazywaniu swej miłości żonie, jeśli tylko wyzdrowieje.

Gdy wstawał, natknął się na pana Granta. Spojrzał na teścia. Jego twarz przybrała złowieszczy wyraz.

- Zabieram ją do domu.

- Ona jest w domu.

- Nie zasługuje pan na nią, jeśli nie potrafi się pan o nią zatroszczyć. Eden wróci z nami do domu.

Ryeburn wyprostował się z godnością.

- Nie może jej pan zabrać.

Teść stuknął go w pierś jednym palcem.

- Zobaczymy.

- Najpierw będzie pan musiał mnie zabić.

- Niechże pan mnie nie prowokuje, panie harpio.

- Eden jest moją żoną.

- To nie ma znaczenia. Małżeństwo można unieważnić.

- Nie w tej rodzinie.

- Pańska reputacja znaczy dla pana tak wiele, że gotów pan zrujnować jej życie? - Grant przymrużył powieki.

Trevor zacisnął pięści.

- Niech diabli porwą moją reputację! Eden jest i zostanie moją żoną.

- To moja córka i ja wiem najlepiej, co jest dla niej dobre.

- Jej życie nie jest pana sprawą.

- Jest, skoro pan okazał swą niekompetencję.

- Jeśli spróbuje mi pan ją odebrać, gorzko pan tego pożałuje - rzucił

Trevor przez zaciśnięte zęby.

- Czy pan mi grozi?

- Jak najbardziej.

- Proszę tylko spróbować mnie powstrzymać. Zanim Ryeburn zdążył cokolwiek odpowiedzieć, do jego uszu dotarł dziwny szelest. Obrócił się w stronę łóżka. Eden otworzyła swe błękitne oczy. Jej usta wykrzywił grymas.

- Czy moglibyście przestać się kłócić? Próbuję zasnąć.

## 29

Trevor utkwiał wzrok w żonie, a potem opadł na kolana koło łóżka.

- Eden? Słyszysz mnie?

- Oczywiście, że cię słyszę. Krzyczysz tak, że obudziłbyś umarłego. Czy mogłabym się zdrzemnąć?

Hrabia odchylił głowę do tyłu i wydał okrzyk radości. Chwycił żonę za rękę.

- Czy pamiętasz, co się stało?

- Tak. Sterling do mnie strzelił. - Eden otworzyła oczy szerzej. - Dzień dobry, papo.

- Dzień dobry, mój aniele. - Stuart pocałował córkę w czoło.

Eden spojrzała na ojca ze zdumieniem.

- Papo, ty płaczesz!

- Tak. Bardzo się o ciebie martwiliśmy. Jak więc, twoim zdaniem, powinienem zareagować? - Stuart Grant ukrył łzy pod maską irytacji.

- Kocham cię, papo. - Eden chciała usiąść, ale od razu opadła na poduszki. Ból pod żebrami odebrał jej oddech. Jej twarz znów śmiertelnie pobladła.

Trevor podtrzymał ją i ułożył na poduchach.

- Nie ruszaj się na razie. Rana mogłaby się otworzyć.

- Nie miałam pojęcia, że to będzie tak bolało. Na pewno przez jakiś czas nie będę próbować. Możesz mi zaufać.

- A kiedy poczujesz się lepiej, zabiorę cię do domu -uśmiechnął się do niej ojciec.

- Do domu? - zdziwiła się Eden.

- Do Fairlawne.

- Czy Trevor także jedzie?

Grant spiorunował zięcia wzrokiem.

- On tu zostaje.

- Rozumiem. - Eden wzięła głęboki oddech. Rana nie doskwierała jej już tak bardzo, jak serce. Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, do pokoju weszła matka.

- Eden. - Corinna podbiegła do łóżka i ujęła twarz córki w obie dłonie. - Jak się czujesz?

- Okropnie. - Po jej twarzy płynęły strumienie gorących łez.

Corinna wstała z łóżka i pogroziła palcem obu panom.

- Uciekajcie stąd.

Ryeburn wstał i popatrzył na teściową.

- Madam, ja...

- Proszę wyjść. - Pani Grant uparcie wskazywała drzwi. Stuart skrzyżował ramiona na piersiach.

- Corinno...

- Ty także, Stuarcie. Eden potrzebuje spokoju. Idźcie już.

- Mam za wiele doświadczenia, by się z tobą sprzeczać. -Stuart pocałował córkę i wyszedł.

Corinna postukiwała stopą w podłogę, spoglądając na zięcia i niemo pytając: a ty, na co czekasz?

- Mam jeszcze za mało doświadczenia, by się pani nie sprzeciwić - uśmiechnął się Trevor. - Zamierzam zostać z moją żoną. Mamy wiele spraw do omówienia.

- Doprawdy? - Pani Grant zwróciła się do córki. - Czy chcesz, żeby został?

- Nie - szepnęła Eden.

Corinna spojrzała na zięcia z triumfalnym wyrazem twarzy.

Ten jednak odezwał się pierwszy.

- Nie nauczyłem się jeszcze ustępować Eden. - Obszedł teściową i przysunął sobie krzesło do łóżka. Usiadł i wziął żonę za rękę. - Bardzo cię boli?

Jego dłoń grzała mocniej niż koce. Jak to możliwe, że nie przestaje reagować tak żywo na jego dotyk, skoro już wie, że Trevor nie chce, by z nim została?

- Czuję się jeszcze gorzej, niż ty wyglądasz. - Delikatnym gestem dotknęła jego oka.

- Już mnie nie boli. - Ryeburn dotknął ustami jej dłoni. Ręka Eden opadła na łóżko.

- Czy Sterling?...

- Sędzia pokoju będzie go trzymał pod kluczem, dopóki policja z Bow Street nie zjawi się tu, by go zabrać do Londynu. Mieszkańcy wsi są na niego wściekli, od kiedy się dowiedzieli, że wyrządził ci krzywdę. - Hrabia przerwał i pogłaskał ją po dłoni. - Podbiłaś ich serca swoją wizytą i wycieczką z dziećmi. Bardzo cię pokochali.

Eden nie wiedziała, co odpowiedzieć. Co z tego, że cała wieś ją podziwiała, skoro mężczyźni, którego ona kocha, zupełnie na niej nie zależy. Jak nakłonić męża, by kochał swoją żonę?

- Jestem pewna, że szybko o mnie zapomną, gdy tylko wyjadę.

Pani Grant zmarszczyła brwi.

- Dokąd się wybierasz? Jesteś za słaba, by gdziekolwiek jechać. Musisz najpierw wydobrzcć.

- Papa mi mówił, że zabierzecie mnie do domu, gdy się lepiej poczuję.

- Co takiego? - wykrzyknęła Corinna.

- Tak będzie najlepiej, mamo.

Trevor wypuścił jej dłoń i spojrzał prosto w jej oczy.

- Czy tego właśnie pragniesz?

Eden przełknęła gorzką ślinę. Przypomniała sobie, jak szybko londyńskie towarzystwo zaczęło ją darzyć atencją. Wystarczy kilka tygodni, by wieści o jej przygodach rozeszły się po salonach. Hrabia nie potrzebuje żony, która nie potrafi się stosownie zachować.

- Tak - szepnęła.

Ryeburn wstał i zaczął krążyć po pokoju.

- To niemożliwe! - zawołała Corinna. - Ojciec nie ma prawa rozdzielać cię z mężem.

Oczy Eden wypełniły się łzami. Widziała matkę jak przez mgłę.

- Nic nie rozumiesz. Jestem pewna, że można jeszcze unieważnić małżeństwo i że Trevor znajdzie sobie odpowiednią żonę.

Trevor zatrzymał się w pół kroku i znów podszedł do łóżka.

- Na jakiej podstawie? Małżeństwo zostało skonsumowane.

- Nikt nie musi o tym wiedzieć. - Eden pokręciła głową.

- A jeśli spodziewasz się dziecka?

Eden zamknęła oczy i poczuła, jak łzy wypływają jej spod powiek i wypalają piekące ślady na policzkach.

- Będę daleko stąd, nim ktokolwiek spostrzeże, że jestem przy nadziei.

- Chciałabyś wychowywać moje dziecko bez ojca? Czowała na sobie jego palące spojrzenie.

- Nie wrzeszcz na mnie. Na razie nie musimy się o to martwić.

- Czy pomyślałaś o tym, co się stanie z twoją reputacją?

- Znów moja reputacja. - Gniew skrzyżowany z wielkim bólem dodał energii jej słowom. - Mam ją w nosie!

- Ale jaki wpływ twoja decyzja będzie miała na dziecko? Dziecko odziedziczy twoją reputację. – Chłód i wściekłość, które przebijały z jego głosu, sprawiły, że przeszył ją dreszcz.

Eden rozumiała, skąd się bierze wrogość Trevora. Niewiele wiedziała o jego ojcu, ale to, co słyszała, było odrażające. Trevor włożył wiele wysiłku w to, by przewyciężyć to fatalne dziedzictwo. To jednak nie umniejszało jej oburzenia.

-Jeśli noszę w łonie twoje dziecko, będę je kochać i postaram się nie wpoić mu nienawiści do ojca, któremu nie zależało na jego matce.

- Nie mów mi, na kim mi zależy, a na kim nie, bo tak się składa, że cię kocham - krzyknął Trevor.

- Tak się składa, że ja także cię kocham - odkrzyknęła. Corinna wybuchnęła perlistym śmiechem. Kiedy odzyskała panowanie nad sobą, podeszła do drzwi i otworzyła je.

- Myślę, że powinniście zostać sami.

Eden patrzyła na męża szeroko otwartymi oczami.

- Kochasz mnie? - Zajrzała w jego ciemne, otwarte oczy i spostrzegła lśniące w nich łzy.

Trevor siedział na brzegu łóżka, starając się nie kołysać materacem.

- Nie możesz mnie opuścić. - Podniósł jej dłoń do ust. -Nie możesz mnie opuścić.

- Nigdy - szepnęła. Nieśmiało otarła łzę, która spłynęła mu po policzku. - Naprawdę mnie kochasz?

- Kocham cię. - Trevor pocałował ją w czoło. - Kocham twoje straszliwie błękitne oczy - ucałował jej powieki - kocham twoje usta - pocałował jej wargi - kocham twój głos. -Pocałował ją w szyję i uśmiechnął się szelmowsko. - Resztę pokażę ci, gdy już wydobrzejesz.

Oddech Eden zaczął się rwać.

- Przede wszystkim zaś kocham ciebie, to coś wyjątkowego, co jest tylko w tobie. - Trevor dotknął delikatnie miejsca, w którym biło jej serce. - Potrzebuję cię. Wstrząsnęłaś w posadach moją nudną egzystencją, przywróciłaś mnie życiu.

- Naprawdę? - Eden mówiła z trudem, bo wzruszenie dławilo ją za gardło. - Myślałam, że tylko wywołuję skandale.

- Bo wywołujesz. - Uśmiech Trevora znów zaparł jej dech. - I jeśli kiedykolwiek przestaniesz się ścigać konno, brodzić bosą w strumieniu z wiejskimi dzieciakami i wygrywać w wista z księciem, to nigdy ci tego nie wybaczę.

- A co z twoją reputacją?

- Co z moją reputacją? Łudziłem się, że jestem człowiekiem honoru. Czy człowiek honoru pozwoliłby, żeby jego siostra nie zaznała ciepła rodzinnego? Czy człowiek honoru pozwoliłby, żeby świat rządził nim bez reszty? Czy człowiek honoru pozwoliłby, żeby odeszła od niego ukochana kobieta?

- Och, Trevorze. - W jej oczach zalśniły łzy. - Przysięgam, zazwyczaj tyle nie płaczę. - Uniosła ramiona, by wziąć go w objęcia i, krzywiąc się, od razu je opuściła. - Za bardzo mnie boli, bym mogła cię dotknąć.

- Będziemy mieć mnóstwo czasu, gdy już wydobrzejesz. - Hrabia musnął jej policzek, ocierając przy tym łzy. - Tylko musisz szybko wyzdrowieć. Gdy cię widzę w swym łóżku i nie mogę się koło ciebie położyć, cierpię katusze.

- Wiem.

Trevor usiadł i spojrzał na nią podejrzliwie.

- Czuję to samo. - Zarumieniła się przy tym wyznaniu. Ryeburn uśmiechnął się, ale po chwili na jego twarzy znów zagościł dziwny wyraz.

- Czy naprawdę chciałaś samotnie wychowywać moje dziecko?

Eden pokiwała głową.

- Już dawno cię pokochałam. Gdybym nie mogła mieć ciebie, chciałabym mieć twoje dziecko.

- Jesteś naprawdę wyjątkowa.

- Nigdy nie rozmawialiśmy o dzieciach...

- A teraz nie jest najważniejszy moment. Eden ogarnęła niepewność.

- Czy nie chcesz mieć dzieci?

- Chcę - jęknął Trevor. - Ale jeśli będziemy o tym rozmawiać jeszcze przez chwilę, to nie będę mógł stanąć przed twoimi rodzicami. - Pochylił się i szepnął jej do ucha: - Muszę na jakiś czas o tym zapomnieć, skoro na razie nie możemy nic z tym zrobić.

Hrabia wyslizgnął się z sypialni pół godziny później. Eden znów zasnęła, a jego ogarnęła niewypowiedziana ulga. Patrzył na śpiącą żonę. Nawet jej oddech brzmiał w jego uszach jak muzyka. Zamykał za sobą drzwi z uśmiechem na ustach.

Corinna i ciskający groźne spojrzenia Stuart czekali na niego w sąsiednim pokoju.

- Eden zostaje - oświadczył Trevor z uśmiechem.

- Słyszałem, panie harpio. - Spojrzenie Stuarta Granta zionęło chłodem. - Niewiele brakowało, a moja córka umarłaby poprzedniej nocy. Dlaczego miałbym uwierzyć, że potrafi się pan o nią zatroszczyć?

- Dlatego, że ją kocham. - Ryeburn wcale nie był zakłopotany swoim wyznaniem. Podszedł do teścia. - Kocham ją nad życie i jeśli dobrze się znam na ludziach, to założę się, że wie pan doskonale, co czuję.

Stuart zerknął na swą żonę. Jego rysy złagodniały, ale gdy spojrział na zięcia, znów przybrał marsową minę.

- A co z Eden? Czy ona także pana kocha?

- Tak powiedziała. - Znów ogarnęła go radość.

- Niewykluczone, że majaczy w malignie. - Grant podrapał się w policzek.

- Stuarcie, zostaw Trevora w spokoju - przywołała go do porządku żona. -  
Twoja córka go kocha, a on kocha ją.

- Ona jest za młoda, by wiedzieć, czego chce. Hrabia przymrużył oczy.  
Miał już dość zapasów słownych z tym człowiekiem.

- Z całym szacunkiem, sir: nie uda się panu wygrać tego sporu. Jeśli  
nawet za sprawą dziwnego zrządzenia losu zdoła pan zabrać Eden do  
Massachusetts, pojedę za wami i przywiozę ją do domu. Jej miejsce jest u mego  
boku. Niewiele brakowało, a byłbym ją stracił, i zareczam, że nigdy więcej do  
tego nie dopuszczę.

Po raz pierwszy spojrzenie Granta ociepliło się nieco, a na jego ustach  
pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

- Miło mi to słyszeć, panie harpio. Wiem, aż za dobrze, jak się czuje  
człowiek, który niemal stracił ukochaną kobietę. - Stuart zerknął na żonę. -  
Kiedyś opowiem panu o tym.

Nagła zmiana, jaka zaszła w postawie teścia, zaskoczyła Trevora.

- Niechże pan nie robi takiej zdziwionej miny, panie harpio. W dalszym  
ciągu pana nie lubię, ale Eden dokonała wyboru. Muszę więc pogodzić się z  
tym, chyba że chcę, by zarówno ona, jak i jej matka przestały się do mnie  
odzywać.

Corinna uśmiechnęła się promiennie do męża.

- Zawsze wiedziałam, że jesteś inteligentny. - Wsunęła mu rękę pod  
ramię. - Chodźmy do naszego pokoju, Stuarcie. Skoro już wiem, że Eden czuje  
się lepiej, muszę się trochę przespać.

Ryeburn uniósł dłoń.

- Czy mógłbym mieć do pana jedną prośbę, panie Grant?

Twarz teścia znów spochmurniała. - Jaka?

- Czy zechciałby pan przestać mnie nazywać tym idiotycznym  
przezwisek? Może pan mówić do mnie Ryeburn albo Trevor, ale nie „panie  
harpio”.

Stuart zmarszczył brwi, jakby zamyślił się nad tą propozycją. Po chwili pokiwał głową.

- Rozumiem wprawdzie pańskie uczucia w tym względzie, ale obawiam się, że nieprędko spełnię pańską prośbę, panie harpio.

Trevorowi nie pozostało nic innego, jak się roześmiać.

## 30

Hrabia siedział w gabinecie, usiłując skończyć rozpoczętą pracę. Eden spała spokojnie przez całą noc, w przeciwieństwie do niego. Obraz Sterlinga z pistoletem w ręku nie opuszczał go ani na chwilę. W jego uszach wciąż wracało echo wystrzału.

Całe szczęście, że Sterling został zamknięty, bo Trevor zabiłby go bez wątpienia własnymi rękami.

Wzdragał się na samą myśl, że ten człowiek mógł naprawdę zastrzelić Eden. Wypił trzy filiżanki kawy, żeby się rozgrzać, ale napój spełniał swoje zadanie tylko przez chwilę.

Kiedy zobaczył żonę, ciepło mu się zrobiło na sercu. Ona na pewno wyzdrowieje. Tego ranka na jej policzkach zakwitły rumieńce, a błękitne oczy płonęły miłością. Najchętniej w ogóle by jej nie odstępował, rozumiał jednak, że rodzice chcieliby spędzić z nią trochę czasu.

W drzwiach stanął Finch.

- Przepraszam, sir.

Trevor ucieszył się z tej nieoczekiwanej przerwy.

- O co chodzi, Finch?

- Ma pan gości.

- Gości? Proszę ich odesłać. Nie życzę sobie żadnych gości.

- Próbowałem, proszę pana.

Odpowiedź kamerdynera bardzo zdziwiła hrabiego.

Wiedział, że Finch jest w tego rodzaju sprawach niebywale skuteczny.

Kto zdołał go pokonać?

- Kto to taki?

- Lord Toddington, pani Roberts i panna Baylor. Ryeburn pokiwał głową i podniósł się z za biurka.

- Gdzie oni są?

- W salonie, proszę pana. - Finch uklonił się i wyszedł. Gdy Trevor zobaczył swoich gości, zrozumiał, dlaczego

Finch się poddał. Lily krążyła po pokoju, gniotąc chusteczkę w niespokojnych palcach. Troska malująca się na jej twarzy zmięczyłaby najtwardszego portiera. Ryeburn uklonił się Lily i pani Roberts. Toddington stał tuż za nimi.

- Witam panie.

Lily natychmiast podbiegła do niego i chwyciła go za ramię.

- Jak się czuje Eden? Nikt nie chce mi nic powiedzieć. Przyjechaliśmy, gdy tylko się dowiedzieliśmy...

- Eden czuje się lepiej. - Hrabia bardzo chciał pocieszyć pannę Baylor, ale niezbyt mu się to udawało, nie odniósł wielkich sukcesów nawet w przekonywaniu samego siebie.

- W gazetach napisali, że Sterling ją postrzelił - odezwał się Toddington.

- To prawda.

Wyraz twarzy przyjaciela nie uszedł uwagi Ryeburna. Trevor wiedział, że Toddington, podobnie jak on sam, wciąż się obwinia o to, że dopuścił Sterlinga do towarzystwa obu dam.

- Nie mogę uwierzyć, że ktokolwiek mógł zranić Eden - wyznała Lily drżącym głosem.

- Proszę się nie martwić, panno Baylor. Sterling jest pod kluczem, a Eden odzyskuje siły z każdą godziną.

Pani Roberts podniosła chusteczkę do oczu.

- To wspaniała nowina.

- Czy mogę się z nią zobaczyć? - zapytała Lily.

- Sądzę, że się ucieszy. - Hrabia zadzwonił na panią Byrd. Gdy ochmistrzyni się zjawiała, powiedział: - Proszę zaprowadzić obie damy do pokoju pani. Christopherze, chciałbym zamienić z tobą parę słów.

Toddington nie krył zdziwienia, ale pokiwał głową. Gdy tylko damy wyszły, Trevor zwrócił się do przyjaciela:

- Czy ty ją kochasz? Christopher zamrugał gwałtownie.

- Ależ Ryeburn, co za pytanie...

- Czy kochasz pannę Baylor?

Toddington kilkakrotnie otwierał i zamykał usta, aż wreszcie wyjąkał:

- T-tak, kocham ją.

- To się z nią ożeń i dziękuj codziennie opatrności za to, że spotkałeś kobietę, którą pokochałeś. Nie czekaj, aż będzie za późno. Ja czekałem za długo i niewiele brakowało, a żałowałbym tego do końca swoich dni.

- Ale co ludzie powiedzą?

- Niech sobie mówią, co chcą. Toddington był wyraźnie zaskoczony.

- Ależ ona jest Amerykanką i pochodzi ze zwyczajnej rodziny.

- Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie wiem. W salonach...

- Czy wolisz spędzić życie z kobietą, którą akceptują salony, czy z kobietą, którą kochasz?

Toddington zamilkł.

- Na Boga, Ryeburn, nigdy o tym w ten sposób nie myślałem.

- Będziemy dwoma najbardziej niekonwencjonalnymi dżentelmenami w Parlamencie - uśmiechnął się Trevor. -

Dwoma mężczyznami, którzy kochają swoje żony, a nie kochanki.

- Zrobię, jak mówisz - rzekł z uśmiechem Christopher.

- Rozsądna decyzja. - Trevor poklepał hrabiego po ramieniu. - Jeśli już jestem tak niekonwencjonalny, to cieszę się, że dołączy do mnie mój przyjaciel.

Po paru dniach Eden była w stanie już siedzieć, a nawet na krótko wstawać, choć wciąż chodziła sztywnym krokiem. Ucieszyła się ogromnie na wieść o zaręczynach Lily, które zaskoczyły wszystkich z wyjątkiem Trevora. Eden podejrzewała nawet, że jej mąż wie na ten temat znacznie więcej, niż się może wydawać. Cieszyły ją wizyty rodziców i Lorane, codziennie czekała jednak przede wszystkim na męża. W jego towarzystwie nie czuła bólu i była w stanie nawet fruwać.

Przeniosła się do swego pokoju, aż do czasu, gdy będzie się czuła na siłach spędzić z Trevorem noc. Chirurg odwiedził swą pacjentkę, by obejrzyć ranę, i stwierdził, że dobrze się goi. Eden uśmiechnęła się na widok ulgi, jaka odmalowała się na twarzy męża. Sama już od pewnego czasu wiedziała, że wszystko jest w porządku.

Dwa tygodnie później mogła zejść ze wszystkimi na obiad. Nie zważając na protesty matki, ojca i męża, włożyła swą ulubioną zieloną suknię.

Gdy stanęła przed lustrem, by rozczesać włosy i związać je wstążką, w lustrze mignęło coś dziwnego. Eden obróciła głowę. Podeszła do kominka ze zmarszczonymi brwiami i pochyliła się, by odkryć źródło tego błysku. Między wilkiem a ścianą, w miejscu, do którego nie sięgnęła ściereczka pokojówki, leżała moneta. Eden podniosła srebrny krążek.

Moneta była pokryta warstwą popiołu. Eden zdmuchnęła popiół i otworzyła usta ze zdumienia na widok nieco zabrudzonej podobizny Wenus. Obróciła monetę i spojrzała na łabędzia płynącego po stawie obramowanym łaćcińską sentencją.

Wzięła ściereczkę i przetarła monetę. Na tkaninie pozostała sadza, natomiast pieniążek rozbłysnął. Eden przysiadła na brzegu łóżka.

Jak to się stało?

Obracała monetę w palcach. Nie miała wątpliwości, że to jej zaginiony talizman. Tylko skąd on się tu wziął?

W drzwiach stanął Trevor.

- Przyszedłem, by zaprowadzić cię na obiad. Eden milczała, wpatrując się w swoją dłoń.

- Źle się czujesz? - zaniepokoił się Ryeburn. - Wiedziałem, że nie powinnaś jeszcze wstawać. Połóż się. - Objął ją ramionami, by pomóc jej położyć się na poduszkach.

Eden pokręciła głową i odsunęła jego rękę.

- Nie, nic mi nie jest.

- Na pewno?

- Trevorze, naprawdę dobrze się czuję. - Pokazała mu monetę. - Czy wiesz, co to jest?

Hrabia wziął monetę i uśmiechnął się do żony.

- To mój mały talizman szczęścia. Rzuciłem go ze złością tej nocy, której zostałam postrzelona. Ale chyba jednak przyniósł mi szczęście. - Pocałował Eden w czoło.

- Od jak dawna to masz?

- Od niedawna. Znalazłem to na ulicy w Londynie. Tak, teraz sobie przypominam. Znalazłem to tego wieczoru, kiedyśmy się po raz pierwszy spotkali.

- Przed teatrem.

- Tak. - Hrabia zmarszczył brwi. - Skąd wiesz?

- Dlatego, że ja to zgubiłam.

- Co takiego?

- Dostałam tę monetę od matki przed wyjazdem do Europy.

- To niemożliwe.

- Wiem. Mama powiedziała, że ta moneta przynosi szczęście.

Wspomniała też o tym, że sama ją kiedyś zgubiła i że papa ją znalazł. - Oczywiście Eden zrobiły się okrągłe. - Nam się przytrafiło to samo.

Trevor wpatrywał się w pieniążek równie intensywnie, jak jego żona.

- Twoja matka przyszła do mojego gabinetu w dniu przyjazdu. Myślałem, że chciała się przekonać, za jakiego człowieka wyszła jej córka. Ona jednak o nic mnie nie oskarżała, tylko zapytała, czy czegoś nie znalazłem. A gdy zobaczyła monetę, wcale nie była zdziwiona.

- Pokazałeś to mamie?

- Tak. Zapytała mnie, o czym marzę, ale odniosłem wrażenie, że wcale nie czeka na odpowiedź. Jakby ją doskonale znała.

Eden pokręciła głową.

- Nigdy mi o tym nie wspominała. - Wstała i raz jeszcze pokręciła głową.

- Chodź. Zapytamy ją.

Pociągnęła męża za sobą. Słyszała, jak zachichotał, ale nawet na niego nie spojrzała. Chciała się natychmiast wszystkiego dowiedzieć. Trevor dogonił ją wielkimi krokami i wziął pod ramię.

- Pozwól przynajmniej, żebym szedł obok ciebie.

- Pod warunkiem, że nie zwolnisz - roześmiała się Eden.

Matki nie było jeszcze w salonie, tylko Stuart Grant siedział w fotelu przed kominkiem, trzymając w ręku kieliszek z aperitifem. Podniósł się z miejsca na widok córki.

- Dlaczego tak pędzisz? Zwolnij trochę. Ledwo podniosłaś się z łóżka.

- Nic mi nie będzie, papo. Gdzie jest mama?

- Ubiera się.

Eden zmarszczyła brwi.

- Czy coś się stało? - zaniepokoił się Stuart.

- Nie. Chciałam ją tylko o coś zapytać. - Podeszła do ojca i pokazała mu monetę. - Pamiętasz to?

- Oczywiście. Dostałaś tę monetę od matki przed wyjazdem do Europy. - Grant patrzył to na córkę, to na zięcia. - Co się właściwie stało?

- Zgubiłam tę monetę w Londynie... - zaczęła Eden.

- I Trevor ją znalazł - dokończył Stuart i usiadł na fotelu.

- Tak. Skąd wiesz?

- Bo w ten właśnie sposób działa ta moneta. - Corinna weszła do pokoju płynnym krokiem, z łagodnym uśmiechem na twarzy. Pocałowała męża i odwróciła się do córki i zięcia. - Matka dała mi ją tuż przed śmiercią. Sama dostała ją od ciotki, która opowiedziała jej niezwykłą historię, legendę o tym, że moneta może połączyć dwoje przeznaczonych sobie ludzi. Matka nie zdążyła mi opowiedzieć tej historii, ale zrobił to mój ojciec.

Eden zapatrzyła się w monetę.

- Ale jak... to znaczy, co...

Pani Grant wyjęła talizman z ręki córki.

- Legenda głosi, że gdy kobieta zgubi tę monetę, znajdzie ją mężczyzna, który ją naprawdę kocha. To się zdarzyło mojej matce i mnie. - Spojrzała na męża z wielką miłością.

- A teraz to samo przydarzyło się nam.

- Zbieg okoliczności - mruknął Stuart.

- Trudno w to uwierzyć - przyznał Trevor. - Jakim cudem zwykła moneta...

- Opowiedziałam wam tylko legendę. - Corinna uśmiechnęła się tajemniczo do zięcia. - Nie zmienia to jednak faktu, że Eden zgubiła monetę, a ty ją znalazłeś.

- Nikt w to nie uwierzy. - Hrabia pokręcił głową. Srebrny krążek leżący na dłoni teściowej raził go swym blaskiem. Ryeburn wierzył, że ta moneta kryje w sobie jakąś magiczną moc, choć nie potrafiłby tego wytłumaczyć.

Raz jeszcze spojrział na talizman i oniemiał. Gotów był przysiąc, że Wenus mrugnęła do niego okiem.

- Co zamierzasz zrobić z tą monetą, mamó?

- Ależ ona należy teraz do ciebie. - Corinna podała pieniądze córce. -

Będziesz wiedziała, co z nią zrobić.

Hrabia otworzył usta, by zaprotestować, gdy w drzwiach stanęła Lorane.

- O czym rozmawiacie? - zapytała, wodząc wzrokiem po twarzach obecnych.

Trevor obrócił się do Eden.

- Chyba się nie ośmielisz!

## Epilog

Cztery miesiące później hrabina Ryeburn ocierała łzy, słuchając, jak Lily Baylor przysięga miłość i wierność hrabiemu Toddingtonowi. Mąż podał jej chusteczkę.

- To szczęśliwy dzień - przypomniał jej.

-Ja jestem szczęśliwa. Nie zawsze płaczę dlatego, że jestem nieszczęśliwa. - Eden wydmuchała dyskretnie nos.

- Nie będziesz w stanie śpiewać, jeśli nie przestaniesz płakać.

- Nie przypominaj mi o tym. - Eden znów otarła łzy i wzięła głęboki oddech.

Ceremonia dobiegła końca. Lily spojrzała na przyjaciółkę. Hrabina skinęła głową, wyszła z ławy i stanęła przed gośćmi. Zagrały organy, a ich głęboki dźwięk przyprawił Eden o dreszcze. Zaczęła śpiewać.

Jeśli nawet zebrani nie rozumieli słów Goethego, to radość, którą emanował głos Eden, doskonale oddała charakter tej pieśni. Najwyższe nuty zabrzmiały tak czysto, że wszystkim się wydawało, iż muzyka rozświetliła wnętrze kościoła. Pod koniec pierwszej strofy większość gości płakała ze wzruszenia. Wyrazisty akompaniament organów uwydatniał eteryczność głosu śpiewaczki. Pod koniec pieśni kościelne ławy wyglądały tak, jakby białe flagi

powiewały we wszystkich rzędach, bo nie tylko damy, ale i dżentelmeni ocierali chusteczkami łzy.

Eden wróciła na miejsce.

- Będą cię jeszcze bardziej zadrećzać prośbami o występy - szepnął Trevor, ale jego oczy jaśniały dumą.

- Wiem, ale czy mogłam odmówić Lily?

- O ile dobrze pamiętam, sama jej zaproponowałaś, że zaśpiewasz.

- Dżentelmeni nie powinni podważać tego, co mówią damy.

- Czyżbyś chciała udzielić mi reprimendy? - Ryeburn przybrał przesadnie zdziwioną minę.

Eden roześmiała się na ten widok.

- Ja nigdy nie udzielam ci reprimend. Nowożeńcy skończyli podpisywanie dokumentów i wyszli z kościoła. Gdy nawa zaczęła pustoszeć, Trevor podał żonie ramię.

- Szkoda, że twoi rodzice nie mogli zostać na ślubie Lily.

- Nie sądzę, by brakowało ci mego ojca.

- I masz rację - zachichotał Trevor. Eden rzuciła mu chmurne spojrzenie.

- Powiedzmy, że ja i twój ojciec doszliśmy ostatecznie do jako takiego porozumienia. Choć jeśli my będziemy mieć córkę, prawdopodobnie będę się zachowywał podobnie jak on w stosunku do jej męża.

- Lady Ryeburn! Lady Ryeburn! - Jakaś korpulentna dama machała do nich.

Państwo Ryeburn zatrzymali się.

Dama wachlowała się chusteczką i sapała, próbując złapać oddech.

- Jak to miło, że pani na mnie zaczekała, hrabino.

- Ależ oczywiście, lady Feathering. Poznałyśmy się na balu wczoraj wieczorem.

- Tak się cieszę, że pani mnie pamięta. Jakże pięknie pani dziś śpiewała, wzruszyłam się do łez.

- Dziękuję, lady Feathering.

- Czy zechciałaby pani zaśpiewać na ślubie mojej córki? Ramiona Trevora zatrzęsły się od bezgłośnego śmiechu. Eden kopnęła go ukradkiem w kostkę.

- Mam nadzieję, że ślub pani córki odbędzie się niedługo, ponieważ za jakiś czas nie będę w stanie śpiewać. -Eden zignorowała pytające spojrzenie męża.

- W przyszłym miesiącu - odparła lady Feathering.

- W takim razie z przyjemnością zaśpiewam po ceremonii. Proszę do mnie wpaść, to omówimy szczegóły. -Hrabina Ryeburn uśmiechnęła się do nowej znajomej.

- Och, jakże się cieszę. Pozwolę sobie odwiedzić panią w przyszłym tygodniu.

- Będę czekać.

Uradowana kobieta odeszła, machając chusteczką. Trevor poprowadził Eden do powozu. Gdy usiadł koło niej, zapytał:

- Co miałaś na myśli, mówiąc, że przez pewien czas nie będziesz w stanie śpiewać?

Eden wygładziła suknię i poklepała go po ramieniu.

- Właśnie to. Za parę miesięcy, będę mogła śpiewać tylko dla ciebie.

- Nic z tego nie rozumiem. - Mąż świdrował ją wzrokiem. Hrabina uśmiechnęła się promiennie i pogłaskała go po policzku.

- Nie zamierzałam mówić ci o tym w powozie, ale za parę miesięcy będę krążyć między sypialnią a pokojem dziecięcym. Nie chcemy chyba, by w salonach rozprawiano o skandalicznym zachowaniu lady Ryeburn?

- Pokojem dziecięcym? - Trevor oniemiał ze zdumienia.

- Oczywiście. Nie spodziewasz się chyba, że będę zabawiała twoich przyjaciół, będąc w błogosławionym stanie. - Eden patrzyła, jak wyraz zaskoczenia na twarzy męża ustępuje miejsca radości.

Trevor ujął twarz żony w obie dłonie, przyciągnął ją do siebie i ucałował. Eden poczuła, że po jej ciele przebiegł dreszcz rozkoszy. Nagle mąż puścił ją i odsunął się.

- Jak się czujesz? Musimy jechać do domu. Nie powinnaś nigdzie wychodzić. - Wyciągnął dłoń, by zapukać w dach powozu, ale Eden go powstrzymała.

- Dziecko urodzi się dopiero za parę miesięcy. A ja jestem silna i zdrowa. I nie mam najmniejszego zamiaru opuścić przyjęcia weselnego Lily.

Ryeburn obrzucił ją pełnym wątpliwości spojrzeniem.

- Jesteś pewna?

Eden obdarzyła go szelmowskim uśmiechem.

- Zaufaj mi.

KONIEC